

do użytku wewnętrznego



praca

rok 4

nr 6 (16)

1989

MARCIN OBLICKI

demokracja i gospodarka

Spotykamy się dziś rozważając zagadnienie demokracji i gospodarki. Już na pierwszy rzut oka widać, że użyto tu pojęć nierównozakresowych. Demokracja bowiem to jeden z kilku typów systemu politycznego, to znaczy systemu organizacji władzy i państwa. Gospodarka z kolei oznacza całość tej dziedziny ludzkiej aktywności, która polega na wytwarzaniu dóbr i usług konsumpcyjnych. Jest zatem pewien błąd w tym sformułowaniu, które, o ile dbać będziemy o akademicką poprawność, powinno brzmieć raczej: system polityczny a system gospodarczy, albo - ciekawiej nawet - państwo a gospodarka. Sądząc jednak, że ów błąd został zamierzony, a temat oddaje pewien stan niepewności środowisk intelektualnych, jak i opinii publicznej. Niepewności dotyczącej relacji między sferą gospodarowania a tą właściwie specyficzną, nie poważochną przeciw formą organizacji jaką jest państwo demokratyczne. Ów stan niepewności wynika, jak myślę, z pokutującego do dziś jeszcze w zbiorowej świadomości swoistego nierozgraniczenia pojęć gospodarczych i politycznych. Wyraża się ono zwłaszcza w używaniu pojęć raczej politycznych, jak na przykład *demokracja* czy *decentralizacja*, do opisu sfery gospodarczej i różnych modeli systemu gospodarczego.

I tak, już od początku lat 80-tych projekty reform gospodarczych, rodzące się zarówno w prorządowych jak i opozycyjnych środowiskach opiniotwórczych, posługiwały się pojęciem *demokracji*, dokładnie rzecz biorąc *demokracji zarządzania przedsiębiorstwami* jako podstawowym, niejako definicyjnym, elementem nowego systemu gospodarczego, cd. na s. 3

komu władza, komu reforma ?

rozmowa
z
MACIEJEM
ZALEWSKIM

- Tyle mówi się o podziałach w organizacji, że muszę zapytać cię kogo reprezentujesz?

- Opozycja rzeczywiście jest podzielona i zróżnicowana, jak nigdy dotąd. Reprezentując punkt widzenia tej jej części, która nie chce wrzeć się wypowiedziania interesów ludzi, dość nieprzepraszanie nazywanych pracownikami najemnymi.

Stoiśmy przed trudnym wyborem w dwóch zasadniczych sprawach. Pierwsza, to relegalizacja związku i dyskusja o tym, w jakiej formie ma to nastąpić. Druga - to konieczność podjęcia decyzji o tym, jak ma wyglądać nasz współdziałanie w sprawowaniu władzy. Nie widzę prostej możliwości uzgodnienia ze sobą tych dwóch kwestii.

- "S" miałyby stać się organizacją polityczną, a nie związkiem zawodowym?

- Będzie ona, jak i przed wprowadzeniem stanu wojennego, narzędziem artykułowania masowych życzeń. Taka jest funkcja związku zawodowego. Nie służy on temu, by subtelnie wypowiadać zróżnicowany interes polityczny, przejmować odpowiedzialność polityczną za kraj.

- A czemu służy?

- Obronie interesów ludzi, którzy będą musieli bardzo drogo płacić za proces przebudowy gospodarki. Nie będzie się on przecież dokonywał za darmo. Uświadomiliśmy to sobie już od paru ładnych lat. To było merytoryczną podstawą wszystkich podziałów w "S". Nie chodziło o kwestie personalne, czy ideowe, o cały ten blichtr polityczny nakładany na związek, lecz o sprawę fundamentalną, o stosunek do propozycji władzy - współodpowiedzialności i współrzędu.

cd. na s.16

W NUMERZE m. in.:

W. Adamiecki - Kilka słów o Janie Strzeleckim * M. Boni - Jakże rolę powinno pełnić RKW "Mozowsze" * L. R. Chrzanowski - Radzieckie nadzieje i niepokoje * G. St. Czernik - Długie sprzeczki pół wieku o państwach bałtyckich * R. Januszewski - Niech wiszi, niech się męczy... * R. Kelly - Rosja wg Schapiro * M. Rewera - Czy polityka polska jest możliwa * T. Zyro - Polityczne nadzieje - nadzieje na politykę

LEW TIMOFIEJEW

Czarny rynek w ZSRR

O tym, jak pracowała w kolchozie, słyszałem niemalże legendy. Sam zresztą też dobrze pamiętam te czasy - jakich piętnaście lat temu - kiedy jeszcze chodziła do pracy. Miała już wtedy przeszło sześćdziesiątkę... Każdego ranka przed domem zatrzymywał się brygadziśta i nie schodząc ze swojej bryczki krzyczał:

- Oksia! Choć dziabać.

I to dziabać wykrzykiwał jakoś tak, że wyglądało na to, iż woła Aksinię Jegorjewa do jakiejś drobnej robotki, gdzie trzeba coś dziabnąć - kwiatek czy trawkę - i można wracać. Tymczasem chodziło o jedną z najcięższych, najbardziej jednostajnych prac polowych - o piclenie: w słonecznej spiekocie, w zgiętej pozycji, wciąż na nogach, wciąż w ruchu. I nie ma temu końca, ponieważ ręcznie nigdy nie da się opłcić wszystkich kolchozowych pól: zanim dojdzieś do końca - na początku już chwast jest tak samo wielki, jak przedtem.

Wieczorem efekt tej pracowitości na kolchozowym polu był w pełni widoczny: Aksinia Jegorjewa wracając o zmierzchu ciągnęła za sobą wózek pełen chwastów. Oprócz zapisywanych jej dniówek obrachunkowych, za które nie wiadomo, kiedy i jak zapłaca (i czy w ogóle zapłaca), chwasty były zasadniczą nagrodą za pracę: chwasty pozwalały zabierać dla siebie, twarde siano od biedy nadawało się na paszę dla bydła i sadzę, że nie potrzeba było bardziej atrakcyjnego bodźca - o siano zawsze było trudno.

Zresztą najważniejsze w kolchozowych zarobkach nie były pieniądze. Za dniówkę obrachunkową zaczęto płacić jakikolwiek pieniądze dopiero w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Nie była też tak ważna zapłata w naturze, chociaż trzy - cztery worki żyta (zdażało się, że było to wynagrodzenie za całoroczną chłopską pracę) miały dla rodziny wielkie znaczenie. Najważniejsze dla rodziny było prawo kupna słomy i siana dla bydła pozostającego w indywidualnym władaniu chłopca. Prawo do koszenia siana i wreszcie najważniejsze prawo: prawo do działki przyzgodowej, prawo do przyzgodowego gospodarstwa chłopskiego. cd. na s. 3

WOJCIECH ADAMIECKI

kilka słów o Janie Strzeleckim

Gdy zastanawiam się nad Jan-kiem, widzę jego życie jako drama-tyczne dzieje współczesnego czło-wika myślicy.

Nic był skory do zwierzeń.

Byłby zapewne pierwszym, który uciekłby z tej sali na wieść, iż zamierza się tu mówić o nim samym, i pierwszym, który pojawiłby się, żeby snuć refleksję nad tym, co stanowiło przedmiot jego najgłę-ższych zainteresowań.

Myślę, że publiczne mówienie o Janie Strzeleckim jest czymś wiel-ko odpowiedzialnym. Może być rów-nież uzurpującą, jeśli łączyć by się miało z wyrażaniem opinii katogorycznych, próbą ostateczno-ego określenia jego osobowości. Nic zawiera się w tym przypuszczeniu, iż w osobowości Janka kryje się jakaś dwuznaczność. Idzie raczej o zwrócenie uwagi na łatwość z jaką przy okazji wypowiadania się o ludziach, a tym bardziej o kimś bliskim i jednocześnie ważnym w życiu społecznym, używa się cle-ganckich formuł. Owszem, określają one w jakimś stopniu cechy dzia-łalności, postawy czy pracy zawo-dowej, ale niekoniecznie wystar-czają do wyobrażenia sobie całej dynamiki, dramatyzmu, wzniosłości i samotności jakie wiązały się z życiem każdego człowieka.

Janka znałem i równocześnie nie znałem. Znałem, ponieważ początek naszej przyjaźni sięga końca lat 40-ych w Tatrach, w Zakopanem. Wtedy, jako młody chłopak, gimnaz-jalny szczeniak, zostałem poprowa-dzony przez Janka szlakiem z Hali Gąsienicowej przez Zawrat do Doliny Pięciu Stawów Polskich. Na Zawracie moje zadowolenie z sibo wyraziło się w niepowstrzymanym gadulstwie, a Jankowi powiedział: - Tu się nie gada, tylko patrzy! Później napisał i o tej Dolinie, że jest nie na zużycie a na pamię-tanie. Nie wiedziałem wówczas, a nawet gdybym wiedział, to bym nie rozumiał, czym dla Janka były góry, te góry, i ludzie w tych górach. Do Pięciu Stawów starał się przyjeżdżać na sylwestra. Grał wtedy nocą na dwóch organkach, w pękającej od turystycznego towa-rzystwa jadalni ochroniska. Tu wybierał się na wiosenne śniegi na narty. Tu wprowadzał swego syna Jurka w ten świat tak kojąco inny i oferujący zbawienne poczucie dystansu wobec polskich politycz-nych zmierowań i niepokoїв. Tu śladywał z gospodarzami ochroniska - Krzeptowskimi w pokoiku na za-pleczu kuchni na pogwarkach przy godzinnej strawie i czymś jeszcze, i z lekkim uśmiechem słuchał pół-zmyślonej opowieści o tym, jak go kiedyś ściągał ratownicy z ja-kiejś okalnej polki, trafiwszy po śladzie płatków owsianych, które wyypywały się z Jankowego plec-

ka. Stąd sam wyruszał na ratowni-cze wyprawy i wiele wspinaczek. Tu, już obaj, jako stare konie, stawaliśmy na starcie szalomu o Błękitnego Krokusa - symboliczną nagrodę ufundowaną przez Marysię i Jędrka Krzeptowskich, a czyniliśmy to, Janka nie wyłączając, z prze-jęciem i ambicją młodych, olimpij-skich wycieczników. I równocześnie nie znałem Janka, ponieważ nie zdawałem sobie sprawy, jak symboli-czne dla niego znaczenie miało właśnie to miejsce w górach.

Tu, do Pięciu Stawów poszedł Jankowi, gdy dowiedział się, że zakończyła się druga wojna świato-wa.

Jako AK-owiec i żołnierz Pow-stania Warszawskiego Jankowi należało do porządku potrząskanie pokolo-nia Kolumbów. W jego przypadku te ostateczne doświadczenia miały, jak mi się wydaje, co najmniej dwa skutki. Po pierwsze - uczuliły go aż do obecności na totalitaryzm i wszelkie przejawy totalitarnych uzurpacji, a tym samym na wszelkie późniejsze próby ich kamuflażu już w obrębie realnego socjalizmu, w polskiej wersji na szczęście coraz bardziej kulawego pod wzglę-dem totalitarnym. Obecność to w-ciecząca, nawet w pewnym stopniu niszcząca zapewne inne, potencjal-ne wątki, analiz dotyczących roz-woju społeczeństwa współczesnego świata, ale przecież owocująca w piarstwie olśniewającymi tekstami. Właśnie one znajdowały pełny rezonans w moim, tzw. październi-kowym pokoleniu, a sądzę, że za-chowują nośność również w odbiorze pokolenia 68 i 80 roku. W tej obecności jesteśmy nieostoty, dziećmi tego systemu, na co niewiele można poradzić. A po drugie - ostatecz-nie ugruntowany w Janku w czasie wojny świat wartości, nazwijmy go ogólnie - humanistycznym, pojmo-wanych szerszej niż tylko uznawany przez niego i stanowczo broniony projekt demokratycznego socjalizmu - ułatwił mu zachowanie jakiegoś ostatecznego dystansu wobec rzec-zywiściwości PRL. Tej rzeczywistoś-ci, dla której znamienne były ofensywy stalinizmu, załamywanie się kolejnych prób reform, w gruncie rzeczy, powtarzanego przez kolejne ekipy rządzące, wyboru "mniejszego zła", co łączyło się z coraz częstszym przekonywaniem buntujących się ludzi, główna za-długa tej władzy jest w ogóle istnienie Polski.

Wracając na chwilę do postawy, jaka wykrystalizowała się w czasie okupacji w Janku i części jego generacji, którą określił jako postępową inteligencję o wyraźnie socjalistycznych skłonnościach, chciałbym zaszytować fragment z tekstu Janka przygotowanego na

cd. na s. 32

OSKAR STANISŁAW CZARNIK

dwugłos sprzed pół wieku o państwach bałtyckich

Romantyczna Północ... Od przelomu XVIII i XIX wieku prze-cistawiano ją kulturze Południa. Czynili to niejednokrotnie pisarze ukazałtowani w kręgu cywilizacji óródzicznomorskiej. Znajdowali w dorobku duchowym i materialnym ludów europejskiej Północy warto-ści szczególnie cenne - silny in-dywiduizm, potrzebę niezależno-ści, refleksyjność, niepokój wno-ncztrny, surowość i wstotwo. Roman-tyczna Północ fascynowała swym krajobrazem, wrażliwością wyobraź-ni jej mieszkańców, związkami mię-dzy kulturą i naturą, tajemniczo-ścią, fantastyką, mclancholią, relikdami pogańskich wierzeń, bo-gactwem folkloru. Płynna, trudno uchwytna pozostawała przy tym gra-nica kulturalna między europejską Północą i Południem. Dla Pani de Staol romantyczna literatura nie-miecka należała już duchowo do Północy, jakże odmienną od trady-cji greckich i łacińskich. Na obozrze oddziaływania tak różnych kręgow cywilizacyjnych, jakby w strofie pośredniej, kształtowała się literatura polska. Wiadomo przecież, jak bardzo współtworzył ją mit óródzicznomorski, jak silnie oddziaływało na nią dziedzic-two antyku, a także ustawicznie wpływy Południa w dobie renesansu i baroku, a częściowo również i w późniejszych okresach. Pierwiastki Północy pozostawały długo ukryte, a zarazem okazywały się cennym źródłem inspiracji, o czym świad-czyły m.in. narodziny romantyzmu na północno-wschodnich ziemiach dawniej wieloletniczej i wielokul-turowej Rzeczypospolitej. Warto przy tym pamiętać, że jej tancje-ze rubieżie objaawiały nie tylko wielość czynną, Zmudę czy Białoruś, ale także, od II połowy XVI wieku, znaczną część dziesio-czej Łotwy, a przez krótki okres również południową Estonię wraz z Dorpatem, obecnym Tartu.

Mimo tej bezpośredniej styczno-ści dorobek cywilizacyjny Łotwy

cd. na s. 30

Z głębokim żalem zawiadamiamy, że 20 stycznia 1989 r. zmarł nasz kolega redakcyjny

S.P. ANDRZEJ ANTOSIK

członek Rady DLP Archidiecezji Warszawskiej, członek DLP "Wola", w latach 1986-87 sekretarz naszego piama. Składamy serdeczne wyrazy współczucia Rodzinie

redakcja "Pracy" DLP "Wola".

"PRACA": Biuletyn Duszpasterstwa Ludzi Pracy Warszawa,

Kościół św. Klimenta, ul. Karolkowa 40.

tel. 32-00-43, wcz. 64. Dzwon redakcyjny: środa, 16.00 - 17.30.

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej Urbański ZESPÓŁ

Grzegorz Godłowski, Przemysław Hniedziewicz, Robert Kalina, Paweł Kantory, Teodor Klincowicz, Andrzej Kostarowicz, Ireneusz Krzemiński, Jarosław Kulikowski, Tomasz Lis, Marcin Olski, Maciej Radziwiłł, Tadeusz Sobolewski, Marzenna Szpakowska, Stanisław Turrau, Piotr Wróbel, Maciej Zalcowski, Aliczandra Zawłocka, Tomasz Tyro.

o związku zatem między demokracją polityczną a gospodarką rynkową albo systemem autorytarnym a gospodarką scentralizowaną. Względnie chodzi o rozmaite, dające się zobrazować przykładami historycznymi lub wywiedzione z czysto teoretycznych przesłanek, odmiany czy zgoła hybrydy tych modelowych relacji.

Temat: *demokracja i gospodarka* można byłoby na tym tle potraktować bardzo szeroko, sięgając do prehistorii w tym względzie literatury historycznej, ekonomicznej, nawet filozoficznej. Nie chcę cofać się już w zamierzonej przeszłość, choć sądzę, że i dziś jeszcze dzieła Rousseau, Milla, Comte'a, Marksa czy Webera byłyby w tych rozważaniach dla nas dobrym przewodnikiem. Nie ukrywam jednak, że dziś chciałbym nasz wyjściowy temat potraktować bardzo konkretnie, odnosząc go do naszych, polskich problemów. Mam nadzieję, że taka była też intencja organizatorów, aby podjąć próbę pewnego uporządkowania tej wielonurtowej, a często prowadzonej jakby różnymi językami powszechnej debaty nad przebudową ustroju społecznego, gdzie relacje między polityką a gospodarką wydają się bodaj najistotniejszym zagadnieniem. Jest tak tym bardziej, że znajdujemy się - podobnie jak i inne kraje realnego socjalizmu - w sytuacji historycznej nowicy: stajemy przed koniecznością przejścia od scentralizowanej czy - jak niektórzy wolą - totalitarnej formy ustrojowej do zasadniczo nowego systemu, którego wyróżnikami miałyby być, najogólniej rzecz biorąc, demokratyczne (czy w każdym razie bardziej demokratyczne) stosunki polityczne oraz rynkowe (bądź w każdym razie urynkowione) mechanizmy gospodarcze.

Niełatwo o analogie historyczne w tym procesie. Nawet w Europie, której jesteśmy częścią i do której ze względów cywilizacyjno-kulturowych czynić musimy odniesienia, przechodzeniu od dyktatury do demokracji, jak choćby w Grecji, Portugalii czy Hiszpanii, towarzyszył jednak całkowicie inny kontekst ekonomiczny: gotowa, zorganizowana struktura ekonomiczna, w której nie trzeba było nikomu nic odbierać ani dawać, by mogła spełniać swe zadania. W realnym socjalizmie jest zupełnie inaczej: brakowi demokracji towarzyszy również brak gospodarki, przynajmniej w nowoczesnym rozumieniu tego pojęcia jako struktury zdolnej do zaspokojenia ogółu potrzeb społecznych. Wywołując to oczywiście stan poruszania się po omacku, wzmacniany wielorakim zróżnicowaniem i skonfliktowaniem społeczeństwa, które problem reform widzi przede wszystkim przez pryzmat codziennych sytuacji życiowych, określających doraźne interesy oraz zachowania w mikro-, ale i ogólnopństwowej skali. Spróbujmy zasygnalizować choćby niektóre pytania, jakie coraz częściej dają się słyszeć. Będziemy mieć choćby przybliżony obraz nurtujących środowiska opiniootwórcze wątpliwości. Zatem: czy demokratyzacja polityczna w naszych, polskich warunkach, poprzedzać musi rynkową przebudowę gospodarki? Czy procesy te odbywać się muszą równolegle? Czy - jeszcze inaczej - zacząć należy od sfery gospodarczej, od zbudowania sprawnej gospodarki rynkowej, by na tej dopiero podstawie, w dalszej kolejności wprowadzać elementy demokracji politycznej? Czy wariant "wolny rynek + policja", proponowany niegdyś przez rodzimych liberałów, wzorem Chile oraz innych dyktatur południowo-środkowoamerykańskich, a cieszący się ostatnio nieskrywaną sympatią niektórych kół prorządowych i opozycyjnych, jest możliwy pod zastosowania w naszych warunkach cywilizacyjnych i społecznych? Czy mógłby on przynieść gospodarcze efekty? Jakiej siły społeczne, przez kogo reprezentowane, w jaki sposób artykułujące swoje interesy będą podmiotem przemian politycznych i gospodarczych, jakie zaś - czynnikiem zachowawczym? Czy demokracja może współżyć z etatystycznymi formami organizacji gospodarki? Czy przeciwnie: możliwa jest tylko i wyłącznie w warunkach gospodarki rynkowej? Z kolei: czy w polskich warunkach rynek mógłby współżyć z taką czy inną formą autorytaryzmu? Wszystkie te pytania nie są akademickie. Co więcej trzeba mieć świadomość, że najprawdopodobniej tylko samo życie mogłoby udzielić na nie odpowiedzi, niezależnie od takich czy innych teoretycznych ustaleń, zawsze przecież ubogich wobec tej ogromnej ilości akcji i reakcji, jakie wytwarza ekonomiczny i polityczny konflikt interesów w postaci zjawisk często niemożliwych do przewidzenia.

Sądzę, że celowa będzie próba zrekonstruowania różnych wariantów rozwoju sytuacji w Polsce w latach osiemdziesiątych. W wyniku powstania grup społecznych o odrębnych interesach ekonomicznych i politycznych zarysowały się trzy możliwości rozwiązania problemu demokracji i gospodarki: wzajemna walka grup, przetarg lub sojusz. Warianty te wyznacza dynamika struktury społecznej i nie sposób ich opisać, o ile nie pokusimy się na wstępnie o jakąś hipotezę tej struktury. Pozwoli ona nam (przy pełnej rzecz jasna świadomości, że jest to tylko jedna z możliwych form uogólnienia sytuacji) pokazać jakiś mechanizm determinujący te trzy warianty reform. Pozwoli ujawnić siły społeczne weń uwikłane. Hipoteza ma ją opierać się będzie na istnieniu czterech podstawowych grup społecznych, tworzących, w moim przekonaniu - dość zwarte bloki interesów i artykułujących swoje stanowisko w sposób sformalizowany, albo często w sposób zgoła żywiołowy, bądź poprzez codzienne zachowania w sferze ekonomicznej.

A oto jak przedstawiają się te grupy:

- biurokratyczny aparat władzy - grupa, która bezpośrednio uczestniczy w obiegach decyzyjnym państwa i tworzy pewną zamkniętą, lecz zhierarhizowaną elitę;
- grupa, którą da się określić jako podstawowy proletariatus - grupa niewykwalifikowanych i nisko kwalifikowanych pracowników najemnych, fizycznych i umysłowych (często określaną jako podstawowa część tzw. klasy robotniczej oraz proletariatus urzędniczy);
- rozwijająca się burzliwie warstwa neokapitałistyczna, związana z sektorem prywatnym i drugim obiegiem. Opisowo jest grupą, która dochodzi

cd. na s. 4

go. Często w kolchozie pracowano zupełnie za darmo, bez pieniędzy i bez zapłaty w naturze, ale za to korzystano z prawa do własnej działki, w przeciwnym bowiem razie nie można było zrealizować innego, danego nie przez władzę prawa - prawa do życia.

Jeżeli w waszej spółdzielni nie ma jeszcze dostatek produktów i nie możecie dać poszczególnym kolchozom i ich rodzinom wszystkiego, co jest im niezbędne, kolchoz nie może podjąć się zaspokojenia społecznych i indywidualnych potrzeb - nauczał towarzysz Stalin w 1935 r. [...]

A państwo też nie "podjęmowało się". Nie wykazywało najmniejszej troski o chłopów, o chłopkie rodziny. W 1939 r. około 16 tys. kolchozów nie płaciło za pracę pieniędżmi, 46 tys. kolchozów płaciło po dwie kopiejki za dniówkę obrachunkową, ok. 9 tys. kolchozów nie wydawało zboża za dniówki obrachunkowe.

Za tymi cyframi oficjalnej statystyki kryje się już trzecia część wszystkich kolchozów, część milionów chłopskich rodzin. Ile głodujących kryje się za tymi cyframi? Nie wiadomo, tak samo jak nie wiadomo, ilu głodujących było także i w tych kolchozach, gdzie płacono po 3-4 kopiejki i wydawano po pół kilograma zboża za dniówkę obrachunkową.

Zresztą możliwe, że nie tak znów wiele ludzi głodowało w latach poprzedzających wojnę, mniej niż w cementarnym trzydziestym trzecim - w tym czasie chłopci nauczyli się już żywić licząc tylko na gospodarstwo przyzgodowe. Ale i państwo uczyło się coraz silniej, coraz skuteczniej przyciskać chłopca, odbierać mu to, co indywidualne, na korzyść tego, co "społeczne". I tak w 1939 r. po kolejnym plenum KC partii chłopom odebrano ponad 2,5 miliona hektarów działek przyzgodowych. Powód: nadmiar ziemi odciąga ich od gospodarstwa uspołecznionego, pozwala zachować przynajmniej jaką taką niezależność. [...]

Choćby Aksinia Jegorjewa i jej sąsiadzi w pierwszym dziesięcioleciu po przeprowadzeniu kolektywizacji żyli już, zdawałoby się, na dnie beznadczi, chociaż w 1941 r. byli już, zdawałoby się, najgłodniejszymi z nędzarzy (a chłopca środkowej Rosji, który siedzieli na kiepskiej ziemi, zawsze żyło się szczególnie ciężko), wojna przyczyniła im jeszcze dodatkowych cierpień i zrujnowała do reszty. Piętnastoletnie powojenne było takie, że jeśli nie można mówić o głodzie w całym tym okresie, to jednak ani jeden rok nie minął bez ciężkiego niedojadania... A przez te wszystkie lata oczywiście w dalszym ciągu pobierano daninę z każdej zagrody. Przed oczy głodnych dzieci przepływały mleko, mięso i jajka. Chłopskie dzieci to nie jest społeczne zmartwienie.

Te daniny formalnie zostały zniszczone w 1958 r. Ale władzom miejscowym od razu "dorzucono" plan skupu tych samych produktów. Od wykonania tego planu zależała zawodowa powódność pracowników rad wicjskich i oni wszystkimi możliwymi metodami, nie wyłączając

cd. na s. 4

fizycznego przymusu, zmuszali chłopów do oddawania, a formalnie rzecz biorąc - do sprzedaży po skandalicznie занижonych cenach takiej ilości produktów, jaka wynikała z rozdziałnik... I chłopci sprzedawali. Cóż mogi poradzić? Spróbuj wyjechać - nie puszczają, paszportu nie dają. A do pracy pójść - nie przyjmą. Chłop był przypisany do swego kołchozu.

Darmowa praca, podatek w formie pieniężnej, podatek w naturze. Aksinia Jegorjewa dobrze wiedziała, czym się płaci za prawo do gospodarstwa przyzgodowego, za prawo do życia. Wiedziała, ale powiedzieć tego jakoś nigdy nie potrafiła, chociaż próbowała czasami - zaczynała płakać: przecież w domu było jednak sześćcioro drobniaków. Wspomnienia o głodnych dzieciach są straszne i po dwudziestu, i po trzydziestu latach. Nawet jeśli Bóg pozwolił, że żadne z nich nie umarło.

Teraz Aksinia Jegorjewa nie musi już więcej udawadniać swoich praw. Ma emeryturę - dwadzieścia rubli od państwa i dziesięć od kołchozu. To prawda, że jest to mniej niż wynosi najniższa emerytura mieszkańca miasta, mniej więcej tyle, ile dostaje człowiek, który od dziecka był inwalidą. Ale za to kołchozowy emeryt, póki mieszka na wsi i poci w ogóle, jeszcze żyje, może korzystać z ogrodu. I jeżeli na starość poradzi sobie jeszcze z pracą w ogrodzie, cały dochód ze sprzedaży na rynku jest twój. A czy ona sama dużo potrzebuje? [...]

Z Gaci, wsi gdzie mieszkała Aksinia Jegorjewa, do Posadów jest zaledwie dwadzieścia kilometrów w linii prostej. Już od pierwszego spojrzenia widać, że Gac jest wsią biedną, drewnianą, krytą łupkiem, a gdzieśgdzie i słomą, gdy w Posadach nie pozostało już chyba ani jednej drewnianej chałupki. Wszystkie domy murowane, przestronne jak na wiejskie stosunki, 2-3 pokojowe, o dużych oknach, z wielkimi willowymi tarasami i obowiązkowo z dachem krytym cynkową blachą. [...]

Nie ma w tym żadnej tajemnicy, żadnych czarów. W Posadach cały dochód dają działki przyzgodowe. W ogrodzie nie sadzi się tu ani ziemniaków, ani cebuli, ani kapusty, a jedynie wczesne ogórki. W czerwcu plon dojrzewa i okazynymi ciężarówkami transportuje się go na bazy Moskwy, Riazania, Penzy, a zdarza się, że nawet jeszcze dalej, bo też wieś położona jest obok szosy. Na jesieni na te same bazy zwozi się jabłka.

Mając do dyspozycji nawet najbardziej miniaturowy okrąg ziemi, chłop zawsze będzie dążył do tego, żeby prowadzić nie gospodarkę naturalną, ale towarową, rynkową, ponieważ potrzeby jego rodziny nie ograniczają się jedynie do najprostszych artykułów żywnościowych, które można wytworzyć we własnym gospodarstwie.

W pomyślnych latach jedna działka przyzgodowa w posadach przynosi do 5 tysięcy rubli. Po zainkasowaniu tych pieniędzy mieszkańcy Posadów w sąsiednich od. na p. 5

zawdzięcza własnej aktywności ekonomicznej. Nie jest bezpośrednio uzależniona od państwowego pracodawcy; tu wieści się również grupa właścicieli prywatnych gospodarstw rolnych, choć rzęsa makroolnych i chłopów robotników zasila raczej socjalistyczny proletariats;

d. grupa kwalifikowanych i wysokokwalifikowanych pracowników najemnych, określana niekiedy mianem nowej klasy średniej wyróżniającej się spośród podstawowej klasy pracowniczej swoją kwalifikacją i potencjalną, choć nie koniecznie faktyczną, miejscem w podziale i organizacji pracy; grupą robotników, techników, inżynierów, menadżerów, administratorów i specjalistów zatrudnianych zarówno przez sektor państwowych, jak i prywatny.

Dwie pierwsze z tych czterech grup - aparat biurokratyczny i podstawowa klasa pracownicza - stanowiące do niedawna jeszcze dwie główne grupy społeczne, związane są - naszym zdaniem - i swoimi interesami, i mentalnością z centralistycznym systemem organizacji państwa i gospodarki. Załamania się tego systemu nie jest wyłącznie wynikiem załamania jego efektywności i wydolności ekonomicznej, ale przede wszystkim załamania się całego ładu kulturowego, którego był on częścią. Wład i jego funkcjonalność wspierały się na podstawowej zasadzie wyrzeczenia się przez większość na rzecz mniejszości jednostkowych praw obywatelskich i ekonomicznych, wyzbycie się wolności i odpowiedzialności za cenę egzystencji niepełnej, ale bezpiecznej, nieumierennej ale pewnej. Ładów, który określa się niekiedy jako ładu paternalistyczno-rozrzedzeniowy, jest ładem opiekuńczym rządów odwiecznej mniejszości nad zredukowaną do roli odbiorcy i konsumenta większością, której milcząco przynajmniej prawo do buntu, w sytuacji, gdy mniejszość nie potrafi wywiązać się ze swoich zobowiązań, głównie materialnych. Odmianną tego ładu był ład quasi-technokratyczny epoki Gierka. Załamania się tego ładu było wynikiem dwójakich procesów:

1. trwałej niedolności systemu gospodarczego do zaspokojenia roszczeń materialnych owej milczącej większości;

2. wejścia na scenę polityczną wraz z "S" nowych sił społecznych (przede wszystkim wykwalifikowanej warstwy pracowniczej), które stały się ośrodkami buntu oraz dążeń na rzecz demokracji i rynku.

W rezultacie ogólnej niewydolności systemu możliwy był w latach 80-81 sojuszek kilku różnych grup społecznych, o niejednorodnych i niejednokrotnie sprzecznych interesach: sojuszek dołów społecznych, klas średnich gospodarki prywatnej i chłopskiej przeciwko biurokracji i centralnej nomenklaturze. Sojuszek ten okazał się nietrwały i rozpadł się w latach osiemdziesiątych, gdy bunt "S" nie był w stanie zaspokoić roszczeń materialnych podstawowych grup pracowniczych. Z kolei krótkotrwałe uspokojenie rynku w latach 83-85, możliwe dzięki uruchomieniu prostych rezerw organizacyjnych i nadzwyczajnych środków dyscyplinujących produkcję, oraz egalitarystyczna polityka dochodowa w sektorze państwowym - pozwoliły ekipie rządzącej zneutralizować zarzewie buntów rewizyjnych i chwilowo uspokoić główne ośrodki robotnicze. Nie mogło to oczywiście rozwiązać kryzysu o charakterze strukturalno-kulturowym. Elita władzy nieustannie zgłasza zatem zamiar urynkownienia gospodarki, choć jednocześnie w świadomości zbiorowej zaczyna funkcjonować mit, częściowo zapewne uzasadniony, o ogromnych kosztach społecznych związanych z reformą rynkową. Koszty te, co oczywiste, ponieść musi biurokracja, oddając część władzy i związane z nią przywileje, prestiż i status społeczny. Wszakże i druga grupa, związana z dotychczasowym systemem czy - szerzej rzecz biorąc - z ładem kulturowym, tzn. duża część podstawowej klasy pracowniczej nie do końca identyfikuje się z gospodarką rynkową, która w dającej się wyobrazić perspektywie może oznaczać zlikwidowanie swego, socjalistycznego bezpieczeństwa socjalnego: utratę pewności zatrudnienia, zmianę dotychczasowego, niewygodnego dla pracodawcy kodeksu pracy. Największe dla tej właśnie grupy zagrożenie tkwi w utracie pracy w wyniku likwidacji bądź ukonowocznianiu całych branż i zakładów. Wówczas rozwijająca się gospodarka rynkowa może zgłosić zapotrzebowanie na zupełnie inny typ pracownika pod względem kwalifikacji i mentalności. Zniknie zapewne prestiż i ranga całych grup produkcyjnych i branż - przewadze niskokwalifikowanej siły roboczej. Rzęsa pracowników administracyjnych stanie się w ogóle zbędna i grozi jej całkowita deklasaacja. To samo dotyczy może licznej grupy chłopów-robotników. Dzięki owemu żywiołowemu i raczej niewartykułowanemu poczuciu zagrożenia (choć wyczuwalnego i wykorzystywanego często w retoryce OPZZ-owskiej), a także wobec oporu samej biurokracji utrzymuje się trwałość orientacji zachowawczej. Jej program sprowadza się do utrzymania centralizmu i wszechwładzy gospodarczej państwa przy nieistotnych, kosmetycznych retuszach w postaci ograniczonego i kontrolowanego mechanizmu rynkowego, nie naruszającego struktury własności i zarządzania oraz prawie nie naruszającego pozycji nomenklatury. Orientacja ta, przejawiająca się w pierwszym, a potem drugim etapie reformy gospodarczej, nie może już wszakże dalej nawet funkcjonować na bardzo ograniczonym poziomie. Tym samym nie zapewnia spełnienia podstawowego celu politycznego: utrzymania względnego spokoju. Grupa rządząca, częściowo w skutek nieudanej operacji cenowo-dochodowej z 88 r., stanęła dziś przed groźbą kolejnego masowego wybuchu o nieobliczalnych konsekwencjach. Transformacja i uciektywnienie systemu staje się dla niej samej koniecznością. Jednocześnie świadoma jest kosztów politycznych, jakie będzie musiała ponieść, w związku z tym chce te koszty zminimalizować. Istnieją dobre przesłanki, aby sądzić, że wraz z dojściem do władzy nowej ekipy rządowej w fazę realizacji wejść może nowa, alternatywna linia polityczna, którą krótko określić dałoby się jako urynkownienie bez demokratyzacji i z ograniczonym pluralizmem. Linia ta może być realizowana kosztem dialogu z opozycją. Zapewne nie najmniej ważną z przesłanek jest swoisty pakt, jaki zawrzeć musi Rakowski z aparatem biurokratycznym, pakt opierający się na następującej alternatywie:

albo legalizacja "S" albo ograniczenie władzy gospodarczej aparatu i przesunięcie jej w stronę sił rynkowych. Sądząc, iż w myśleniu ekipy rządowej nie mieści się realizacja i jednego, i drugiego; raczej jedno ma być ceną czy też kosztem drugiego. Aparat biurokratyczny z kolei zapewne o wiele bardziej obawia się "S" i struktur demokratycznych niż sił rynku, nad którymi i tak zachowa przecież kontrolę. Stąd, jak można sądzić, poprze on ten właśnie wariant. Ten swoisty polski "NEP" opierać się ma zatem na podzieleniu się władzą gospodarczą z prywatnymi przedsiębiorcami i kadrami menadżerską zakładów państwowych, przekształconą w ograniczonych właścicieli środków produkcji. Jest to zatem próba dokoptowania do systemu nomenklatur warstwy neokapitalistycznej i jej zaplecza społecznego. Stworzony zostanie swobodniejszy dostęp do prywatnej przedsiębiorczości, lepsze warunki działania dla już istniejącego sektora prywatnego, tak w mieście jak i na wsi, czy wręczcie możliwość działania na większą i całkiem dużą skalę. Te procesy umożliwią uzyskanie pozycji politycznej przez najpotężniejszą i najbardziej wpływową rodzimą finansjercę, a także kapitał obcy.

Koszt polityczny, który poniesie aparat, tracący część realnej władzy, będzie zarazem jego zyskiem - osłabi bowiem dążenia demokratyczne. Pod warunkiem wszakże, że polityka ta przyniesie choćby częściowy sukces gospodarczy. Jeśli tak się stanie, zaspojojone będą w pewnym przynajmniej zakresie roszczenia dołu. Rakowski zdaje sobie z nich sprawę i nie sądzi, aby przekroczył tu granice bezpieczeństwa. Uderzenie w uprawnienia i świadczenia pracownicze będą więc zapewne selektywne i kontrolowane. Uefektywnienie gospodarki, związane z jej częściowym uwłaszczeniem, przede wszystkim w sferze rynkowej, żywnościowej i mieszkaniowej, stworzenie przez sektor prywatny nowych, dobrze płatnych miejsc pracy, relokacja środków i kapitału - wszystko to razem pozwoli uspokoić rynek i nastroje. Myśląc o kosztach aparatu należy nadto nadmienić, że będą one oznaczały przynajmniej dla części tego aparatu, bezpośrednio zysk ekonomiczny. Nictrudno jest bowiem przewidzieć wytworzenie się swoistej symbiozy przedstawicieli władzy administracyjnej i elity pieniądza, symbiozy de facto już istniejącej. Rozmaite jej odmiany są bowiem trwałym elementem gospodarki socjalistycznej o ogóle, teraz jednak niejako zalegalizowanej poprzez - by tak rzec - uwłaszczenie ekonomiczne części biurokracji. Cały ten wariant "nepowski" oznacza próbę opanowania sytuacji z wykluczeniem udziału opozycji i "Solidarności", niejako obok nich. W myśleniu ekipy rządowej zasadniczą demokratyzacja systemu politycznego i stworzenie swobodnych mechanizmów artykulacji interesów (w tym pluralizmu związkowego) traktowane bywają jako tworzenie elementów nierynkowych i roszczeniowo-destrukcyjnych. Tym samym myślenie to staje się swoistą mieszanką autorytaryzmu i liberalizmu, mieszanką, przyznać trzeba, nie tak rzadko spotykaną we współczesnym świecie.

Co oznaczać będzie ten wariant w wymiarze społecznym? Wskażemy na jeden przynajmniej jego aspekt. Ów nowy kad, konstruowany w strukturach i otoczeniu niedemokratycznym sprzyjać będzie przekształcaniu się jednej, zamkniętej elity społecznej - aparatu biurokratycznego w inną, równie zamkniętą, zgoła zrzesztą paradosalną elitę ideologiczną władzy i kapitału. Niekontrolowaną ani politycznie, ani co równie istotne, ekonomicznie. Warto zdać sobie bowiem sprawę, że system gospodarczy, uosabiany przez taką elitę, tylko w ograniczonym zakresie może mieć charakter rynkowy. Doświadczenia innych krajów, z innych kręgów kulturowych, które były lub są widownią takich właśnie autorytarno-liberalnych eksperymentów systemowych, pokazują wyraźnie, iż w niedemokratycznym otoczeniu gospodarka rynkowa może wyrodzić i tworzyć patologiczne formy. Oparte są one na swoistej administracyjno-ekonomicznej monopolizacji produkcji, zwalczaniu konkurencji środkami politycznymi czy zgoła policyjnymi, tworzeniu się całej struktury przywilejów w dostępie do najbardziej zyskowych form działalności, idącej za tym korupcji całego aparatu administracyjnego, rozkwicie tolerowanego przez władzę i powiązanego z nią podziemia gospodarczego. Cóż mówić o warunkach polskich, gdzie gospodarka rynkowej jeszcze w ogóle nie ma, a cała ta patologiczna struktura już dziś jest elementem życia gospodarczego (choć być może w inny nieco sposób - wewnątrz mianowicie sektora państwowego). Myśląc tu o działaniu rozmaitych branżowych grup nacisku, jak i działających na styku sektora państwowego i prywatnego.

Czy więc taka polityka, o jakiej mówimy, nie oznaczałaby, nolens volens, wzmocnienia a nie osłabienia tej struktury? Stać się tak może z co najmniej z dwóch powodów. Po pierwsze: ze względu na obawy słabo osadzonej społecznie władzy przed radykalnym uderzeniem w interesy aparatu, i - na obawy podstawowego proletariatu przemysłowego. Po drugie: ze względu na mentalność wchodzącą na scenę polityczną warstwy neokapitalistycznej. Czym był bowiem w Polsce sektor prywatny, zwłaszcza tzw. miejski, jak nie swoista "monopolistyczna korporacja, osiągająca swoje zyski nie w walce konkurencyjnej na rynku, ale często w wyniku braku tego rynku i konkurencji, nierzadko przez korupcyjne związki z aparatem; korporacją nawykłą do logiki działania, opartej na wykorzystywaniu nie-sprawności gospodarki państwowej i wchodzeniu w rozmaite luki prawne w celach spekulacyjnych. Słowem - nawykłą do aktywności nie tyle o charakterze ekonomicznym, co wykorzystującej nie normalną sytuację społeczną. Można zatem zapytać, czy polityka, o jakiej mówimy, ów administracyjny liberalizm zdola przezwyciężyć tę mentalność? Czy może raczej spowoduje jej wzmożenie?

W obliczu tych pytań i wątpliwości opisać trzeba także trzeci wariant reformy. Wariant, artykułowany przez dużą część środowisk opozycyjnych, wariant, jak sądzić, najtrudniejszy do przeprowadzenia. Wymaga bowiem ogromnej dojrzałości politycznej od wszystkich właściwie aktywnych na

wolach kupują ziemniaki, cebulę i wszystko, co jest im potrzebne. 5 tysięcy na 4-5 osobową rodzinę to nie tak znów wiele, ale wystarcza jednak na coś więcej, niż samo wyżywienie. [...]

Ten, zdawałoby się, uboczny dla kołchozu, ale podstawowy dla kołchoźnika nurt chłopskiego życia wymaga znacznie bardziej odpowiedzialnego podejścia do sprawy niż w odrobinowym kołchozowo-owocowym gospodarstwie, gdzie wykonuje się natychmiast wszystko, cokolwiek rozkaże góra, każdą najbardziej bzdurną wytyczną, nie bacząc na to, czy to wychodzi na dobre, czy na złe gospodarstwu. Gdzie nikogo nie obchodzi... Tu do chłopka należy i inicjatywa, i kapitał, i środki produkcji, i cały końcowy produkt. Tu on jest gospodarzem. Tu on jest człowiekiem. Tu on jest jakby mikroodcłem tego, czym mógłby się stać, gdyby w 30 roku nie odebrano mu bydła i ziemi, pozostawiając go w przyzagrodowym gospodarstwie dla lalek.

Chłopi używają możliwości jako tako znośnego życia dlatego, że część swojego czasu roboczego, część swoich sił mogą spożytkować w innym systemie gospodarczym - nie w radziecko-socjalistycznym, rodzicielskim, a w rynkowym.

Chłopski rynek jest zawężony do rozmiarów placu targowego, wypaczony przez feudalne stosunki - osobistą zależność kołchoźnika od władzy administracyjnej. Robi w ogóle wrażenie dodatku do tego głównego targowiska, gdzie handluje się partijnymi stanowiskami i demagogicznymi wartościami w rodzaju obietnic powszechnego dobrobytu i szybkiego zwycięstwa idąc komunistu... A jednak jest to rynek i nie inny. Rynek, bez którego socjalistyczne państwo obejść się nie może.

Cyfry robią wstrząsające wrażenie: na działkach przyzagrodowych, które według różnych szacunków zajmują zaledwie dwa i pół, nawet półtora procenta krajowej powierzchni zasiewów, w chłopskich gospodarstwach będących w posiadaniu zaledwie jednej dziesiątej majątku produkcyjnego rolnictwa, wytwarza się trzecią część produkcji rolniczej. Takie dane podają oficjalne statystyki.

Alc oficjalna statystyka przemilcza to, że nie mniej niż trzecia część produkcji rolniczej wytworzonej w kołchozach i sowchozach corocznie marnuje się z powodu strat w polu, w czasie transportu, składowania i obróbki wstępnej... Według niektórych danych np. marnuje się niemal połowę ziemniaków...

Oficjalna statystyka obliczając globalną wartość produkcji w formie pieniężnej, oczywiście przemilcza to, że państwowe ceny skupu zbóż, wytwarzane przede wszystkim przez kołchozy i sowchozy, są znacznie zawyżone, a ceny skupu mięsa, warzyw, ziemniaków tzn. artykułów najbardziej rozpowszechnionych w gospodarstwach chłopskich - zaniżone.

Oficjalna statystyka przemilcza to, ponieważ w przeciwnym przypadku należałoby przyznać, wziąwszy pod uwagę całość spożytej produkcji rolniczej, że udział przyzad-

grodowych, chłopskich gospodarstw (z ich 1,5-2 procentami ziemi ornej) znacznie przekracza połowę całości produkcji. O czym tu zresztą gadać: nawet i według oficjalnej statystyki w republikach nadbałtyckich udział gospodarstw przyzagrodowych w globalnej produkcji rolniczej stanowi prawie połowę. [...]

Okazuje się, że gospodarką nie można sterować bez reszty. Gospodarka jest takim mechanizmem, w którym bez połączenia z kołem napędowym stosunków rynkowych, uruchomiony przez cały bieg historii ludzkości, rdzewieją i zamierają przekładnie zębate planowo-biurokratycznego systemu ekonomicznego. Rynek. Rynek jest podstawą gospodarki. Zniszczyć go, to znaczy zniszczyć gospodarkę kraju. Rozumiał to dobrze Stalin, kiedy gwałcił chłopów do roboty na działce przyzagrodowej: *...kolchoz nie może się podjąć...* Dopóki żywe są stosunki rynkowe, można do nich dołączyć i socjalistyczną gospodarkę.

Nawet jeśli są to stosunki podległego administracji państwowej czarnego rynku. Właśnie czarny rynek jest władzom potrzebny... [...]

Dlaczego akurat Posady bogacą się na wczesnych warzywach? Po pierwsze, wioś ma korzystne położenie: przedtem rzeka, a teraz szosa przybliża tutaj te ogrody do miejskich rynków. Z grządki - prosto na stragan bez zbędnych kłopotów z transportem. Po drugie, tu ziemia jest tania, czarnoziemna, wyspa w morzu piasków i błot - dlatego wymagają mniej podlewania. Kto może z nimi konkurować? Ze wszystkich wsi o dogodnym położeniu Posady mają najlepszą ziemię.

Na bazarze jednak wszystko sprzedaje się po tej samej cenie - i plony z lepszych ziem, i z gorszych. Cena przy tym kosztuje się zgodnie z wymaganiami chłopów z gorszych ziem. W przeciwnym razie ktoś by chciał uprawiać warzywa na swojej działce? Któż by je uprawiał, gdyby nie przynosiły one żadnego zysku? Dlatego spośród tych wszystkich, którzy produkują ogórki, mieszkańcy Posady zagarniają największą forszę. Oni produkują warzywa niższym kosztem, a sprzedają po tej samej cenie, co i wszyscy. Różnica idzie do kieszeni.

To są wszystkie podstawy ekonomii politycznej, jakby żywcem wzięte z podręczników: do pewnych granic czarny rynek udaje zwykły, legalny rynek i w takiej postaci nęci chłopów.

Chłopi, którzy nie znają podręczników ekonomii politycznej, dawno już opanowali mechanizmy rynkowe i stosują je w praktyce. [...]

Możliwość wykorzystania swojej pracy na własną rękę i z możliwie największą korzyścią kieruje ludzi do naprawdę bohaterkich czynów na swojej ziemi. Ile zachodów wymaga takie choćby truskawkowe gospodarstwo w podmiejskich strefach dużych miast, gdzie na kilku setnych, jeżeli nie na kilku tysiącach częściach hektara uzyskuje się plony, a więc i zyski, które naszej Aksinii Jegorjewa nawet

ed. na o. 7

polskiej scenie ośrodków decyzyjnych i opiniotwórczych. Jest przy tym najtrudniejszy do dokładnego zaplanowania. Nie sposób przewidzieć wszystkich możliwych konsekwencji tego wariantu, co już samo w sobie czyni go dla wielu mało wiarygodnym i nierealistycznym. Wariant ten, w stronę którego kierują moje osobiste sympatie, wsparty jest na przeświadczeniu, że budowanie autentycznej gospodarki rynkowej nie jest dziś w Polsce możliwe bez budowania struktur demokratycznych. Da się to powieścić mocniej. Warunkiem rozwoju gospodarki rynkowej jest wytworzenie infrastruktury społeczeństwa demokratycznego: wolności prasy i opinii publicznej, mechanizmów organizowania presji społecznej, jawności działania gospodarczego i politycznego, konkurencyjności programów ekonomicznych, społecznych i politycznych w skali państwa oraz układów lokalnych i środowiskowych. Tylko to daje szansę zlikwidowania, rzecz można, wykarczowania całej patologicznej gry interesów w gospodarce realnego socjalizmu. Może też uniemożliwić jej przekształcenie w pseudorynkową grę nie wychodzącą poza obręb nomenklatury i wpływowch grup kapitału prywatnego. Ta oznaczałaby wyłączność panowania na tysiącach quasi-rynków, niekontrolowanych i podzielonych na strefy wpływów.

Gospodarka rynkowa wymaga, jak sądzę, innego rozumienia samego pojęcia rynku. Musi ono obejmować rynek idei i myśli, pracy i osobistych uzdolnień, prasy, opinii publicznej i działalności społecznej. Rynek gospodarczy winien być tylko częścią tego szeroko rozumianego społeczeństwa rynkowego, i jak sądzę istnieniem tych innych rynków jest warunkiem jego własnego zdrowia. W sferze ekonomicznej rozwój gospodarki rynkowej stwarzać musi realne szanse włączenia się wszystkim warstwom i grupom do obiegu gospodarczego, a szerzej rzecz ujmując, do obiegu społecznego. Gospodarka taka nie może zatem stać się domeną politycznie kontrolowanej, wysokiemjonowanej i związanej z aparatem biurokratycznym elity pieniądza. Szansę uzyskać musi każdy, kto zechce się swoich na rynku spróbować. To wyznaczące powinno linie polityczną reformy, tak w zakresie przebudowy systemu własności i zarządzania, jak i warunków działalności gospodarczej.

Budowanie gospodarki rynkowej odbywać się musi przy bezpośrednim udziale opozycji i "S". Konstatacja taka nie wynika z odwoływania się do sentymentów i przeszłości. Przez opozycję i "S" należy bowiem rozumieć nie tylko konkretne osoby i instytucje, ale przede wszystkim konkretne siły społeczne, które są ich bazą i zapleczem. Myślę tu między innymi o tych grupach i środowiskach, które zaliczyć można do umownie zdefiniowanej nowej klasy średniej, tej wykazującej największe aspiracje polityczne grupy społecznej. Realizacja takiej polityki przebiegać musiałaby na kilku planach. Niezbędne są przede wszystkim wstępne uzgodnienia pomiędzy autorytarnymi ośrodkami politycznymi i społecznymi, porozumienie co do obowiązujących reguł gry. W tym istotne jest odblokowanie możliwości oddolnego wytwarzania struktury artykulacji i negocjacji interesów, na którą złożyć się muszą zarówno związki zawodowe, jak i związki producentów i konsumentów, samorzędy lokalne i środowiskowe, stowarzyszenia społeczne, kluby i stowarzyszenia polityczne. Gwarantem takiego porozumienia musiałaby się stać swoista społeczna rada nadzorcza - tymczasowa, koalicyjne ciało, złożone z przedstawicieli głównych sił politycznych i społecznych, o szerokich kompetencjach decyzyjnych w zakresie polityki gospodarczej i społecznej. Sam rząd zaś musiałby się przekształcić w bezpartyjny tzn. nie delegowany, ale nominowany rząd fachowców i praktyków gospodarczych z jednym tylko, ale podstawowym zadaniem: neutralizowania i eliminowania wszystkiego, co sprzeczne jest z mechanizmem wolnego rynku i konkurencji. Takie uzgodnienia polityczne nie wydają się niemożliwe, skoro zarówno obóz władzy jak i opozycja, "S" i czynniki kościelne deklarują swe zaangażowanie po stronie reformy rynkowej. Następnym krokiem polegałoby albo na natychmiastowym ustanowieniu infrastruktury prawno-finansowej wolnego rynku wraz ze zniesieniem wszelkich ograniczeń w obrocie kapitałem (niektórzy ekonomiści określają to jako godzinę zero), albo - o ile takie byłyby uzgodnienia - na spokojniejszym i bardziej kontrolowanym umiarkowaniu gospodarki.

Opozycja musi jednak mieć świadomość, że ten właśnie wariant reformy gospodarczej, który jest po prostu budowaniem normalnego rynku, może być ekonomicznie i społecznie najbardziej kosztowny. Myślę, że bardziej kosztowny nawet niż reformy Rakowskiego. Koszty te (nieuniknione ze względu na nieodrównowagę, automatyczną restrukturyzację w warunkach rynku, przebudowę struktury społecznej) będą częściowo rozładowywane przez strukturę reprezentacji i negocjacji sprzecznych interesów. Istnienie takiej struktury z pewnością opóźni ukształtowanie się gospodarki rynkowej, ale każdy inny wariant byłby nieporównanie groźniejszy społecznie, o nieobliczalnych skutkach. Mimo to kosztów tych zapewne uniknąć się nie da i może je ponieść również część świata pracy - wielkoprzemysłowa klasa robotnicza i proletariaty urzędniczy - ta część, która w okresie 80-81 stanowiła ważny, niekiedy kluczowy fragment elektoratu "S". A dziś zapewne byłaby jej silnym oparciem. Co prawda koszty te trudne są do dokładnego wyliczenia. Wszystkie kasandryczne przepowiednie co do masowego bezrobocia, bankructw, spadku płac realnych, wzrostu cen itd. traktować należy z dużą ostrożnością, jako że oparte są często na niczym nie uzasadnionych przesłankach oraz na myśleniu nie uwzględniającym dynamiki przemian. Trudno však już dziś określić, jak w wyniku gry rynkowej i konkurencji ukształtuje się rynek pracy, na jakim poziomie ustali się na poszczególnych rynkach równowaga, jakiego rodzaju przedsiębiorstwa okażą się deficytowe i zmuszone do bankructwa (i cały szereg innych spraw, o których dzisiaj wyrokuję się z taką pewnością). Trudno jednak wykluczyć pojawienia się konfliktów i napięć społecznych, przetargów o charakterze egalitarnym, czy wręcz populistycznym. Zwłaszcza gdy myślimy o swobodnej artykulacji interesów

i gdy jesteśmy przeciwdziałani, że ta swoboda musi być trwałym elementem gospodarki rynkowej. Innymi słowy, dążenia i reakcje populistyczne mają taką samą rację bytu, jak dążenia i reakcje wyrażające ducha elitaryzmu czy indywidualizmu.

Mówiliśmy już przedtem o dojrzałości politycznej. Tej dojrzałości teraz właśnie nie może zabraknąć. Trzeba wiedzieć, że dużą część tej odpowiedzialności unieść musiałaby opozycja i "S" jako związek zawodowy, który działałby niejako przeciwko swojej naturze ograniczając i dyscyplinując, a nie wzmacniając roszczenia pracownicze, stając się w ten sposób ważnym, może kluczowym elementem tej chwiejnej równowagi społecznej, której załamaniem przekreśliłoby szansę gospodarki rynkowej. Z drugiej zaś strony opozycja, opozycja polityczna, która byłaby częścią systemu wielopartyjnego, musiałaby odrzucić łatwą pokusę grania na tych napięciach i konfliktach tzn. być gotową do przeciwstawienia się naciskom roszczeniowym, jak i wszelkiego rodzaju pseudorewolucyjnym frazesom.

To wszystko łączy, jak sądzę, w zasięgu naszych tj. społecznych możliwości. Dojrzałość, o której mówimy, nie jest dla nas nicosięgalna. Wymaga ona odwagi i umiejętności uczynienia tego, co nie ma precedensów, ale być może jest jedyną odpowiedzią na wyzwanie, przed jakim stoimy.

Marcin Oblicki

Tekst wygłoszony na spotkaniu Klubu im. Jana Strzleckiego 17.11.1988 r.

Irena WÓYCICKA

KOSZTY REFORMY

Trudno mówić o kosztach reformy gospodarczej, nie wspominając przy tym o kosztach braku reform. Nie chciałabym, aby dyskusja była ustawiona w kontekście: warto tę reformę zrobić czy nie warto skoro ma tyle społecznie kosztować oraz wywoływać tyle konfliktów społecznych. Wydaje mi się, że należy reformy przeprowadzić, starając się przy tym łagodzić owe koszty. Ponadto, pewne koszty reformy gospodarczej - zwłaszcza koszty nastawień społecznych, postaw ludzkich - wskazują kierunek zmian, jakie musi przejść społeczeństwo, aby zaadaptować się do nowych warunków gospodarki rynkowej. W gruncie rzeczy są to koszty braku reformy, koszty kryzysu a nie odwrotnie.

Mówiąc o braku reformy gospodarczej chciałam zwrócić przede wszystkim uwagę na konsekwencje spadku poziomu życia, na zwiększającą się z dnia na dzień rozpiętość technologiczną między Polską oraz krajami bloku wschodniego w ogóle a Zachodem. Zjawisko to język publicystyczny określa mianem zapaści cywilizacyjnej. Chciałabym również zwrócić uwagę na napięcia społeczne wywołane brakiem szans życiowych oraz na frustrację społeczną w wyniku braku perspektyw życiowych, awansu materialnego i zawodowego. Ta reforma stworzyła ma pewne szanse, ale przecież nie musi to nastąpić w jednej chwili. Myślę, że wszyscy ekonomiści są zgodni co do tego, że gospodarka przyszłości ma się opierać na prawdziwym rynku, z różnymi formami własności, przy czym mogą tu występować rozbieżności co do zakresu własności państwowej, natomiast podstawą jest istnienie pluralizmu form własności. Trzecim elementem jest przynajmniej stopniowe wycofanie się państwa z zarządzania gospodarką i kierowania procesami ekonomicznymi (np. alokacji i rozdzielnictwa dóbr, inwestycji, kapitałów). Znacznie więcej komplikacji i sporów stwarza problem dojścia do tego modelu, z czym wiąże się problem kosztów społecznych. Wolałabym powiedzieć, że nie chodzi tu o koszty, ale o potencjalne zagrożenia dla reformy, tzn. potencjalne zagrożenia wywołane kosztami posunięć reformatorskich. Urzeczywistnienie modelu gospodarki rynkowej może być widziane na trzy sposoby. Te opcje przypominają sytuację podróżnego znajdującego się na brzegu pokrytej cienką taflą lodu rzeki, który wie, że musi przejść na drugą stronę. Po pierwsze, może po prostu wycofać się nie podejmując ryzyka, a więc pozostać na tym brzegu. Ten sposób prezentuje częste publicystyka prasy oficjalnej, która twierdzi, że społeczeństwo nie chce reformy.

Drugi sposób polega na próbie szybkiego przebiegnięcia przez taflę. Jest to rozwiązanie ryzykowne, które może zakończyć się upadkiem w wartki nurt rzeki. Trzeci sposób ukazuje szansę stopniowego posuwania się po lodzie, rozpoznawania zagrożeń, nawet wycofywania się z pewnych rozwiązań, by zmniejszyć ryzyko nie tracąc z oczu celu, którym jest osiągnięcie drugiego brzegu.

Chciałabym powiedzieć o tej technice czyli o stopniowym posuwaniu się po lodzie, aby nie zanurzyć się w lodowatym strumieniu. Pierwszym, istotnym elementem myślenia o reformie jest problem nomenklatury i kosztów jako nomenklatura czy też aparat partyjny musiałby zapłacić w wyniku realizacji reformy rynkowej. Sprawy te są dosyć znane i nie chciałabym im poświęcać zbyt wiele czasu.

Pierwszym warunkiem reformy jest wycofanie się państwa z centralnej regulacji gospodarki, a zwłaszcza wycofanie się z centralnej regulacji pewnych parametrów gospodarczych. Wymienię trzy zakresy pojęciowe, które dotyczą tego problemu.

przyćnić by się nie mogły przy całej ruchliwości jej gospodarskiej wyobraźni. [...]

Alc to nie chcą podbija ceny na rynku. Tulipany i wczesne ogórki lub zawsze i wszystkim niezbędne mięso są na bazarze drogie nie tylko dlatego, że produkuje się je chałupniczym sposobem i w małych ilościach. Rozwinąć ich produkcję na większą skalę chłop nie może, gdyż wielkość jego gospodarstwa jest administracyjnie ograniczona, a żadna kooperacja nie jest dozwolona.

Natomiast duże przedsiębiorstwa rolnicze mają za zadanie nie zaspokojenie potrzeb konsumentów, lecz zabezpieczenie polityki wymiany i rozdzielnictwa prowadzonej przez państwo w interesie i dla wygody biurokracji partyjnej - tej rządzącej struktury państwa, która broni istniejącego porządku, a jednocześnie i siebie.

Właśnie polityka rządzącej struktury warunkuje wysokość cen, wielkość nakładów - bezpośrednich i pośrednich - a w ostatecznym rachunku także i wielkość produkcji. Zapotrzebowanie konsumenta niczym blade światło ledwie przebijają się przez mgłę biurokratycznych stosunków. Co tu mówić o tulipanach, jeżeli w ciągu całych dziesięcioleci rolnictwo jest tak słabo finansowane i tak słabo wyposażone w środki techniczne, tak nieudolnie zorganizowane, że duże gospodarstwa w żaden sposób nie mogą dostarczyć choćby jako tako wystarczającej ilości zboża, mięsa, czy mleka.

Tak więc rozmowy mięszczuchów o sumieniu i sercu trzeba odłożyć przynajmniej do czasu wyjaśnienia przyczyn drożyzny, przyczyn braku produktów żywnościowych w kraju. Wtedy będzie jasne, o czym miemnie jest mowa.

Mówiąc zaś nawiasem, jeżeli dusza - w mistycznym znaczeniu tego słowa - zaczyna się wtrącać i sferę stosunków rynkowych, nie dobrego z tego nie wyhodzi.

Znam taki kołchoz w Azji Środkowej, gdzie sady kwitną i plonują obficie w całym sąsiedztwie, a ich właścicielom powodzi się gorzej niż sąsiadom. Okazuje się, że tutajszą ziemię zrasza woda ze świętego źródła i że nie, co na niej urosnie - zgodnie z muzułmańskimi zasadami - nie może być sprzedane. Tabu! A jeżeli tabu, to nie ma potrzeby poszukiwać najbardziej plennych odmian jabłek i winogron, kopać rowów dla odmian cytrusowych. To, co uprawiano tu od wiek wieków, uprawia się i dziś. Ideologiczne uwarunkowania stłumiły ekonomiczne możliwości, zahamowały inicjatywę.

Być może ideologiczne uwarunkowania hamują także i ekonomiczny rozwój całego kraju! Prywatna inicjatywa jest tabu! Stosunki rynkowe - tabu! Dążenia do zysku - tabu! Nic szkodzi, że zboże sprzedawamy z jednego oceanu - z Ameryki, a mięso z drugiego - z Nowej Zelandii. Za to jednak nasza gospodarka jest szczerze opromieniona przez ideę Marksa - Engelsa - Lenina... (o mały figiel nie powiedziałem, Stalina, ale teraz to przecież nie jest przyjęte, chociaż w gruncie rzeczy, czegoż tu się wstydić?) [...]

Wszystkie te zakazy są narządkiem struktury rządzących, narządkiem biurokracji partyjnej - narządkiem obrony istniejącego porządku państwowego. I wszystkie zakazy wprowadzane o to, aby uchronić państwo urzędników partyjnych przed zagrożeniem ze strony, powiedzmy, szłoptwa, które wzmacniałoby się ekonomicznie, albo ze strony kadry technicznej, która uwładowałaby sobie swoje znaczenia.

Stalin rozumiał to lepiej niż inni. I chociaż dzielniejsza góra partyjna udaje, że nie zauważa jego cienia, właśnie on jest najbliższy obecnej polityce klasy rządzącej spośród wszystkich klasyków marksizmu-leninizmu: Czy słuszne jest twierdzenie, że najważniejszym celem planu pięcioletniego radzieckiego państwie jest wydajność pracy? - pytał w swoim słynnym przemówieniu przedwój bucharinowi. - Nie, nie słuszne. Nam potrzebny jest określony wzrost wydajności pracy narodu, a mianowicie taki wzrost, który zapewni przewagę socjalistycznego (a więc nie rynkowego, lecz bezpośrednio podlegającego władzy partyjnej biurokracji, obiektywnie pracującego na rzecz umocnienia tej władzy - L. T.) sektora gospodarki nad sektorem kapitalistycznym.

Właśnie zakazy są istotą władzy, treścią działalności partyjnej biurokracji: ona może się obejść bez dostatku chleba dla ludności, niepotrzebny jej zysk handlowy ani wszechstronnie i harmonijnie rozwinięta gospodarka - jej potrzebna jest tylko władza, bezgraniczna władza, zysk w postaci powiększenia zakresu tej władzy, w postaci przywłaszczania sobie coraz to nowego zakresu tej władzy w miarę awansowania w partyjnej hierarchii. [...]

Alc czarny rynek akurat w żaden sposób nie zagraża stabilności obecnego państwa. Patrząc wnikliwie stwierdzamy, że jest całkowicie pod jego kontrolą. Jest więc dla niego wygodny. System kolchozowy od początku był pomyślany jako system oparty o czarny rynek, o rynek, którego strofa jest znacznie szersza niż plac targowy. Spozreżemy to natychmiast ponownie odwołując się do Stalina:

I jeżeli w waszej spółdzielni nie ma jeszcze dostatku produktów i nie możecie dać poszczególnym kolchoźnikom i ich rodzinom wszystkiego, co im niezbędne, kolchoz nie może się podjąć zaspokojenia i potrzeb społecznych, i indywidualnych. Wtedy lepiej powiedzieć wprost, że ta dziedzina pracy jest upośledzona, a tanta - indywidualna. Lepiej pozwolić otwarcie i uczciwie na to, że kolchoźnik musi mieć swoje indywidualne gospodarstwo, nieduże, lecz indywidualne. Lepiej założyć, że istnieje spółdzielcze gospodarstwo, upośledzone, duże, o decydującym znaczeniu, niezbędne do zaspokojenia potrzeb społecznych i równocześnie istnieje niewielkie indywidualne gospodarstwo niezbędne do zaspokojenia osobistych potrzeb kolchoźnika.

cd. na s. 9

Pierwszy - jest to kwestia centralnej polityki płac. Od lat 50-tych płace - w gruncie rzeczy związane z realizacją planu - były określone centralnie dla poszczególnych jednostek gospodarczych. Potem w latach 70-tych poprzez reformę *wog-owską*, obejmującą część gospodarki, te związki z planem zostały rozluźnione, ale nadal płace były przez centrum kontrolowane bardzo ściśle. Dotychczas ta tradycja kontrolowania płac istnieje, tylko że w innej niż w latach 50-tych formie - tj. bądź poprzez podatki, którymi obciążone są pałce, bądź poprzez ulgi podatkowe, będące wyrazem preferencji różnych grup. Ta polityka płacowa, początkowo związana z okresem szybkiej industrializacji kraju, przeniosła akcent w hierarchii płac na rzecz organizmów związanych z tą industrializacją czyli przemysłu ciężkiego (przemysłu wydobywczego). Ta polityka nadal jest kontynuowana, chociaż nie ze względu na potrzeby industrializacji, a raczej z powodu wytworzenia się pewnych grup nacisku, które nadal popierają tę politykę. Uniezależnienie płac od centralnego planisty (rządu, partii) musi doprowadzić do rozbitcia dotychczasowej struktury płac. Wydaje się, iż płacowo mogą być najbardziej upośledzone te działy gospodarki narodowej, które dotychczas były relatywnie uprzywilejowane, a więc właśnie być może przemysł ciężki, górnictwo, przestarzałe struktury produkcyjne. Powinna natomiast wyrosnąć inna hierarchia płac, w której docenione byłyby przemysły rynkowe, przemysł lekki, wale, nowoczesne zakłady, które posiadają nowoczesną strukturę środków produkcji. Jest to niewątpliwie jeden z elementów konfliktu gałczywego, który istnieje w tej chwili.

Problem drugi: państwo powinno zrezygnować ze swojej funkcji regulacyjnej i kontrolnej w kwestii cen. Najwięcej kontrowersji wśród ekonomistów budzi problem utworzenia rynku, na którym ceny są uwalnione spod kontroli państwa. W warunkach zmonopolizowanej gospodarki takie uwalnienie cen spod kontroli mogłoby doprowadzić do gwałtownej inflacji, ponieważ gospodarkę polską cechuje wysoki poziom monopolizacji, a monopolista nie musi się podporządkowywać regułom rynkowym. Może zmniejszyć produkcję, chroniąc ceny. To jest niebezpieczeństwo powstające przy braku konkurencji. Następnym krokiem, towarzyszącym uwalnieniu cen spod kontroli powinno być otwarcie gospodarki na rynek zagraniczny. Jest to zatem również kwestia wymiennalności walut. Tylko rynek zagraniczny może przynieść pewną dozę konkurencji, wymusić na przemysle polskim konkurencyjność. Wspomniany krok jest postrzegany jako szczególnie radykalny, bowiem pociąga za sobą koszty i konflikty społeczne. Są to oczywiście tylko hipotezy, ponieważ wydobycie się gospodarki centralnie planowanej z dotychczasowego sposobu działania, wydobycie się społeczeństwa z systemu totalitarnego i przekształcanie się w społeczeństwo demokratyczne - to eksperyment nigdzie dotychczas nie praktykowany.

Tak więc istnieje niebezpieczeństwo inflacji potęgowanej przez wysoki kurs wymiany złotych na obcą walutę. Jedną z ważnych konsekwencji socjalnych inflacji jest przypadkowe zróżnicowanie poziomu dochodów poszczególnych grup ludności, a drugą - być może istotniejszą na dłuższą metę - jest obsesja braku poczucia bezpieczeństwa, perspektyw, a więc życia z dnia na dzień (przy degradacji pieniądza, oszczędność traci sens). Drugim efektem otwarcia gospodarki na rynek światowy jest możliwość bankrutstwa firm polskich, które nie będą mogły spełnić wymogów konkurencyjności wobec firm zachodnich. Powstaje więc kwestia bezrobocia, bądź przesunięcia całych grup pracowniczych z jednych zawodów do innych.

Można jeszcze powiedzieć o innych aspektach odejścia państwa od regulowania cen. Mamy w Polsce do czynienia z - by tak rzec - układem cen socjalnych dla konsumenta (ceny żywności, mieszkań kwaterekowych). Na Zachodzie też istnieje praktyka dotowania cen pewnych artykułów, co do których uważa się, iż powinny być masowo spożywane, jednak u nas zakres owych cen dotowanych będzie musiał się znacznie zmniejszyć, co - zwłaszcza w przypadku dóbr o znaczeniu podstawowym - może wpłynąć ujemnie na strukturę spożycia (przede wszystkim w gospodarstwach domowych o niższym poziomie dochodów). Reglamentację zawsze można ominąć przez podwyżki cen, które powodują, że tacy konsumenci lub pewna część popytu zostaje wyeliminowana z rynku. Należy postawić pytanie: czy można sobie pozwolić na taki eksperyment (np. wyeliminowanie popytu na mięso) przy obecnym stanie wyżywienia?

Jest jeszcze inny aspekt socjalny kwestii cenowej: ochrona pewnych sfer produkcji. Dotyczy to cen regulowanych na pewne surowce czy też materiały zaopatrzenia przemysłu. W przypadku uruchomienia mechanizmu rynkowego mogłoby się okazać, że wiele firm stoi na krawędzi bankrutstwa. Pozostaje również kwestia wysokich cen skupu, dzięki którym mogły funkcjonować wszystkie działy rolnictwa, a więc również te o bardzo wysokich kosztach marginalnych. Reforma likwidująca cechy socjalne polityki cenowej powodowałaby zmianę struktury gospodarstwa rolnych (bankrutstwo, wyprzedaj). Pojawia się problem, co zrobić z pracownikami nierentownych zakładów i posiadaczami małych gospodarstw rolnych.

Następny problem, wiążący się z wycofywaniem się państwa ze sfery socjalnej w ramach polityki gospodarczej, odnosi się do spraw zatrudnienia. Można to o ująć w ten sposób: niska płaca - pełne zatrudnienie (choć jasne jest, że takie zatrudnienie jest nieefektywne i wiąże się z marnotrawstwem energii ludzkiej). Likwidacja mechanizmu ograniczania płac w wyniku wprowadzenia mechanizmów rynku stwarza możliwość wzrostu płac. Jednocześnie przedsiębiorstwo musi brać pod uwagę siłę roboczą jako istotny element rachunku ekonomicznego, co w efekcie może wywołać bezrobocie.

Model gospodarki rynkowej, do którego dążymy ma wiele zalet. Jest bardziej efektywny, daje sporę część społeczeństwa możliwość mobilizacji, odnalezienia tożsamości oraz pewne perspektywy życiowe. Natomiast jest to niewątpliwie model gospodarki cierpiącej, w krótkich okresach, na bezrobocie. 20 lat wspólnego wzrostu gospodarki, kiedy

bezrobocie praktycznie zniknęło, nie może nam przyszkalać tego problemu społecznego.

I wreszcie ostatni, trzeci problem dotyczy roli państwa w rozdzielnicie i reglamentacji dóbr. Taka działalność może podlegać częściowej akceptacji społecznej, bowiem sprzyja rozdawaniu przywilejów nomenklaturze, jak również osobom związanym z aparatem. Tworzenie wolnego rynku na reglamentowane towary zlikwidowałoby te zjawiska. Nie należy zapominać, że rozdzielniczość dóbr jest w pewnym stopniu wykorzystywana przez szarego człowieka, który ma pewną nadzieję, że i on także znajdzie się na liście przydziałów, co pozwoli mu skorzystać na różnicy pomiędzy regulowaną ceną urzędową a ceną wolnorynkową. Rozdzielniczość mięsa można zastąpić wynikami cenami równowagi, ale można doprowadzić w ten sposób do wyeliminowania konsumentów o niskich dochodach.

Ważna jest też sprawa stworzenia rynku kapitałowego i prywatnej własności środków produkcji - elementów niezbędnych do funkcjonowania gospodarki. Wiąże się z nimi cała sfera motywacji działań i postaw społecznych, które nie zawsze oprzyja takim nastawieniem. Dochodzi do tego problem związany z wytworzeniem nowej warstwy średniej, która dotychczas istniała w zaledwie. Mogłaby ona stanowić rdzeń społeczeństwa, wpływając na bieg spraw politycznych i gospodarczych. Jej powstanie doprowadziłoby do zmiany hierarchii pewnych zawodów. Mam na myśli ogólny upadek prestiżu społecznego inteligencji (być może z pominięciem paru profesji, takich jak prawnik czy ekonomista). Natomiast zawód naukowca czy socjologa znalazłby się na dole tej warstwy średniej.

Następnym zjawiskiem związanym z powstaniem rynku jest akumulacja własności. Wiąże się to z kwestią wykształcania się elit. Dotychczas proces ten polegał na przetrzymywaniu pozycji w elicie władzy na przywileje, które ta władza rozdziela. W nowej sytuacji elity tworzyłyby się dzięki akumulacji majątku.

Reforma gospodarcza wywoła zapewne szereg konfliktów. Do tej pory istniał podstawowy konflikt pomiędzy władzą i społeczeństwem. Myślę, że te konflikty będą miały charakter bardziej pluralistyczny. Rozpadną się na konflikty między młodymi i starymi np. w konkurencji o miejsce pracy, na konflikty gałęziowe, międzybranżowe i zakładowe, na konflikty między przedsiębiorstwami zagrożonymi bankrutstwem oraz związane z pogorzeniem się warunków materialnych. Będą to także konflikty pomiędzy kobietami a mężczyznami w walce o miejsce na rynku pracy. W tej walce na ogół przegrywają kobiety.

Proces reformowania gospodarki nie może przebiegać bezkonfliktowo. Sprawa sprowadza się do tego, aby konflikty opóźniające reformę nie zagroziły jej w całości.

Chcę jeszcze zwrócić uwagę na pewne kwestie z dziedziny polityki socjalnej. Kiedy państwo wycofa się z kreowania faktów socjalnych za pomocą polityki gospodarczej, niezbędne będzie ustanowienie sfery socjalnej - zespołu instytucji łagodzących negatywne skutki funkcjonowania gospodarki rynkowej. Dotychczasowa polityka społeczna nie jest w stanie zaradzić wielu problemom, a zwłaszcza czasowemu bezrobociu i pauperyzacji pewnych grup ludności. Dotychczasowe rozwiązania na szczeblu centralnym np. przeciwstawienie się niedostatkom (np. przez zasiłki rodzinne), są całkowicie niewystarczające. Jedno rozwiązanie polegałoby na zindywidualizowaniu pomocy socjalnej, tj. stworzeniu instytucji, w których urzędnik byłby przychylny wobec petenta. Jest to więc problem kultury w stosunkach między społeczeństwem a państwem. Mam ogromne wątpliwości, czy takie instytucje można będzie utworzyć w ciągu paru lat.

Nawet istnienie takich instytucji nie rozwiązuje problemu ostatecznic. Możemy bowiem mieć wtedy do czynienia, jak to się okieśliła w Niemczech, ze społeczeństwem dwóch trzecich, czyli tej części społeczeństwa, która jest w stanie mobilnie uczestniczyć zawodowo i życiowo w postępie gospodarczym. Jedna trzecia zaś nie będzie uczestniczyć w rozwoju i pozostanie na poziomie minimum. Polityka społeczna jest nieskuteczna w takich przypadkach, bowiem pozostaje do rozstrzygnięcia złożony problem socjoteczniczych, socjologicznych i psychologicznych uwarunkowań.

W konflikcie między pracującymi a pozbawionymi pracy związki zawodowe na Zachodzie stają - jak się wydaje - po stronie tych pierwszych. Związki zawodowe bowiem nie są w stanie zapewnić funduszu społecznego, który ograniczałby problem bezrobocia. Nie jest jasne jak społeczeństwo polskie znajdzie konsensus społeczny, wspomagający działania na rzecz reformy.

Irena Wóycicka.

Tekst wygłoszony na spotkaniu Klubu im. J. Strzeleckiego
17.11.1988 r.

Pocziwy Stalin, który - jak widzimy - zezwolił chłopskiej rodzinie na to, by nie umarła z głodu w latach trzydziestych, tak samo zresztą, jak pocziwy Breżniew, który uparcie zachęcał chłopów do intensyfikacji pracy na działkach przyzagonowych w latach siedemdziesiątych, nie precyzując, oczywiście, jaką część doby powinien chłop poświęcać gospodarstwu indywidualnemu. Zrozumiałe, że jedynie taką, jaka pozostanie mu po pracy w kolchozie...

Oto, gdzie zaczyna się czarny rynek! Tu, a nie u wrót bazaru.

Zaczyna się od tego, że chłopka zmusza się by sprzedawał swoją pracę w godzinach nadliczbowych, podczas gdy jego pracę w kolchozie zabiera się mu po prostu za darmo lub prawie za darmo, nie zaspokajając najbardziej elementarnych potrzeb chłopkiej rodziny. Oto gdzie kryje się najważniejsza operacja "kupna-przedaży" na czarnym rynku: sprzedaje się nie marchewkę i nie pietruszkę, ale pracę i życie chłopka...

* * *

[...] Jeśli cieszą nas dochody chłopka z jego własnego gospodarstwa przyzgodowego, pomyślimy: skoro w rozwiniętym kraju przemysłowym człowiek będący w pełni sił musi pracować na granicy fizycznej wydolności (inaczej nie jest w stanie wyżyć rodziny), czy to nie oznacza, że dodatkowy czas pracy jest wydłużony poza naturalne, określone przez przyrodę granice? Czy to nie jest eksploatacja ponad wszelkie możliwości? [...]

Od samego początku powszechnej kolektywizacji, od pierwszych dni kolchozowego systemu "proletariackiego" państwo pozostawiło chłopka na kasce losu. Chłopu odebrano wszystko, nie troszcząc się w najmniejszym stopniu o to, czy pozostały mu chociażby najbardziej niezbędne środki do życia.

Jakiż to sadyzyczny akt - zakomunikować z dumą, jak o wielkim osiągnięciu (czyż nie do tego zmierzano?), na XVIII zjeździe partii: W rejonach zbożowych [podkreślenie moje - L. T.] ilość zboża, jaką otrzymała rodzina jednego kolchozu, zwiększyła się średnio z 61 pudów w 1933 r. do 144 pudów w 1937 r. I to gdzie! Na Kubaniu, nad Donem, w okolicach Noworosyjska - na najbogatszych ziemiach, o których już ponad sto lat temu Sismondi wiedział, że są w stanie żywić nie tylko zamieszkującą je ludność, ale także wydać taki plon, że w rosyjskie zboże łatwo byłoby zaopatrzyć wszystkie rynki, które cywilizowana Europa pozostawi otwarte dla Rosjan i Polaków.

Sześćdziesiąt jeden pudów na liczną chłopską rodzinę to głód, to dwustugramowa, wężiczna porcja dzienna na osobę. 144 pudy to zaledwie możliwe bytowanie. A tak się działo w najbogatszych rejonach zbożowych. A co się dzieje w Riazaniu? Smoleńsku, Władimirze, Wołogdzie? O tym się w ogóle nie wspomina, tak jakby te tereny wymarły. A nicwiele do tego brakowało. na s. 10

wało... Głód w 1939 roku. Głódne lata wojny. Głód w 47. Głód w 49. W innych latach co prawda nie pickło się płasków z trawy, ale też nigdy nie jadło się do syta. Jeszcze w 1963 r. było w kraju tysiące kolchozów, gdzie chłop otrzymywał za swoją pracę 6-7 pudów ziarna i 10-15 rubli w formie pieniężnej.

Państwo zabiera chłopu produkt przez niego wytworzony w kolchozie. Nie robi tego otwarcie, ordynarnie, przy pomocy przymusu fizycznego, który mógłby wywołać niepożądane przeciwdziałanie, ale przy pomocy cen skupu. Stwarza się pozory, że produktu się chłopu nie zabiera, lecz kupuje od niego. Ponieważ jednak wyprodukował go mało, nie zarobił nic. Któż tu jest winien?

Finansując produkcję rolniczą władza robi więc dobre wujaszka - jedynie wyjątkowa szczerność skłania ją, by dopłacała do nierentownego gospodarstwa, które nie ma racji bytu... Uwaga, uwaga! Czy to możliwe, żeby ludzie uznali za nierentowną sprawę własnego wyżywienia? Czy gdziekolwiek indziej na świecie byłoby możliwe, żeby produkcja mięsa, mleka, ziemniaków była nierentowna przy jednoczesnym niedoborze tych artykułów?

Całą tę głodową maskaradę urządzono w jednym jedynym celu: żeby ukryć oczywisty fakt, że znaczna część produkcji rolniczej po prostu zabiera się za darmo, ponieważ obowiązujące ceny w żadnej mierze nie odpowiadają jej faktycznym kosztom społecznym. [...]

Rolnictwu zabiera się nieodpłatnie wartości, które należy wycofać przynajmniej na 30 mld rubli. Ich część wraca tam z powrotem w demagogicznej obwołoci. Jednakże bynajmniej nie w całości i bynajmniej nie pod ten adres, który wskazywałby żywotnie zainteresowani sprawą konsumenci, konsumenci, którzy cierpią z powodu niedostatku mięsa, artykułów mleczarskich, jarzyn, jaj. Produkcja zwierzęca np. w ciągu długich lat otrzymywała tak mizerny zwrot wyprodukowanych przez nią wartości, że z ledwością tego starczało chociażby na produkcję prosta. Wskutek tego w kraju i dziś obserwuje się katastrofalny brak mięsa. A z tego powodu cierpią w pierwszej rzędzie robotnicy przedsiębiorstw przemysłowych - proletariatu, którego dobro jest podobno podstawą polityki państwa.

Jeżeli jednak produkcja zwierzęca otrzymuje jedynie niepełną ilość tej części dochodu narodowego, która należałaby się jej zgodnie z prawami produkcji towarowej, to niepełną ilość otrzymują także chłopki, zatrudnieni w kolchozowej produkcji zwierzęcej. System norm i wycen jednostkowych skonstruowany jest tak, że znaczna część pracy społecznie niezbędnej nie jest opłacana.

Można przykładowo obliczyć jaką część produktu niezbędnego, zabiera się chłopu nieodpłatnie: według obliczeń wykonanych różnymi metodami wynosi ona od 40 do 60% kosztów produkcji siły roboczej o średnim stopniu kwalifikacji. To znaczy, że od 60 do 40% produktu

cd. na s. 11

Irena Chrzanowska

Andrzej Chrzanowski

Radzieckie nadzieje i niepokoje. z listów do redakcji gazet

Listy od czytelników publikowane przez czasopisma radzieckie stanowią zaledwie mały ułamek tego, co otrzymują redakcje /od kilkuset po kilka tysięcy miesięcznie/. Nierzadko jedna wypowiedź powoduje napływ setek listów.

Zjawisko to jest niewątpliwie funkcją pocztyński i atrakcyjności pracy. Reakcją czytelników wywołuje przede wszystkim drapieżna i pełna pasji publicystyka społeczno-historyczna. Czytelnicy dają wyraz swemu stanowisku wobec historii i współczesności radzieckiej, uzupełniają obraz problemów przedstawianych w artykułach, formułują własne postulaty. Redakcje poświęcają wiele miejsca zarówno na druk listów /czasem po kilka kolumn w numerze/, jak i na omówienia napływającej korespondencji. Starają się wychwytać najpowszechniejsze opinie i postawy czytelników w danej sprawie, nie pomijając wszelako głosów najciekawszych i najoryginalniejszych.

Listy do redakcji można uważać za jedną z form postępującego uobywatelnienia społeczeństwa radzieckiego, dochodzenia do głosu opinii publicznej. Radziecki boom epistolarny jest tyleż przejawem rozbudzenia opinii publicznej, co wyrazem jej... bezradności.

Paradoks ten wychwytyje S. Załygin (rozmowa z pisarzem, "Izwestija" z 28.VI.1988): *Opinia społeczna sama z siebie nie może skruszyć starego aparatu, ani stworzyć nowego; nie stanowi prawa, ani go nie zmienia /.../ Opinia społeczna to realna siła, na której można i należy się oprzeć. Jeśli jej zabraknie, nie się nie da zrobić. Jeśli opinia społeczna nie znajdzie ujścia, nie zobaczy efektów swego włączenia się w sprawę kraju, nieuchronnie zadławi się, zubożyci i zginie; do tego właśnie zmierzają przeciwnicy przebudowy. Co będzie potem, dobrze wiadomo: wszzechmocny aparat i bezsilny naród. Pewien biurokrata powiedział mi: dziś głównym niebezpieczeństwem społecznym jest społeczeństwo.*

Wyrażanie poglądów poprzez pisanie listów do redakcji byłoby niepełną i zastępczą formą uobywatelnienia, gdyby nie towarzyszyły jej inne. Rosnący ruch grup i stowarzyszeń nieformalnych, wiece i dyskusje w miejscach publicznych, aktywność w ramach "starych" instytucji są elementami tej sytuacji, którą sama władza nazywa rewolucyjną. Władza nie zawsze jest skłonna od razu zaakceptować rodzące się "na dole" konsekwencje tej rewolucyjności. Jest to jeszcze jeden z paradoksów radzieckiej sytuacji.

Inny paradoks dotyczy statusu rozbudzonej opinii publicznej. Zrodziła ją bowiem rewolucja ogólna. Politycznej woli kierownictwa partyjnego zawdzięcza ona owe istnienie i swą śmiałość. Jej protest jest jednak skierowany ku mniej lub bardziej określonej "górze". Władza nie zdążyła jeszcze zaproponować skutecznych form pozyskania szerokich rzesz społecznych dla swojego projektu reformatorskiego, podczas gdy społeczeństwo niecierpliwie już poszukuje dróg wyjścia poza ciasne ramy starych instytucji. *Jak się znaleźć wobec tej gigantycznej, rozbudzonej energii ludzkiej? - pyta G. Terechowa w omówieniu listów, jakie napłynęły do "Sowietskij Kultur" /14.VI.1988/: Jak faktycznie poiągnąć ku rozstrzygnięciu ważnych społecznie problemów tych wszystkich, którzy myślą w kategoriach państwa? Nicotety, nasze instytucje demokratyczne albo nadal pracują według starych schematów, albo nie pracują w ogóle.*

Przedstawiony poniżej wybór listów pochodzi głównie z okresu bezpośrednio poprzedzającego XIX konferencję KPZR. Wydarzeniu temu towarzyszyły gorętsze niż zwykle dyskusje i spory. Wybór został dokonany tak, aby przynajmniej częściowo oddać tę atmosferę.

Ciemne plamy na głośności

List Słuszarza W. Łukazy ("Ogoniok", 22/1988): *Czy nie dość sekretów w sprawach, które ich wcale nie potrzebują? Nimb wyjątkowości, wielkości, niebotyczności, jakim otoczony był piedestał naszej władzy najwyższej w czasach "wielkiego wodza", nie rozpylnił się do tej pory. Dlaczego właściciel nasz naród nie ma prawa znać prawdziwych rozmów i skrytych myśli tych, którym udzielono wielkich pełnomocnictw myślenia i podejmowania za niego decyzji w sprawach państwowych?! Życie i zdrowy rozsądek mówią: dość tajemnic przed narodem! Było ich zbyt dużo w naszej przeszłości. Jedną z takich tajemnic był niegdyś list-testament Lenina do XIII zjazdu WKPb. Sekret ten stał się straszliwą rzeczywistością w postaci kultu jednostki i kosztował życie miliony niewinnych ludzi. Stworzył i naszą rzeczywistość, te wypaczenia, o których mówimy teraz otwarcie: niski poziom życia, słabą gospodarkę, rolnictwo nie mogące wyżywić ludności [...].*

Chciałbym jeszcze powiedzieć, że coraz bardziej niepokoi mnie stan naszej jawności. Jak mi się wydaje, staje się ona coraz bardziej wybiórcza, względna. Przykładów jest nadmiar. Oto jeden z ostatnich - wydarzenia w Nagornoj Karabachii [lutym 1988 - przyp. aut.] i ich następcstwa. Nadzwyczaj skąpa i wątna informacja o nich wywołała jedynie uczucie złości i największego rozdrażnienia. Uwierzyć mi, że nigdy wcześniej nie słuchałem Głosu Ameryki. I oto właśnie w erze głośności zmuszony byłem odwołać się do tego źródła informacji nie będąc

przekonanym w pełni o jego ścisłości. Cóż to więc za głośność, która zmusza do słuchania Głosu Ameryki?

W. Zima ("Sowietskaja Kultura", 9.VI.1988, rubryka "Jest' wnicnije") pisze o archiwach: [...] Usunięcie zasłony tajemnicy z partyjnych, innych archiwów jest potrzebne przede wszystkim po to, aby obecni urzędnicy czuli swą odpowiedzialność przed sądem potomnych. Myślę, że gdyby śledczy torturujący w 1937 r. zupełnie niewinnych ludzi wiedzieli, że będą ujawnienie protokoły wraz ze śladami krwi, byłoby mniej takich dokumentów.

A. Zubieński, już po XIX konferencji, pisze z pasją ("Ogoniok", 28/1988): Pomówmy o jawności! Od czasu kwietniowego plenum 1985 r. to z pewnością najważniejsza, najbardziej rzucająca się w oczy zmiana w naszym życiu [...] Człowiek czyta, słucha i myśli: tak, JAWNOŚĆ. Rzeczywiście, jawność. Rzeczywiście?

Alc oto zagadka: Cała ta jawność skupia się gdzieś tam u was, w Moskiewie. Dla Kijowa jest już inna jawność. Dla Czerkass jeszcze inna, bardzo już skromna. A dla Mirgorodu, Smiły i Konotopu zostają już tylko resztki. A przecież nie ma "jesiotra drugiej świeżości"! Jeśli jest jawność - 1, jawność - 2 itd., to znaczy, niestety, że jawności nie ma wcale, a tylko są jej pozory. Jak wytknąć, że do tej pory nie opublikowano "tajnego" referatu Chruszczowa? Jak wytknąć, że tak jak dawniej niedostępne są dane statystyki medycznej i ekologicznej? [...] Zresztą, czemu się dziwić? Współpracownicy - lub dokładnicy, współpracownicy - Stalina w większości już w grobie, podczas gdy wielu winowajców z lat zastoju nawet jeszcze nie jest na emeryturze [...].

List E. M. Kurienkowa z Tuły ("Sowietskaja Kultura", 7.VI.1988): Dlaczego za granicą wszystko wiadomo o problemach ZSRR, a jego obywatele nie byli poinformowani? Czyżby u nas nie było uczonych, ministrów, organizatorów produkcji, których obowiązkiem było wiedzieć i przewidywać. Jeśli nie wiedzieli, to coż są wari? A jeśli wiedzieli i milczeli, to jest to przestępstwo.

I. Czugujow ze Słonimia podsumowuje swoje doświadczenia w ujawnianiu nadużyć władz lokalnych ("Izwestija", 6.VI.1988): Niektórzy mówią - po co piszesz, tracisz nerwy, a i tak nic nie zmienisz. Ja jestem jednak optymistą, wiem, że te wypowiedzi sceptyków podkopują aktywność ludzi, którzy zrozumieli sens przebudowy i zaakceptowali ją. Minął już czas tych, którzy po cichu potrafili "zakatwić" sprawy. Nadchodzi czas, kiedy jawność jest najlepszą pomocą w pracy.

List Jolkinia "Izwestija" (18.VI.1988) opublikowały omówienie setek listów, które nadeszły w odpowiedzi na list Walerego Jolkinia z Estonii. Jolkin postawił problem nieodwracalności pieriestrojki w świetle wcześniejszych rozczarowań: W wieku 13 lat dowiedzieliśmy się kim był Stalin, w wieku 24 - kim był Chruszczow, w wieku 42 - Breżniew [...]. Pyta, co robić, aby partia nigdy więcej nie musiała się wstydić w obliczu przyszłych pokoleń, jak ja wstydić się dziś pytających spojrzeń swych, wychowanych w latach zastoju, dzieci: Gdzie ty, komunista, byłeś przez te wszystkie lata?

Oto niektóre reakcje (bywało też, że zarzucano Jolkinowi zamiar "wypłynięcia na falę", "przypochebienia się obecnej okipie") na list estońskiego komunisty:

Weteran walki i pracy z Soczi: "Zmęczeni już jesteśmy kolejnymi obietnicami, zmęczeni jesteśmy trudnym życiem [...] My, zwykli obywatele radzieccy płacimy teraz za nicudolne rządy, których nigdy nie wybieraliśmy [...]."

Czytelniczka z Kijowa: Wasze obecne życie to prymitywne potrzeby, prymitywne możliwości, wszędzie nas poniżają. Człowiek powinien mieć swoją godność, gdy tymczasem najważniejszym celem jest zdobycie pasty do zębów... Jak dobrze byłoby dożyć tego jasnego dnia, odetchnąć z ulgą.

Pieriestrojka w partii
Zmienia się świadomość społeczeństwa radzieckiego. Oto kilka cytatów podanych za "Izwestijami" (rubryka "Czytając listy", 18.VI.1988).
W. Szestakow z Nowogrodu: Nie tylko partii należy się coś od nas, ale partia jest winna coś narodowi.

S. Jagielski z Kowna: Jeśli partia pozostanie zakonem kawalerów miedzonych, reformy społeczne nie powiodą się, jak to już nie raz bywało.

Robotnik W. Sajdulin: Jest tylko jedna droga - zburzenie stworzonej przez Stalina struktury partii, gdzie u szczytu znajduje się sekretarz generalny... Wszystkie nasze niepowodzenia, szarpanina i błędzenie mają swe źródło w strukturze aparatu partyjnego - zawodowców, podporządkowanych sobie rady deputowanych, odbierających władzę narodowi. Prawdziwe przywództwo jest nie do pogodzenia z zasadą wodzostwa [...].

W listach powtarzają się postulaty stworzenia w partii takich warunków, które raz na zawsze uchroniłyby nasze życie przed recydywą wodzostwa, przed niepodważalnymi autorytetami, przed nieograniczoną władzą prowadzącą często do zwykłego bezprawia (z omówienia listów w "Prawdzie" przez T. Szolis, 7.VI.1988).

W. Wiclikanow (tamże) z Leningradu pisze: Życie nicraz udowodniło, że mało kto nie oparł się pokusom związanym z długotrwałym sprawowaniem władzy. Dożywnie zajmowanie stanowisk przez przywódców partyjnych i państwowych jest zjawiskiem charakterystycznym dla krajów o niskim stopniu rozwoju kultury duchowej i materialnej. A tego nie można powiedzieć o naszym państwie. Naród radziecki osiągnął wystarczający poziom dojrzałości politycznej, aby mieć prawo do faktycznego wyboru swoich przywódców i aktywnego udziału w rządzeniu krajem.

T. Dzerwe (tamże), która spędziła 17 lat w obozach (przeszła surową i okrutną szkołę życia), uważa, że niezbędne jest wykluczenie możliwości

niezbędnego chłop musi zdobyć dodatkowo na swoim gospodarstwie przyzgodowym.

Okazuje się jednak, że to jeszcze nie wszystko: Porównano faktycznego poziomu minimalnych dochodów chłopskiej rodziny z ustalonym minimum wskazuje, że w latach 1960-1970 minimalna zapłata za pracę w kołchozach przy uwzględnieniu także i wszystkich innych źródeł rodzinnych dochodów (podkr. moje - L. T.) zabezpieczała reprodukcję siły roboczej w 80-85% w porównaniu z poziomem zwrotu nakładów pracy prostej w przemyśle.

A mówi się tyle o tych tysiącach, które chłop otrzymuje sprzedając produkty swego gospodarstwa przyzgodowego. Gdzież one są? Zaledwie wystarcza ich, by zastąpić te pieniądze, których mu nie zapłacono w kołchozie, które mu zabrało państwo.

Obrobawane w ten sposób chłopstwo, zdawałoby się, skazane było na degenerację i wymieranie. Ale instynkt samozachowawczy jest silny ślepego kociaka trudno jest utopić, a coś dopiero człowieka. Ludzie będą się bronić do ostatnich sił. Ma to zresztą liczyć radziecka polityka ekonomiczna...

Więc ludzie bronili się, uczyli, jak utrzymać się z czterdziestu, z piętnastu akrow, z piętnastu metrów kwadratowych ziemi. I nauczyli się. Żyją jakoś, nie dają się. Aż mi się gwiazdy w oczach pokażą. Pozbawieni niezbędnego produktu w kołchozie, zdobywają go w gospodarstwie przyzgodowym.

Zwróćmy jednak uwagę także i na to, że obrabawośmy chłopów w kołchozie, wycisnąwszy z niego wszystkie soki w swoim planowym, jawno-socjalistycznym tunelu, władza czuwała na udac się na kurację w sferę stosunków rynkowych. Czując czuwała, ale na smyczy, ograniczając mahowr ekonomiczny całym szeregiem zakazów i nakazów, tabu.

Minimalna wielkość działki, ściśle uzależnionej jej dzierżawy od odrobku w kołchozie lub sowchozie, ściśle reglamentacja paszy, brak rynku maszyn i narzędzi rolniczych, zakazy intensywnego wykorzystania ziemi, surowy zakaz działalności towarzyszy w zrzeszających osoby prywatne i towarzystwa spółdzielcze - wszystko to nie pozwala chłopu zostać niezależnym gospodarzem. Ten wór zakazów uniemożliwia rynkowi rozwijać się w pełni, przeskądza wytwórcy w nawiązaniu bezpośredniego kontaktu z konsumentem. Czarny rynek jest pod nadzorem uważnych oczu władzy administracyjnej, która dyktuje twarde warunki nieprzerwanego eksploatacji chłopów w kołchozie, sowchozie i na dziesięć przyzgodowców.

Jednocześnie władza nie może, nie chce, boi się do ontata sproletaryzować chłopów, uczynić zół jedynie nałanego robotnika. [...] Władze nie potrzebują wiejskiego proletariatu, bo władza partyjnej biurokracji nie umie pokierować jego pracą. Nie umie stworzyć mu takich warunków pracy, żeby otrzymując produkt niezbędny w postaci płacy, wyprodukował on wystarczającą dla społeczeństwa ilość produktu dodatkowego. Władza ta nie potrafi ani zorganizować produkcji towarów, ani handlować nimi.

cd. na s. 12

Ona potrafi jedynie odebrać to, co już wyprodukowano. A co można odebrać proletariuszowi? Jeśli w ogóle cokolwiek, to znacznie mniej niż chłopu. [...]

Proletariusza można zmusić do pracy i przez dziesięć i przez dwanaście, i przez czternaście godzin na dobę, jak to się robi w radzieckich przedsiębiorstwach przemysłowych podczas gwałtownego nadrabiania braków miesięcznych czy też rocznych. Ale proletariuszowi nie można w ogóle nie wypłacać poborów proponując mu, by żywił się własnym sumptem. Nie ma takich możliwości, by w poważnej mierze uzupełnił on swoje środki do życia gdzieś "na boku". Gdyby więc władze zaryzykowały regularne opłacanie robotników zatrudnionych w przemyśle jedynie w 40-60%, postawiłyby wręcz pod znakiem zapytania istnienie państwa. Dlatego radziecki system norm pracy, system płac, system cen i polityka rozdzielnictwa państwa radzieckiego skonstruowane są w ten sposób, żeby robotnik w każdym przypadku otrzymywał środki zapewniające mu minimum egzystencji. Nawet wtedy, gdy ta czy inna gałąź przemysłu lub budownictwa są nierentowne i dla pokrycia ich deficytu trzeba w odpowiedni sposób dokonywać wtórnego podziału produktu narodowego. [...]

Obojętność w stosunku do robotnika wiejskiego wydaje się władzom tak naturalna i tak mało godna nagany, że nie ukrywa jej nawet zbyt starannie. Można mu zapłacić tak mało, jak tylko się komuś podoba, nie licząc się z żadnymi normami społecznymi. I tak dorobi sobie w gospodarstwie przyzagrodowym i na czarnym rynku. I nie grozi to żadnym niebezpieczeństwem państwu i partyjnej biurokracji. Przeciwnie, formalnie popychają chłopca do sprzedaży artykułów przez niego wyprodukowanych w gospodarstwie przyzagrodowym. Właśnie obrót rynkowy zaspokaja dużą część potrzeb społecznych. Jakże je zaspokoić w inny sposób? Jak zbilansować potrzeby i możliwości? Jak zapobiec gwałtownej kolizji interesów społeczeństwa z interesami partyjnej biurokracji? Bez udziału rynku planowy socjalizm tylko teoretycznie toczy się jak po maśle, w praktyce jednak zaczyna się. [...]

Chłop zmuszony jest odrabiać codziennie dwie robocze dniówki. Większą część tego, co zarabia w czasie pierwszej z nich - w kołchozie, w systemie jawnego socjalizmu, państwo mu zabiera i dokonuje podziału zgodnie z własnym interesem i stosownie do własnego celu, którym jest zachowanie istniejącego systemu. Chłop nie ma ani produktu niezbędnego, ani prawa, by rozporządzać produktem dodatkowym...

Wtedy zaczyna się druga dniówka robocza. Zgodna z prawami czarnorynkowej produkcji tawarowej, zgodna z prawami niejawnego socjalizmu. Dniówka robocza, w czasie której chłop wykorzystuje cały swój kapitał osobisty: siłę roboczą, własną siłę, która pozostała

utrwalenia w partii władzy jednostki. Pierwszy krok w kierunku władzy jednostki - nieprzystępność osoby przywódcy, drugi - brak rotacji w obrębie aparatu partyjnego.

H. Chodorowicz (tamże) pisze o zaufaniu do kierownictwa partyjnego: Stalinowi ufano niejako iłą inercji, ze względu na Lenina. Gorbaczowowi ludzie czasami nie wierzą siłą bezwładu, ze względu na jego nicudolnego poprzednika. Gorbaczow ma bardzo trudne zadanie, rozumieć to. Poprzednie kierownictwo partyjne, mówiąc zupełnie szczerze, skrzywdziło wielu ludzi. Początkowy, hercyny obraz bojownika o sprawiedliwość powoli przybrał nadętą i wyniesłą postać partyjnego biurokraty.

Powszechne jest pragnienie radykalnej i nieodwracalnej poprawy. A. Filimonow, robotnik z Siwierodoniczka, sądzi, że jest to przede wszystkim kwestia mocnego postanowienia: Proponuję postanowić raz na zawsze: niezbędną jest radykalna pierestrojka w partii, potrzebny jest taki rodzaj demokracji, który zdecydowanie wykluczyłby nadużycie władzy, naruszanie praworządności, zasad socjalizmu (tamże).

Andriej Chramow, doker z Kaliningradu, nadesłał list do "Izwestij" o swoich próbach organizowania oddolnego poparcia dla pierestrojkowych inicjatyw "góry". Publikacja listu wywołała silny odzew czytelników (ponad sto listów). Oto kontrolowany fragment listu: [...] bez zmiany systemu aparat jest nie do pokonania. Ale kto ma ten system zmniejszyć? Wy - przodująca inteligencja - bez naszej pomocy nie zdołacie. A my - bez waszej. Powstaje pytanie - jak zmniejszyć? Nie tylko, że nie mamy odpowiedzi na to pytanie - brak jest nawet więzi między nami. Jestem komunistą z przekonania i z tego właśnie powodu nie jestem członkiem KPZR.

Dziennikarze "Izwestij" przeprowadzili wywiad z autorem listu /28.VI.1988/. Na pytanie, czy istnieje w kolektywnym pracowniczym siła zdolna wprowadzić w ruch demokrację, A. Chramow odpowiedział, że na razie jej brak. A w partii?

[...] Szczerze mówiąc całe świadome życie wahałem się, czy wstąpić do partii [...] Ideały komunizmu są bardzo piękne, można oddać za nie życie. Ale kiedy człowiek popatrzy wokół na tych, co się przysiali do partii, co myślał tylko o swoich interesach, kiedy się człowiek dowiaduje, jacy ludzie zajmowali w partii czelowe stanowiska, jakich dopuszczali się przestępstw, podłości, co innego mówili, a co innego robili, jak deptali ideały, o których mówili z trybun /.../ W ogóle to myślę tak: nie będąc członkiem partii, ale pozostając komunistą z przekonania, będę mógł dokonać w życiu więcej...

Baricery zmian

List G. Sidorowa ("Prawda" z 28.VI.1988): Wszędzie mamy do czynienia z wulgaryzacją, połowicznością, nickonskwencją, a zwłaszcza z oczywistymi pozorami pierestrojki. Wszystko to widzą masy i nadal biernie obserwują. Robotnicy przyzwyczajają się /a niektórzy już przywykli/ do słowa pierestrojka, jak przywyka się do wszystkiego, czym systematycznie karmi się świadomość, a co nie przekształca się w praktyczne działania. Tak jak i dawniej panuje swoisty zamęt. Każdy sobie rzepkę skrobie. Mówi się, trąbi się, apeluje, pisze. Brak natomiast wyraźnie ukierunkowanych działań. Nie ma niezbędnej reformatorskiej siły, która by stanowczo, konsekwentnie i twardo wcieliła w życie koncepcje partii, a dokładniej - jej kierownictwa. Oczywiście, tu i ówdzie coś się niby wyczyszcza, coś się niby lata, niby odnawia, coś się niby... Jednak oportunistyczny system trwa nadal.

Oprócz niedostatku zorganizowanych form działań, o których mówił list poprzedni, trzeba pamiętać o barierach w świadomości ludzi. I. Konicow ("Izwestija", 24.VI.1988) pisze: Jestem z pokolenia, które urodziło się i kończyło szkołę za czasów Stalina. Wychowano nas w wernopodadanych uczuciach czci dla wodza wszystkich narodów, w wierze w jego niezłomny geniusz. Potem był XX zjazd, woluntaryzm, potem wiele pustych słów i pozorowanych działań - zastój. Nie znamy tego z gazet i TV. Nasze serca i uszyły nasłaniały tym. To wszystko jest w nas. Uczono nas demaskować wrogów narodu i dobrze pracować. Początek cry Chruszczowa był bardzo obiecujący, ale niczego nie doprowadzono sensownie do końca. Za Breżniewa znowu zaczęto chwalić Stalina i oduczać pracy. Jak najwięcej wziąć - jak najmniej zrobić. Chwalono władzę, schlebiano jej, kłamano. A przecież nie da się nas wyrzucić, usunąć, nie zamknąć się nam oczu. Jesteśmy! Ciekawe, czy uwzględnią się to i jak w planach pierestrojki?

O podobnym rodzaju problemów mówi reżyser filmowy, S. Goworuchin ("Sowietskaja Kultura", 7.VI.1988): Wydaje się, że w ciągu półwiecza nasze społeczeństwo wytworzyło szczególnie typ człowieka. Człowieka wychowanego w społeczeństwie, w którym wiele pojęć uległo zmianie, nabrało odmiennego znaczenia. Niedawno byłam w Czecczeno-Inguszetii. Ludzie starzy mówią tam tak: aby pierestrojka się powiodła, trzeba, aby upłynęły trzy pokolenia. I to właśnie napawa mnie lękiem. Wydaje mi się, że jest w tym część prawdy. Złodziejstwo na przykład stało się czymś normalnym [...]

Rozterki urzędnika

A. Ruso z Kiszyniowa ("Prawda" z 28.VI.1988) pisze: Jestem zwykłym, szeregowym pracownikiem aparatu administracyjno-zarządzającego w jednym z zakładów przemysłowych, czyli jednym z setek tysięcy tych, których wskutek nadechodzących przeobrażeń rewolucyjnych, mimowolnie ogarnia dławiąca twoga i niepokój o przyszłość, o pomyślność własną i rodziny [...]

Wykonywałem, jak mi mówiono (i w co wierzyłem), potrzebną i pożyteczną pracę. Jednocześnie przejawiałem inicjatywę, miałem pożądane wyniki, awansowałem, coraz więcej zarabiałem, coraz większym cieszylem

się szacunkiem. Moja osobowość, jak teraz rozumiem, ukształtowała się w czasach zastoju.

Mam teraz 40 lat. I co? Wszystko co zrobiłem, osiągnąłem, to bluff? Zmarnowane lata, zdrowie - pod prąd picierestrojki? Wygląda na to, że tak.

Oczywiście, w latach zastoju aparat zarządzający wyhodował wielu formalistów i biurokratów, ale nie należy wszystkich jednakowo łądować do jednego biurokratycznego kotła.

Wydaje mi się, że winą za złe funkcjonowanie naszego mechanizmu gospodarczego należy obarczać nie sam mechanizm i jego elementy składowe, lecz tych, co go stworzyli. Winien jest system stosunków [...] powstały i utrwalony w odległych od nas latach 30. I my wszyscy, w tym również pracownicy sektora administracyjno-zarządzającego, jesteśmy ofiarami tego systemu. I to wszystko trzeba rozumieć i traktować poszkodowanych jak ofiary - działać w roli adwokata, a nie kata.

Jestem za picierestrojką. Ale za picierestrojką rozumną, bez społecznych wynaturzeń [...]

Śmieszne czy groźne? Głosy reakcji

My niżej podpisani - takim tytułem opatrzyła redakcja "Sowietskoj Kultury" (30.IV.1988) kilka listów, które nadeszły w odpowiedzi na jedną z publikacji gazety - wyrażonych w nich opinii redakcja nie aprobuje. Poglądy w nich wyrażone są charakterystyczne dla pewnego odłamu opinii, wrogiej reformom zapoczątkowanym przez Gorbaczowa.

List G. Matwiejca: Czy komitet centralny nie może się uporać z renegeatami, z ideologicznymi dywersantami? [...] Nic wolno nikomu zamykać ust. Niechże rozwinie się i taki kwiat, jak np. Pamięć [...]

.../... A dlaczego nie można oceniać twórczości Rybakowa jako paranoicznej, "twórczości" Pugaczowej jako duchowej prostytutki? Naszej obecnej rock-muzyki jako dźwiękowego narkotyku [...]

Nie trzeba się łudzić, że czytelnicy nie odczytają sztygry grubymi niemi, nikczemnego i obraźliwego pragnienia [...], aby pod płaszczykiem jawności przemycić obcą ideologię komunistycznej koncepcję różnorodności społecznych stanowisk [...]

Dodam: nie wszyscy wrogowie partii i narodu zostali rozbić. Wielu przeżyło i w sprzyjającym czasie zemdliło się na swoich "krzywdzicielach" poddając ich represjom. Teraz ich pogrobowcy męczą z błotem Stalina. Owszem, jest on winien: nie wszystkich wrogów zniszczył.

W. Stepanow, wojskowy: Droga oczerniania, malowania przeszłości w wrocznych barwach, z pospępną, obozową perspektywą, nie "doprowadzi do świątyni". Oczywiście, trzeba uczyć się na błędach przeszłości, a nie delectować się nimi.

Teraz, w czas picierestrojki, jak nigdy przedtem potrzebujemy patriotycznych wlotów, duchowego entuzjazmu, rewolucyjnego porywu! A my stale usiłujemy się kajać! Dość Pokuty, Dzieci Arbatu, dość Dalej... dalej... dalej.... Uwierzcie mi, całe życie poświęciłem pracy z ludźmi, z żołnierzami naszej armii (już 25 lat). Te dzieła nie przyniosą żadnego pożytku sprawie wychowania, z goryczą będziemy spożywać owoce tych "wymażanych" dzieł. Nie trzeba pokazywać jak rozpinąć bluzeczki w przedziałkach pociągów pospiecznych szanowanym aktorkom (Dworzec dla dwójga E. Razanowa). Trzeba pokazywać heroizm BAm-u, Afganistanu, Czarnobyla. Trzeba nauczyć niektórych zatrudnionych w kulturze (np. E. Razanowa) szacunku dla ludzi w mundurze, dla widzów. Więcej skromności, szacunku dla przeszłości zamiast oszkalowania. Dopiero wtedy pójdziemy "dalej... dalej... dalej...".

W. Samojłow, robotnik: Dlaczego duchowa degradacja społeczeństwa rozwinęła się i postępowala tak zdecydowanie w okresie po Śmierci Stalina, kiedy to właśnie, jeśli wierzyć niszczycielom kultu - żydowskim historyczkom i ich potakawiczom - otworzyły się możliwości duchowego "zrzucenia jarzma" i rozwoju? Co spowodowało, że środki masowej informacji, związki twórcze, instytucje kultury i oświaty stały się aktywnymi nosicielami zachodniej kultury masowej, nastawionej właśnie na pustoszenie mózgowi i duszy, ogłupianie narodu, młodziży zaś w pierwszej kolejności? [...]

Wśród organizowanych przez redakcję odgłosów na temat działalności stowarzyszenia Pamięć występują "zabójcze" aluzje do pewnych analogii z nazistami. Chodzi o to, aby postraszyć możliwie odstręczającą ctykietką, jak i o ewidentne narzucanie przeciwstawnego modelu zachowania.

Wiadomo na przykład, że naziści podjęli zdecydowane działania wysierzone przeciwko złodziejom, narkomanom i prostytutkom itp. A my, okazując się, mamy cały ten śmietnik postawić na piedestał, robić hałaśliwą reklamę, pisać pełne głębokiej treści rozprawki, robić filmy, wywiady, jednym słowem uczyć się od nich żyć [...]

W ostatnim czasie, jakby na rozkaz, gazety i TV nawożują, aby "zrewidować obraz wroga". Jeśli już mowa o wrogu obcym, to, być może, warto poddać podobnej operacji i obraz wroga wczorajszego? I z mniejszą stronniczością zorientować się, jaki zbieg społeczno-historycznych okoliczności uczynił, umożliwił to zaciekłe i samobójcze rzucenie wyzwania całemu światu. Jakie czynniki pozwoliły Niemcom osiągnąć taki stopień mobilizacji zdecydowanej większości narodu, taką koncentrację woli i czynu, taki potężny rozwój propagandowy i organizacyjny? Czyżby tylko złe zamiary? Jakie miejsce wśród tych czynników zajmuje np. ustawowe ograniczenie udziału Żydów w życiu społeczno-politycznym? Nie tylko odpowiedzi, ale i pytania tego rodzaju tłumi się u nas profilaktycznie [...]

Wiele takich "smacznych kawałków" zrobiło karierę, stało się synonimami oporu wobec "oczyszczania przez prawdę". Z nastrojami

ed. na s. 14

mu po kołchozowej harówce i siłę roboczą swojej rodziny.

On sam decyduje tu o stopniu eksploatacji: minimum - żeby nie głodować, maksimum - żeby nie padać na twarz z niewyspania, pracując od trzeciej nad ranem do dziesiątej wieczorem. On sam określa (w ramach tego, co jest dozwolone) charakter produkcji w zależności od zapotrzebowania na te lub inne artykuły. [...]

Przyznać się do istnienia drobnego gospodarstwa indywidualnego w kraju rozwiniętego socjalizmu to już nicmało. Takie wyznanie wymusza ponowne przejrzenie z góry na dół (lub z dołu do góry) całego systemu powiązań gospodarczych. Informując o istnieniu 40 milionów drobnych gospodarstw indywidualnych po upływie prawie pół wieku od powszechnej kolektywizacji trzeba przyznać się do całkowitej ekonomicznej nieefektywności systemu kołchozowego. Ale jednocześnie trzeba się przyznać do tego, że kołchozy są nader pożyteczne z punktu widzenia politycznego, ponieważ stwarzają idealne warunki do rabowania chłopów przy pomocy czarnego rynku.

Niestety jednak, dokonawszy swego nicmałego rewolucyjnego, jeżeli wzięć pod uwagę radziecką naukę, "odkrycia", socjolog (Starowierow - przyp. red.) oświadcza: Ono [tzn. gospodarstwo chłopieckie - L. T.] będzie zanikać samo przez się, na drodze dobrowolnej, w miarę rozwoju gospodarstwa społeczno-ekonomicznego... Zapewnienie warunków dla obumierania tego gospodarstwa jako źródła dodatkowych dochodów pozwoli na zlikwidowanie najbardziej istotnych elementów zacofania wsi w stosunku do miasta.

I to już wszystko? To znaczy, że i taka ewentualność może być brana pod uwagę? Ależ gospodarstwo przyzagrodowe nie będzie zanikać ani "na drodze dobrowolnej", ani na żadnej innej. Jak zaznaczają najlepiej znający się na rzeczy specjaliści, po to, aby kołchozy i sowchozy w zupełności zaspokoili w 2000 roku rosnące zapotrzebowanie społeczeństwa na podstawowe artykuły żywnościowe i wyparły indywidualne gospodarstwa chłopów i robotników, produkcja młpca powinna się zwiększyć 4,5-krotnie, mleka 3-krotnie, jaj 18-krotnie.

Ale to jeszcze nie wszystko. Argumenty ekonomiczne nie decydują. Taki szybki rozwój rolnictwa może być możliwy, gdyby osłabił system zakazów i ograniczeń hamujących manewr gospodarczy. Ale i tak indywidualne gospodarstwa chłopieckie będą istniały w ich dzisiejszej postaci. Będą istniały tak długo, dopóki struktura rządząca urzędziwstwa swoją politykę kosztem czarnego rynku. A wątpliwe jest, czy jej polityka może być urzędziwstwiem w jakikolwiek inny sposób. To właśnie powinno się brać pod uwagę.

Chłop nie jest winien temu, że skazany jest na prowadzenie gospodarki towarowej nawet na powierzeni o wymiarach dziecięcej piaskownicy. A wy nie mamy prawa zapominać o jego losie, jeżeli chcemy wiedzieć, w jakim kraju żyjemy.

Low Tinofiejew

z teczki PANA IRKA

Postanowiłem założyć teczko, do której ma trafić wszystko, co stara się zatrzymać chwilę: wspomnienia, przelotne ale zarazem przemożne wrażenia, które stają się niespodzianie momentami iluminacji; zapisy rozmów, które wsiąkają w przemijanie; wszystkie drobne i ulotne teksty, związane z chwilą swego powstania, dokumentujące ją, świadczące o niej, które nie rozrosły się ani nie poddały przeróbce, tak, by stać się POWAŻNYMI TEKSTAMI. W Polsce czas jest pochłaniającym życie potworem - sprowadzony do spraw zasadniczych, do konstrukcji i zrzębów - jakby nie pozostawia obrazu tego-co-tworzy - nasze istnienie. Zwiększa minione 7 lat - to czas szczególny, "czas zamrożony", czas stępniony, a przecież nicubłaganie posuwający się, tak jak zawsze, wokół tarczy zegara... Chciałbym, aby do tej teczki wpadały wszelkie okruchy życia, aby ten potwór, okradający pamięć, był choć trochę oszukany. I właśnie te fragmenty, opisujące "samo życie" - chciałbym, aby tutaj się znajdowały. Teczka jest - oczywiście - teczką redakcyjną. Wiedza o niej wszyscy koledzy redaktorzy. Ale pragnęłbym, aby była otwarta dla wszystkich Czytelników. Bo zaponinamy, bo nasze udręki i chwile wlotów znikają nieustraszone. Któż pamięta lub kto utrwałby nastroje Warszawy z początku - dajmy na to - 1983 roku? Kto pamięta dni majowe tego roku? Albo kto pamięta ponurą zimę 1985 roku, której punktem rozrywkowym była... hałaśliwa muzyka, puszczana odgąd o piątej rano w pociągach ekspresowych?... Albo... Albo... Chodzi o to by miały swe miejsce te skrawki problemów, nastrojów, wydarzeń, szczerkowe opisy bądź dokumenty, bądź świadectwa. I żeby tutaj właśnie mogły się znaleźć.

Być może pierwszy tekst z tej "Teczki" nie jest aż tak ulotny. A przecież należy do tej samej kategorii tekstów. Jest to zapis rozmowy, którą przeprowadziła swego czasu z byłym członkiem PZPR moja przyjaciółka, pani Teresa. W ciągu tych lat 80-tych wystąpiło z PZPR ponad 1 mln członków /tylko ok. 46 tys. zostało wyrzuconych z powodów "merytorycznych"/.

W okresie od 1981 roku do 1987 PZPR zmienił swój charakter. Zmalała drastycznie liczba robotników, tak, że w tej chwili /grudzień 1988/ zdecydowaną większość członków PZPR stanowią

ludzie ze średnim i wyższym
cd. na s. 15

wyrażonymi w ostatnich listach współbrzmia słowa pisarza Jurija Bondariewa, wyłożone na XIX konferencji partyjnej ("Literaturnaja Gazieta" z 6.VII.1988): Amoralność prasy nie może nauczyć moralności. Amoralizm w ideologii przynosi deprawację ducha.

Ludzi publikujących artykuły o zbrodniach epoki stalinowskiej nazywa Bondariew herostratami myśli, czystego uczucia, sumienia. Wzorem innych "moralistów" czasów heroicznych ubolewa nad wpływem "amoralnego wydania" na młodzież: Niemalże zdradzamy naszą młodzież, pustoszmy jej duszę skalpelcem anarchicznej gadaniny, tanim, demagogicznym przypochlebianiem się (tamże).

Po konferencji

"Sowieckaja Kultura" (z 7 i 12.VII.1988) omawia główne wątki listów, które nadeszły do redakcji bezpośrednio po XIX konferencji partyjnej. Powtarza się w nich wezwania, aby przechodzić od słów do konkretnych czynów. Wiele obaw wywołały wystąpienia delegatów atakujących prasę: Cieszy otwartość i śmiałość sądów w wystąpieniach wielu delegatów. Ale równocześnie w szeregu przemówień pojawiły się zbyt ostre, jak na mój gust, napaści na prasę. A przecież nikt tak jak prasa nie uosobnił się od krępujących więzów i zależności od biurokratów i asekurantów ("Literaturnaja Gazieta" z 13.VII.1988, list B. Brusznina).

N. Popow w artykule "Osobojc zwieno cpi" ("Sowieckaja Kultura" z 12.VII.1988) pisze, że prawie we wszystkich wystąpieniach pobrzmięła niepokoju o los pieriestrojki, o to, że reforma gospodarza kręci się w miejscu, demokratyzacja wyraża się głównie w słowach, biurokraci pozostają nieknięci, bojownicy o pieriestrojke są bezbronni w obliczu samowoli władzy.

Pełna aproba konferencji - bezwarunkowo aprobując ducha i atmosferę konferencji (A. P. Kuczma, "Sow. Kultura", 7.VII.1988) - przepłata się z niepokojem o odczuwalne efekty pieriestrojki dla zwykłych obywateli - Naszą wspólną troską ma być to, aby On i Ona [Iwan i Maria - przeciętni obywatele, przyp. aut.] odczuli zmiany na lepsze w codziennym życiu, nabrali zaufania do siebie, uwierzyli, że wszystkie te innowacje to dla ich dobra. W przeciwnym razie wkrótce powiedzą: sami wypijcie to piwo, któregoście nawarzyli... (W. Jaworiskij z Kijowa: Kogo wy Iwan z Marią popieracie?, "Literaturnaja Gazieta", 13.VII.1988/.

Irena Chrzanowska
Andrzej Chrzanowski

Aileen Kelly ROSJA WG SCHAPIRO

We wstępie do swojej książki *Sowiecka myśl polityczna* Robert Tucker zauważa, że historia polityki dwudziestego wieku może być widziana jako proces urzeczywistniania marzeń wieku dziewiętnastego. Nicwielu było badaczy sowieckiej historii tak żarliwie zaangażowanych w dowodzenie słuszności tego poglądu, jak Leonard Schapiro, i niewielu było i jest w tym bardziej kompetentnych od niego. W ciągu ostatnich kilkunastu lat historia Rosji i sowiektologia rozdzieliły się na specjalizacje, których przedstawiciele nie mogą znaleźć wspólnego języka. Schapiro nigdy nie uznawał tej sztucznej granicy. Jest on najbardziej znany dzięki książkom *The Origins of the Communist Autocracy [Początki autokracji komunistycznej]* i *The Communist Party of the Soviet Union [Komunistyczna Partia Związku Radzieckiego]*, ale opublikował także śmiały szkic o dziewiętnastowiecznej myśli rosyjskiej, a jedną z jego ostatnich książek była biografia Iwana Turgieniewa. *Russian studies [Szkice rosyjskie]*, poświęcony zbiór artykułów, recenzji i rozważań (niektóre są publikowane po raz pierwszy), odzwierciedlają zarówno zakres jego zainteresowań, jak i nadrzędną wizję, która je zainspirowała i porządkowała. Mako jest znamienitych rosyjskich pisarzy i myślicieli minionego półwiecza - od skłanianofilów do Sokłenicyna - których nazwiska nie pojawiłyby się gdzieś w tym tomie. De wszyst-

kich zaś jest przykładane jedno zasadnicze kryterium: czy urzeczywistniali, czy też sprzeciwiali się "marzeniom", które doprowadziły do sowieckiej rzeczywistości.

Schapiro był czołowym przedstawicielem tej dominującej do lat czterdziestych do sześćdziesiątych w sowiektologii orientacji badawczej, która głosiła, że stalinizm był logicznym następstwem leninizmu i że dynamika historii sowieckiej od roku 1917 może być wytłumaczona jednym determinującym czynnikiem: zaangażowaniem się partii rządzącej w sprawowanie władzy totalnej. Jest to, jak stwierdza Schapiro w eseju otwierającym omawiany tom szkiców, jedynce uprawnione dzisiaj podejście do badań nad sowiecką władzą. Przez ostatnie dwadzieścia lat życia wyrażał autor książki rosnące zaniepokojenie nowymi kierunkami w sowiektologii, które odrzucały totalitaryzm jako określenie zimnowojenne, postrzegając wewnątrzpartyjne walki o władzę jako jedne z wielu konfliktów grup interesów w ZSRR. Prowadziło to do takich nawet wniosków popularnej socjologii, opartych na niebezpiecznym złudzeniu (określenie Schapiro) - że u podstawa Związku Sowieckiego tkwi racjonalizm i że ZSRR zasadniczo to same cele co państwa Zachodu.

Te nowe mody - jak nazwał je Schapiro - zniszczyły konsensus klasycznej sowiektologii, rozszczepiając ją na dwie szkoły, które Stephen Cohen, historyk z Prince-

town, określił mianem totalitaryzmu i rewizjonizmu. Do czołwki pierwszej szkoły należą obok Schapiro Richard Pipes, Adam Ulam i Zbigniew Brzezinski; ci drudzy to sam Cohen, Jerry Hough, Moshe Lewin i grupa młodszych sowietologów. Ostatnie wydarzenia w Związku Sowieckim związkowały rozdźwięk pomiędzy obiema szkołami interpretacji - jako że każda z nich usiłuje inaczej wpłynąć na zachowanie się Zachodu wobec reformy Gorbaczowa. Zwolennicy koncepcji totalitarnego modelu sowieckiej władzy - popierani, jak wynikałoby z oświadczeń składanych w prasie, przez wielu, ale w żadnym wypadku nie przez wszystkich sowieckich dysydentów przebywających na emigracji, interpretują te reformy jako kosmetyczne zmiany, taktyczne manewry, których celem jest podtrzymanie istniejącego systemu i zdobycie kredytów na Zachodzie. Według rewizjonistów, reformy do wiodą tego, że partia nie jest lodowym monolitem, za który się ją powszechnie uważa i wynikają z autentycznych rozgrywek frakcji i grup interesów wewnątrz elity władzy oraz - w pewnym stopniu - są reakcją na żądania społeczeństwa. Sugerują oni, że Związek Sowiecki nie jest - jak twierdzili starzy klasycy sowietologii - zjawiskiem jedynym w swoim rodzaju, iż to, co ma teraz miejsce, może być rozumiane jako konflikt między reformizmem i konserwatyzmem. Szkoła totalitarna ostrzega, że odpowiednie na ostatnie sowieckie wydarzenia złagodzeniem wrażliwości znaczyć będzie tyle, co dać się wciągnąć w machinacje Rosjan. Rewizjonisci replikują, że negatywna reakcja Zachodu na poczynania Gorbaczowa zaowocuje utworzeniem *nie-świętego przymierza* pomiędzy ich i naszymi twardogłowymi i przysłużą się, jak to się już zdarzało w przeszłości, do pokonania reformatorów.

Prace Schapiro dotyczące współczesnej sowieckiej sceny nie zostały włączone do omawianego zbioru szkiców, ponieważ wydarzenia wyprzedziły już analizy, ale jego refleksje o przedrewolucyjnej historii i myśli, każą widzieć obecny spór w szerszym wymiarze. Mimo, że spór ten zdaje się być prowadzony na płaszczyźnie ahistorycznej, jest on oparty na dwóch nie dających się pogodzić spojrzeniach na korzenie historyczne państwa sowieckiego. Rewizjonisci utrzymują, że tak jak wszystkie inne systemy państwowe, jest ono złożonym produktem wielu tendencji, w tym nacjonalizmu oraz antykokeydentyzmu carskiej biurokracji i rosyjskiej prawicy. Szkoła totalitaryzmu skłania się ku przypisywaniu rosyjskiej tradycji rewolucyjnej wyłącznego autorstwa sowieckiego systemu wraz z całym jego złym. Schapiro, jako jeden z najbardziej poważanych zwolenników tego poglądu, miał dominujący wpływ na kształtowanie stosunku Zachodu do Związku Sowieckiego. O intelektualnych walorach jego poglądów można się przekonać na podstawie esejów zebranych w tomie *Szkiecy rosyjskie*.

Schapiro zajmował się dowodzeniem błędności tego, co postrzegał jako legendę podsyganą przez historyków marksistowskich - że nigdy

nie było w Rosji żadnego wyboru poza ciemną reakcją i czerwoną rewolucją i że porządek liberalny był obcą rośliną, która nigdy nie mogłaby zapaść tam korzeni. Twierdził on, iż główną przeszkodą na drodze ustanawiania w Rosji liberalnej demokracji nie było nieprzejednanie autokracji, lecz opozycja radykalnej inteligencji wobec zasady praworządności.

W eseju wstępnym Schapiro opowiada w jaki sposób sam doszedł do takiego przekonania: jego studia prawnicze (stał się naukowcem po sześciu latach praktyki prawniczej) pozostały go w przekonaniu, że rządy prawa są koniecznym warunkiem ludzkiej godności, iż społeczeństwo może rozwijać się tylko poprzez ewolucję, a nie przez wstrząsy, poprzez postęp, a nie przez zabieg chirurgiczny poddyktowany wiarą w jakiś system [...] i że jedynym warunkiem zapewniającym organiczny rozwój jest dobrze ukorzeniony system prawny oraz chroniące go niezawisłe sądownictwo.

Zbliżając się do rosyjskiej historii z takim kryterium na myśli, był Schapiro pod dużym wpływem dwóch książek. Pierwsza z nich, *Oriental Despotism* [Despotyzm wschodni] Karla Wittfogela, odsłoniła mu przepaść między społeczeństwem Zachodu, opartym na porządku prawnym, a historyczną naturą rosyjskiego systemu rządzenia. Natomiast *Geschichte des Liberalismus in Russland* [Historia liberalizmu w Rosji] Victora Leontowitscha, konserwatywnego liberała, pomogła mu zrozumieć, dlaczego reformatorska i prozachodnia polityka rządu w XIX wieku spotkała się z tak niewielkim poparciem i współpracą ze strony rosyjskiego społeczeństwa. Rosyjska inteligencja, bez względu na polityczne różnice, była zgodna co do tego, że popieranie prawa i porządku jest *ziane, kalkulujące, niemoralne, samolubne, nierosyjskie i niepatriotyczne*. Ruch skowianofilski widział w braku porządku prawnego dowód istnienia jakiejś nadrzędnej moralnej zasady, która leżała u podstaw rosyjskiego państwa. W tej wyidealizowanej wizji samowładztwa, gdzie stosunki między rządzącym i rządonym opierały się na patriarchalnych więzach zaufania i miłości, siła przymusu, jaką są gwarancje prawne, była zbędna. Radykalna inteligencja odrzuciła zachodnie zasady konstytucyjne jako puste formy i obawiała się, że reformy liberalne sprowadzą Rosję z jej "odrębnej drogi" rozwoju, opartej na rzekomo socjalistycznych zasadach właściwych wspólnotom gminnej. [...]

Wielu zachodnich historyków zgodziłoby się z Schapiro, iż negatywny stosunek inteligencji do prawa spowodował, że liberalna demokracja nie zapaściła korzeni w Rosji. Znajdą się jednak badacze - tacy jak Marc Raeff i Theodore von Laue - którzy podają w wątpliwość możliwość uczynienia doktryn politycznych podstawą politycznych zachowań w kraju nie mającym ani liczącej się klasy średniej, ani pochodzącej z wyboru. Żądania, uważane za umiarkowane reformistyczne na Zachodzie, byłyby w Rosji traktowane jako niebezpiecz-

cd. na s. 16

wykształceni, różnego rodzaju urzędnicy-specjaliści. Co więcej: tylko stopień reprezentacji inteligencji w PZPR pozostał bez zmian w minionych latach. We wszystkich pozostałych kategoriach pochodzenia społecznego odsetek reprezentacji w PZPR obniżył się gwałtownie. PZPR stała się tym samym najwyraźniejszą partią, której członkowie mają swój własny, klasowy albo quasi-klasowy interes. PZPR tym samym musi stać na straży tego interesu /albo tych interesów/.

Tym bardziej, że obok robotników, wśród członków PZPR obniżył się drastycznie odsetek ludzi młodych. PZPR zaczyna mieć kolosalne kłopoty z... reprodukcją. Od lat młodzi ludzie nie wstępują do PZPR. Kategoria "młodzieży" niemal wcale nie jest reprezentowana w PZPR.

Lecz poza tą statystyką zachodzi jeszcze inny, rzec można "jakościowy" proces. O tym traktuje treść naszej rozmowy. W PZPR zostali, a zwłaszcza do PZPR wstępują /choć nieliczni/ ludzie zupełnie różni od tych, którzy wstępowali do tej organizacji wcześniej. Można sądzić, że zostali ci przede wszystkim, którzy wiążą swoje życiowe interesy i uczestnictwo w przywilejach z przynależnością partyjną. Odpływ członków PZPR bowiem to utrata wszystkich tych, którzy chcieli być aktywni społecznie i ideowo, którzy mieli jakieś polityczne i ideowe oczekiwania i pragnienia. Rozczarowywali się - niektórzy - dosyć długo, ale wielu z nich wreszcie zdecydowało się na zerwanie więzi organizacyjnych. O tym jest ta rozmowa, która swą treścią dokumentuje jeden z kilku niesłychanie ważnych dla naszej przyszłości procesów społecznych, o których na co dzień mało kto myśli i pamięta, nawet w kręgach opozycyjnych, gdzie powinno to być sprawą ważną.

wystąpiłem z partii

Rozmowa - mężczyzna, lat 43, staż partyjny 16 lat, wystąpił z PZPR w marcu 81 roku. Pracuje w jednej z wielkich fabryk Warszawy.

- Czego Pan oczekiwał, kiedy wstąpił Pan do partii?

- Wstąpiłem w 65 roku. Oczekiwałem, że partia będzie sprawiedliwa, że będzie pomagać ludziom biednym i okrzydzonym. Byłem też ciekaw wielu niejasnych spraw, na przykład na szkoleniach pytałem, kto właściwie finansuje partie komunistyczne na Zachodzie. Prelegent - już nie żyje, pochowany z księżką - uczciwie podchwycił do sprawy: są finansowane przez kraje socjalistyczne. Przypadał mi różny sytuacje, jak jest na Zachodzie. Już wtedy miałem przebłyski, że to jakoś nie tak, jak być powinno, że im dokładamy, a sami dostają jakmużne, żeby przewożetować od wypłaty do wypłaty. Ale orientować się zacząłem dopiero po 10 latach.

cd. na s.16

A w ogóle wstąpiłem do partii nieświadomie, jak byłem w wojsku. Były różne obciągnięcia-cacanki, ale co tam właściwie można było obciąć.

Przez całe lata byłem w zakładzie grupowy partyjny. Przez lata widziałem, jakie machlojki robili w nas partyjni w zakładzie - na przykład godziny nadliczbowe dawali swoim, partyjnym i takim, co pija. Gdy szary, potrzebujący człowiek zwrócił się do partii, to mu nie pomogła. Inna sprawa - premie. Dostawali premie ci, co pili z kierownikiem i władzami partyjnymi albo odpalali dołą kierownikowi zakładu.

- Zaledwie w 3 lata po Pana wstąpieniu do partii nastąpiły wydarzenia marca 68 roku. Jak widziałeś to z perspektywy organizacji partyjnej w środowisku robotniczym?

- Wtedy nas podprowadzono. Zawieziono nas do jakiegoś klubu na Mazowiecką i wyświetlono film, jak młodzież szaluje. Naszym zadaniem, jako robotni, było interweniowanie w tłumie. I pojechał, dyskutować z nimi i "spokajać". Paść osobliście nie widziałem, nam w każdą, razie nie dali. Jednak jak się zastanawiałem nad tym, zauważyłem, że wiozą nas po to, żebyśmy zrobili porządek, ale nie mówią, co i jak. I powiedziałem sobie, że mnie na to więcej nie nabiorą. Widziałem, owszem, akcenty antycyckie, ale nie orientowałem się w tym wszystkim i nie przywiązywałem do tego wagi.

- A jak było w roku 1970?

- Przeczyłem te wydarzenia mocno. Nie obracałem się wtedy wśród ludzi, nie było prasy niezależnej, a w oficjalne środki przekazu nie wierzyłem. Jako doły partyjne protestowaliśmy wtedy - jak można było strzelać? Potępialiśmy Cyrankiewiczza. To była moim zdaniem prowokacja przed przejęciem władzy przez Gierka. Tak jak zabójstwo Popiełuszki.

W 70, 71 roku liczyłem, że coś się zreformuje, ale to powinno być na 100%, a nie tak częściowo. Tymczasem uważam, że Gomułka starał się jeszcze trochę, choćby o warunki BHP, Gierk już całkiem nie. Jeszcze za Gomułki były takie drobne sprawy, ale ważne. Wp. sprawa wózków opalinowych. Chodziło o to, żeby zakazać wjeżdżania tymi wózkami na hale fabryczne, na teren zakładów, bo zabierały powietrze, powietrze było jak w kromatorium. Przyszła Gierk ze swoimi reformami socjalnymi - i te wózki dalej wjeżdżały. I wjeżdżają do dziś dnia. A przecież nie ma czym oddychać przy pracy, powinno się stosować wózki akumulatorowe. Przy okazji tych wózków zrozumiałem, że Gierk nie przyszedł wcale po to, żeby wyjść o ludziach, rozumiałem, że hasło budowania drugiej Polski to tylko manewr propagandowy.

- Czy w roku 76 Pana poglądy były już ukształtowane?

- Pamiętam dobrze te wydarzenia. Miałem drugą żonę, przyszedłem trochę wcześniej do pracy. Słysząc: Pan pójdzie na Stadion X-lecia. To był spód na poparcie Gierka przeciwko Radomiowi i Ursowowi. Postawiłem

ed. na s. 17

nie wyrotowe przez władzę, zdecydowaną nie rezygnować z absolutnych metod rządzenia. Stąd też poglądy, nierzadko pojawiający się w pracach radykalnych historyków, że niedoszli liberałowie nie mieli innego wyboru, jak tylko sprzymierzyć się z lewicą przeciwko samowładztwu.

Schapiro odpowiedział na to stwierdzeniem, że istnieje słaba, ale bardziej autentyczna liberalna rosyjska tradycja - tradycja konserwatywnego liberalizmu - której rzecznicy utrzymują, że kiedy już dokonuje się jakaś istotna zmiana, najważniejszą jej sprzymierzeńcą jest konserwatyzm, a nie rewolucja. Źródła tej tradycji widzi m.in. u Piotra Czadajewa, którego sławny List filozoficzny, opublikowany w 1836 roku, po raz pierwszy poddał pod publiczną dyskusję problem przyszłości Rosji jako kraju odcigniętego od Europy Zachodniej przez historyczną katastrofę (nawazję mongolską) i nie zdołał rozwinąć idei obowiązku, sprawiedliwości, prawa i porządku, będących moralnym rdzeniem kultury europejskiej.

Jak wykazuje Schapiro, te zachodnie zasady stanowiły podstawę poglądów Puszkina podobnie jak i innych pisarzy, lecz - twierdzi - nad zasadami tymi pracowała tylko mała grupa myślicieli, którzy byli wyizolowani i niezrozumieni w swoich czasach, zostali oni skazani na zapomnienie jako ludzie przegrywający w historii. Pierwszym z nich był filozof prawa Morys Cziczerin (jego znaczenie podkreśla Schapiro w artykule przedrukowanym w książce), który po wydaniu w roku 1861 aktu emancypacyjnego stwierdził, że główną przeszkodą w ostatecznym uzyskaniu praw obywatelskich i wolności politycznych (możliwych, skoro władza zdecydowała się na reformy) są mentalność i przekonaniu lewicy. Schapiro poświęcił także atak grupie siedmiu myślicieli, z których kilku - włączając w to filozofa Bierdiajewa - było w swoim czasie członkami marksistami, zanim doszło do idealizmu i religii. W 1909 roku opublikowali oni almanach "Wicchi" ("Drogowskazy"), atakujący inteligencję za jej tradycyjną opozycję i maksymalistyczne żądania wobec władzy, i wzywający ją do moralnego odrodzenia przez afirmację wartości tradycyjnej kultury i religii. Podobnie jak Cziczerin, autorzy almanachu postulowali ewolucję opartą na poszanowaniu prawa i narodowego dziedzictwa kulturowego. Wezwania te, pisał Schapiro, były rzuceniem grochu o ścianę - inteligencja nie mogła pozbyć się fanatycznego przekonania o tym, że jest tylko jedna wyczerpująca odpowiedź na wszystkie dawne i przyszłe pytania. [...]

Pogląd Schapiro o dużym znaczeniu Cziczerina i autorów "Drogowskazy" znajduje potwierdzenie w wielu pracach dotyczących tych myślicieli, jakie pojawiły się od czasu, kiedy po raz pierwszy opublikował on swoje artykuły. Nieliczni badacze podchodzą teraz do rosyjskiego liberalizmu, przyjmując za podstawę wąską perspektywę Leontowitscha, którego książka wywarła tak duży wpływ na Schapiro. Leontowitsch traktował jako

kryterium liberalizmu heglowski model *Rechtsstaat* [państwa praw]. Historycy tacy jak Daniel Field kładą natomiast nacisk na istnienie przepaści między pragmatyzmem klasycznego, anglosaskiego modelu liberalizmu i doktrynerstwem odmiany jego heglowskiego wzoru, głoszonej przez grupę historyków i prawników - w tym Cziczerina - którzy założyli rosyjską szkołę historiografii [tzw. szkołę państwową - przyp. tłum.]. Jej założenia były oparte na heglowskiej wizji nowoczesnego scentralizowanego państwa, jako wcielenia racjonalnej świadomości człowieka i ukoronowania postępu historycznego. W swych poglądach myśliciele ci skłaniali się ku identyfikowaniu interesów lubu z interesem państwa, a interesu państwa z interesem władzy. Ich próby dopasowania rosyjskiej historii do czynnów heglowskiej ramy doprowadziły do uwielbienia takich autorów jak Iwan Groźny i Piotr Wielki, którzy kosztom ludzkim torowali drogę swoim planom centralizacji Rosji. Podobnie idealizowali oni współczesne im samowładztwo jako siłę zdolną do wszelkich reform. Field i inni twierdzą, że głównym czynnikiem, który oddalił autorów "Drogowskazy" od innych postępowych grup społecznych było nie tyle propagowanie przez nich ewolucji, co ich uwielbienie państwa, ich niezrozumiała determinacja w przedstawianiu prywatnego, skorumpowanego i przekupnego systemu samowolnych rządów, jako historycznego instrumentu racjonalnych reform. Pod tym względem byli oni poprzednikami tych sowieckich historyków, których Stalin zmusił do służby, kiedy postanowił nadać swej dyktaturze atrybuty narodowej tradycji. Przedstawiali oni postać potwora Iwana IV jako bohatera narodowego, a jego rzady terroru jako konieczność historyczną i obiektywnie konieczny środek do kontrolowania i jednoczenia państwa rosyjskiego. [...]

Wyznawany przez Schapiro rodzaj liberalizmu nieosiągnął się całkowicie w tradycji angielskiego empiryzmu. We wstępie do omawianego tomu Harry Willott określa taki liberalizm jako odnoszący się raczej do prawnych gwarancji chroniących obywateli przed nadużyciami państwa niż zajmujący się zaspokajaniem takiej potrzeby społeczeństwa, jaką jest położenie kresu niszczącej działalności jednostek. Schapiro skłaniał się do klasycznego liberalizmu Locke'a, Bentham'a i Hilla opartego na pojęciu wolności negatywnej, mówiąc, że człowiek jest wolny tylko wtedy gdy daje mu się sferę działalności, w której może bez przeszkód ze strony innych robić co mu się podoba oraz wtedy, gdy ma możliwość wyrażenia zgody - bądź niewyrażenia jej - na określonej formie rządów. [...]

Błąd Schapiro polegał na tym, że pozwolił, aby jego głowa rządziła jego sercem. Tych, którzy go znali, uderzały cechy wspólne jemu i Turgieniewowi: wielkoduszość, tolerancja, poświęcenie się wartościom liberalizmu i humanizmu. Te same cechy podłągnęły go, by z równie misjonarską gorliwością prowadził walkę z systemem, o którym był przekonany, że stanowi

dla tych wartości największe zagrożenie. Przyczyniły się one także do bezkompromisowego stanowiska szkoły totalitarnej, która przedstawiała system sowiecki jako całkowicie zły w swym istocie i swoich tendencjach. Bezsilna logika totalitarnego modelu państwa podpowiadała prostą metodę opozycji i dlatego tak wiele opozycji znajduje się w książce. Przypomnieć, że Turgiczenko i jemu podobni odczuwali wątpliwość (i było to oznaką autentycznych dylematów liberalów) byłoby pośrednim przyznaniem pewnej racji celom i motywom działania lewicy. [...]

Schapiro skierował swą uwagę na wiek XIX z zamiarem ukazania, że ani marzenie o sowieckim systemie, ani jego rzeczywistość nie są uprawomocnione moralnie. Szkoła totalitarna usprawiedliwia ograniczoną swą perspektywę jedną rzeczką w swoim rodzaju naturą sowieckiego systemu. Eseje Schapiro pokazują jednak, że kiedy stosuje się tę perspektywę do przedrewolucyjnej Rosji, analizy utrzymane w jej duchu stają się niepokojąco płytkie i wypaczone, ukazując historię oczyszczoną ze złożoności i szarych stref. Systemy opozycji, widoczne w tak uprawianej historii, przypominają schematy marksistowskie tak bardzo zniechęcające przez Schapiro.

Na szczęście Schapiro nie był w stanie konsekwentnie podążać tym torem. Ta sama ambiwalencja, która z równą siłą ciągnęła go do tak różnych typów ludzkich, jak Czi-czerin i Turgiczenko, często owocowała stwierdzeniami, które były nie do pogodzenia z postawą szkoły totalitarnej. Kiedy Schapiro dowodził ostatnio w *The Origins of the Communist Autocracy* [Źródłach autokracji komunistycznej], że władza sowiecka jest reżimem monolitycznym, Stephen Cohen, człowiek rewizjonista, zauważył, iż jego książka pokazuje właśnie, że tak nie było. W esejach zawartych w omawianej tu książce Schapiro rozumiejącą i głęboką analizą postaci i motywacji często zaprzecza swym własnym uogólnieniom. Wystarczy wspomnieć tylko artykuły o Leninie i Plechanowie. Jeszcze lepszym przykładem jest recenzja książki Cohena o Bucharinie, której wydanie w 1974 roku było znacznym wkładem do dorobku szkoły rewizjonistycznej. W recenzji tej twierdzi autor, że *Nowy Ekonomicki Plan* - którego głównym architektem był Bucharin - nie był taktycznym zbrojeniem w wytyczonej drogi, ale długoterminową strategią, obliczoną na przeciwdziałanie skutkom przedwczesnego zagarnięcia władzy i nakłonienie chłopów do socjalizmu za pomocą zachęty i perswazji. Pisze także, że brutalne zakończenie NEP-u przez Stalina nie było ani konieczne ani nieuniknione, i że - jak pokazały wydarzenia 1968 roku w Czechosłowacji i żądania zrehabilitowania Bucharina wyrażane przez członków europejskich partii komunistycznych - bucharinowska tradycja nadal stanowi alternatywę dla stalinizmu wewnątrz europejskiego komunizmu.

Schapiro uznaje książkę Cohena za wspaniałą przede wszystkim dlatego, że uważał, iż daje ona odpór tym komunizującym intelektualistom, którzy twierdzą, że polityka

Stalina była realistyczna i konieczna. Chociaż sam, z zupełnie innego punktu widzenia, często nalegał na uznanie konieczności stalinizmu jako logicznego skutku leninizmu - i ciągle powtarzał - w recenzji książki Cohena zgadza się z tym, że Lenin pod koniec życia rozwiązał wizję bardziej etycznej, pojednawczej i ewolucyjnego socjalizmu. Zaznacza tu Schapiro, że na zwycięstwo Stalina złożyło się wiele przypadkowych czynników: jego osobista bezwzględność, oparcie aparatu partyjnego i odwołanie się do najbardziej zdegenerowanej i skorumpowanej części partii, z jej samolubną rządem władzy.

Odwrotnie, zauważa Schapiro, było u Bucharina, człowiekiem teoretykiem bolszewizmu we wczesnych latach dwudziestych, który chociaż nie był demokratą, wyrażał obawę, że partia mająca monopol na władzę może stać się niebezpiecznie skorumpowana. Bucharin wierzył w to, że socjalizm powinien opierać się na harmonii i pojednaniu. [...]

Analizując spór pomiędzy tymi zasadniczymi podjęciami do historii sowieckiej Stephen Cohen stwierdza, że zimnowojenny rodowód socjologii powoduje, iż wielu socjologów nie tylko dalekich jest od rozważania się w swej dziedzinie, ale zdaje się jej nie lubić czy też nieświadomie. Esej Schapiro o książce Cohena ukazuje, jak daleki był on duchem od kierunku, z którym go identyfikowano. Jedną z najbardziej przyciągających cech Schapiro była umiejętność zwracania się z wyrozumiałością i ciepłem do ludzi, z których poglądami zdecydowanie się nie zgadzał. Ta umiejętność różnicowania między poglądami, których nie znosił, a ludźmi, jacy je głosili, dodawała do jego poglądów na temat sceny sowieckiej nutę optymizmu, stojącego w ostrej sprzeczności z jego deterministycznymi prognozami. Sympatia Schapiro dla humanitaryzmu i przywrotności Bucharina doprowadziła go do heretyckich wniosków, zawartych w recenzji książki Cohena. Zgadza się z jej autorem co do tego, że Bucharin stanowił jedyną alternatywę dla stalinizmu i różnych odmian gwałtownej rewolucji - reprezentując pewien rodzaj porwulucyjnego rewizjonizmu - Schapiro konkluduje: *może rehabilitacja Bucharina będzie miała miejsce - kto wie? Jeśli tak, to będzie to niewątpliwą oznaką prawdziwych zmian w sowieckim systemie rządzenia.*

Po trzynastu latach takie zmiany wydają się bardziej prawdopodobne. Gdyby nastąpiły, wykażą w sposób bardziej oczywisty słabości i ograniczenia historycznej wizji Schapiro. Z drugiej jednak strony - zmiany te uzasadniają podstawowy dla tej wizji - choć zupełnie niekonsekwentny - optymizm.

Aileen Kelly
The New Yorker Review of Books, 1987 nr 14.
Tłum. F. N.

Leonard Schapiro, *Russian Studies* [Szkice rosyjskie], ed. by E. Dahrendorf. Intr. by H. Willots, Viking/Elisabeth Sifton Books 1987.

veto. Moi koledzy szli tam po prostu na wódkę, sztandary wrzucili do śmietnika, wielu poszło tylko po to, żeby urwać się z pracy, zaliczyć sobie 8 godzin na tym spędzić, bo kto poszedł, nie musiał już tego dnia wracać do roboty. Jedni urwali się z I zmiany, inni poszli wcześniej, żeby w ogóle nie przyjść na II zmianę. Wielu jednak już nie chciało wtedy iść - zastaniali się, że mają awarię czy jakoś inaczej. Po powstaniu "S" stwierdziłem, że ci właśnie chwicjoni, choć niezbyt odważni, powystępowali z partii. Ale to przeważnie dobrzy fachowcy, n mają dobrą pracę.

- Co Pana drażniło w latach 70-tych?

- Między innymi to, że za dobrą aktywność partyjną kierowano wtedy do szkoły. A więc taki matołek partyjny szedł do szkoły dla rzekomo produkujących pracowników i dostawał potem funkcję mistrza czy kierownika. A ludzie o sprawdzonym wykształceniu i zasobach wiedzy do dziś nie są dopuszczani do wyższych stanowisk.

Proces mojego dojrzwania postępował powoli, bardzo powoli. Dojrzwanie do oderwania się od tego wszystkiego. Z myślą o złożeniu legitymacji nosił się konkretnie od powstania "S". Była wtedy większa swoboda mówienia, większy przepływ informacji, zaczęłam i częściej myśleć. Zobaczyłem, że to sterowanie i manipulowanie.

- Jak wyglądał w Waszym zakładzie 80 rok? O co wtedy ważyliście?

- U nas strajki trwały od lipca. Nam nie chodziło wtedy o CRZZ ani o sprawy bardziej generalne, ale o płacę... Nie było żadnej organizacji wewnętrznej, nie czułem się z niczym takim związany. Ale po tych strajkach ludzie zaczęli bardziej szwarcować, pojawiły się zaangażowane jednostki. Chcieli zrobić coś więcej, ale nie było wiadomo co. Strajki na Wybrzeżu pokazały, jak się zmobilizować i co reformować. Nasz zakład był uważany za "czyste zagłębienie", ponad 4 tygodnie było w partii.

Byłem już wtedy w partii martwym ciałem, nie uczęszczając na zebrania. Zaniechali składkę - zabieg ekonomiczny na 30 złotych. Wstąpiłem do "S", organizowałem ją na szczeblu zakładu. Myślałem, że "S" odnowi partię, że odpadną klakierzy. Na IX Zjeździe byłem już po wystąpieniu z partii, ale obserwowałem, co się dzieje. To było to samo, nie się nie zmieniło. Według mnie zadaniem partii jest utrzymanie się przy władzy, na stołkach, a szary człowiek ma robić frekwencję na zebraniach i klasce. Partia do tej pory z tych wszystkich zakrętów historycznych nie wyciągnęła żadnych wniosków, oprócz trzymania za mordę nowymi przepisami, ustawami, siłą. W każdej chwili np. można rozwiązać i zmilitaryzować nasz zakład pracy.

- To kiedy dokładnie wystąpił Pan z partii?

- Wystąpiłem po prowokacji w Bydgoszczy, w marcu 81 roku. Zaproszeni - a pobito ich. Nie dano im się wypowiedzieć, nie

wyśluchano ich rącji - won, bo tamci są silni. Wzwanie Jaruzelskiego do 90 dni spokoju było tylko przygotowanie do akcji. Irna rzecz, że Rulcowski dał się jak szesnolatek wciągając w zasadzkę. Zachował się śmiesznie, jak komediant.

Następnego dnia po incydencie w Bydgoszczy złożyłem umotywowane podanie o skrócenie. Motywowałem, że partia, działacze nie przestrzegają statutu, a ich działanie polega tylko na obronie swoich stózków. Nie chciałem już firmować tego, że się robi zimną prowokację z ramienia partii. Wiedziałem już, że ich stać na wszystko. Pamiętam, jak w TV wystąpili wtedy nasi przedstawiciele - Bugaj, Palka, Rulcowski. Aż członkowie ponosili - oni mówili rzeczowo, a ci z rządu nawet mówili na temat.

- Czy nie żałował Pan nigdy swojej decyzji?

- Nie, nabrałem tam wprawdzie doświadczenia, ale żałuję, że w ogóle tam byłem. Poznałem mechanizmy wyborcze w partii, czyli jak wybierają swoich kumpły do picia, jak leje się wodę na zchraniach, jak w nieskończoność załatwia się drobne sprawy, np. ręczniki dla robotników, a omija się ważne, płacowe, czy pijaństwo w zakładzie; te są zawsze na marginesie.

Uważam, że ludzie, którzy zostali w partii teraz, to tylko karicrowicze bez wykształcenia, traktują swoje członkostwo jak głojt, starsi liczą na medal "chlebowy". Jeżeli chodzi o młodych ludzi, z ZMS, przygotowujących się do wstąpienia do partii, to oni wstępują moim zdaniem wyłącznie dla własnych korzyści, chcą się zabezpieczyć materialnie. Robotnicy w Biurze Politycznym i w ogóle wysoko we władzach to mi-styfikacja, do klaskania. Np. Siwak: przecież on jest tylko dla publiki.

Mam urazę do Jaruzelskiego. Pohańbił mundur żołnierza, powołując się na ten mundur. W swoim drugim przemówieniu w Sejmie w 81 roku obiecał, że o ile będą podwyżki cen, pójdą za nimi rekompensaty drożyzniacze. Wprowadzając stan wojenny także powoływał się na mundur i splamił go. Miał przecież pełnić swoje funkcje okresowo, a obwiesił się nimi jak choinka, a to niemożliwe spełnić dobrze tyle funkcji naraz. Splamił mundur kłamstwami. Płami tym samym i partię, bo jest jej członkiem. Co to za partia, jak jest w niej 70% robotników i to przeważnie brygadystów i im podobnych, w fartuszkach. Ci nie zrozumieją robotnika. Robotnik jest z partii wyrugowany.

- A jak zareagowali na Pana wystąpienie koledzy?

- Jak występowałem z partii, nawet sekretarz przyjmujący moją legitymację nie skomentował mojego czynu. A po 3 miesiącach sam wystąpił.

Spisał Marek Szerszeń.

cd. ze s.1 rozmowy z MACEJEM ZALEWSKIM
komu WŁADZA, komu REFORMA?

Abstrahując od tego, że te propozycje są z reguły funta klaków warte. Ważne, że padły.

- Takie propozycje mają zazwyczaj swoją cenę.
- Cną za współdziałanie ma być rezygnacja z postawy roszczeniowej, obronnej, którą związek formułuje w nieco archaiczny sposób: oto jestem pracownikiem, waszą sprawą jest zapewnić mi i zorganizować pracę i płacić za nią tak, bym mógł za to godziwie żyć ze swą rodziną. Ale związki zawodowe, to w ogóle wynalazek XIX-wieczny.

- A my mamy na karku wiek XXI i reformę.
- Gospodarka przebudowuje się, ludzie tracą czytelną perspektywę swojego stosunku do pracodawcy, czyli w warunkach PRL - do państwa. Oznacza to trudność dla związku. Nie może on prowadzić swojej funkcji wyłącznie do obrony i roszczeń, zrezygnować z programu zmiany.

Parę lat temu Lech Wałęsa sformułował hasło: "S" znaczy reforma. W gruncie rzeczy było ono wtedy nieczytelne dla związku, który walczył o istnienie.

- Nie obawiasz się, że to hasło nadal pozostaje niezrozumiałe? Może nastąpić "zrwanie więzi z masami".

- To już się stało. W gospodarce uspokojonej zaczyna obowiązywać zasada, która niszczy perspektywę stałego zatrudnienia i jakiejś tam, postawionej i najniższej poziomu opiekuńczości państwa. Narzekaliśmy i nadal narzekamy na ten poziom. Nie ma dobrej służby zdrowia, odpowiedniego systemu kształcenia itd... Taka biedna opiekuńczość. Ale ludziom wpoilo się przekonanie o tym, że podstawowe potrzeby są zaspokojone. Było tak rzeczywiście. Bo państwo skutecznie minimalizowało nasze aspiracje.

- Jakie perspektywy polityczne widzisz przed związkiem w okresie przejściowym?

- Jesteśmy przed trudnym wyborem. Toczy się dialog z władzą, w wyniku którego "S" uzyskuje legalizację. Oświadczenie KC, w kwestii pluralizmu politycznego i związkowego prócz podstawowej zasady, że pluralizm polityczny jest przygotowaniem do odbudowy pluralizmu związkowego, kryje zastrzeżenia nie do przyjęcia dla samorządnego związku. Dotyczą one wewnętrznej struktury i możliwości korzystania z pomocy zagranicznej. Ale to są sprawy drobniczej. Generalna zasada zawarta w oświadczeniu to odbudowa związku od góry, poprzez legalizację centrali - ośrodka skupionego przy Lechu Wałęsie. Potem jest region i zakład pracy. Otóż w tym dokumencie partyjnym mówi się, że nie będą tolerowane fakty dokonane. Należy to czytać - odbudowa związku w zakładach pracy.

- A więc wodzowie bez armii, z którymi łatwo będzie sobie poradzić?

- W największym skrócie tak to wygląda. Cną za relegalizację jest wbudowanie "S" w mechanizmy przemiany gospodarczej. Władza widzi to dość specyficznie: "S" musi wziąć część odpowiedzialności za to, co dzieje się w gospodarce polskiej. Związek, odbudowywany od góry, bez walki, z akceptacją władzy, wystąpiłby jako nowy element w grze prowadzonej przez establishment. Miałby służyć wyzwoleniu inicjatywy społecznej, rozszerzyć zaplecze władzy. Nie mógłby jednocześnie dbać o tych, którzy będą płacić za reformę. To są miliony ludzi!

- Jakie widzisz szanse odbudowy związku jako organizacji masowej?

- Są teraz możliwości działania, a związek nie odbuduje się. Brakuje impulsu z zewnątrz. Brakuje faktu, który, na powrót odblokowałby motywację ludzi, by wstępowali do związku.

Rekonstrukcji związku dokonać można również poprzez struktury środowiskowe, lokalne, zakładowe, duszpasterskie itp. W tym przypadku nie traci się kontaktu z masami, to jest z ludźmi, którzy będą najbardziej potrzebni, a nie chcą do niego wstępować.

- Twoje rozumowanie przypomina pogląd przed laty głoszony przez tę "drugą stronę": rząd jest wspólniaki, tylko społeczeństwo do bani.

- To nie społeczeństwo jest do bani, bo nie chce wstępować do "S", tylko sytuacja polityczna sugeruje, że związek odbuduje się przeciwko biednym ludziom, których ma bronić.

- Przeciwno ich dążeniom?

- Raczej - bezradności. Dążenia mamy zbieżne, ale nie potrafimy ich zrealizować, bo zmieniły się zasady gry.

- Czy "S" rzeczywiście reprezentuje tych "biednych"? W zreformowanych zakładach można zarobić i cztery, pięć razy więcej niż wynosi średnia płaca. A przecież walka o płacę to jedno z głównych zadań związku.

- Nie wszyscy mogą tyle zarobić. Gospodarka polska nie będzie jedną wielką firmą polonijną. Władza mówi: bogaciecie się. To propozycja tylko dla ludzi stanowiących najbardziej ruchliwą, aktywną część "klasy pracowniczej".

- Czy "S", zmniejszając cenę, jaką mają zapłacić pracownicy zakładów państwowych za modernizację, nie staje się samą przeszkodą w przeprowadzeniu tej modernizacji?

- Blokady dla reformy nie są biedni ludzie. "S" występując w ich imieniu, jako siła nacisku na władzę dąży do zreorganizowania gospodarki, do "wygrania" reformy dla mas. Związek jest w stanie przedstawić ludziom jakąś perspektywę. Ale awans cywilizacyjny, o który walczymy, musi dotyczyć wszystkich.

- Kto zatem blokuje reformę?

- Obecnie reforma, w tym karykaturalnym kształcie, wykorzystywana jest przez aparat, nomenklaturę, wielkie grupy interesów i wpływów. Autentyczna reforma uderzy w ten establishment. Obecnie mamy pięć razy więcej stanowisk podlegających nomenklaturze niż w 1980 r.

- Przygotowują się do przetrwania reformy?

- Władza nazywa to poszerzeniem swojej bazy rządzenia. Rozdaje bene-

ficja, rozbudowuje grupę, która będzie walczyła o to, by PZPR sprawowała władzę. W konsekwencji obóz rządzący jest podzieleny. Na X plenum nie było walki frakcyjnej w sensie ideologicznym, bo komuniści od dawna nie mają ideologii. Odbił się za to pojedynek grup interesów.

- Tam też toczy się walka o to, do kogo będzie należał zysk z reformy.

- Nie możemy się zgodzić, by sprawa ograniczyła się do podziału zysku w łonie władzy. Ale reforma dla pracowników nie oznacza jednakowego statusu dla nich. "S" nie jest w stanie sformułować i wprowadzić w życie takiego mechanizmu reformy, że wszystkim będzie dobrze. Być może dojdzie do takiej sytuacji, że strajki będą organizowane przez rozszczeniowe związki zawodowe skupione w OPZZ. Zrealizuje się sojusz betonu z najuboższą, najbardziej bezbroną i zdeterminowaną częścią społeczeństwa. Ludzie niepewni swych przyszości myślą o związkach zawodowych wyłącznie jako o tarczy ochronnej.

- I to będzie wygrywane przez OPZZ?

- Najprawdopodobniej. Nadto, na tym właśnie tle dochodzi do sporów w "S". Istnieją takie - moim zdaniem nieprzemysłane - koncepcje, by odwoływać się do napięć społecznych wynikłych z determinacji i fobii "szarego człowieka".

- Jak "S" będzie artykułować interes wspólnoty, jeśli przyjmie oczywistość podziałów społecznych i gry interesów?

- To będzie możliwe tylko wówczas, gdy "S" pokaże ludziom, że każda przemiana gospodarcza w tym systemie jest pewną funkcją przemiany politycznej. Jeżeli reforma nie uderzy w nomenklaturę, nie zniszczy tym samym podstaw dotychczasowego systemu sprawowania władzy, to tak naprawdę nie odbędzie się. Skończy się na hasłach. Zachowanie przywilejów nomenklatury spowoduje, że jeśli "S" weźmie odpowiedzialność za reformę, to będzie musiała płacić za jej fiasko. Generalnie: będzie to rozwiązanie, polegające na tym, że władza kupuje sobie znowu jakiś czas - moim zdaniem nie nadzbyt długi - za cenę rozbitcia opozycji.

- Jakim mają zatem być wyjątkiem koncepcje, by reforma nie okazała się kolejnym zwrotem taktycznym?

- Żądamy od siebie rzeczy prawie niemożliwych, ale bez ich akceptacji przyszłość Polski widzę w czarnych kolorach. Władza musi, sama z siebie, dążyć do samoograniczenia. Jedynic tak okrojona jest w stanie utrzymać swoją pozycję, nie narażając się na rozwiązania siłowe, na to, że wpadzie Polskę w sytuację absolutnego zastoju, marazmu i beznadziei. Strona społeczna natomiast - ruch związkowy musi przestać być jedynie obrońcą biednych ludzi, siłą, która nie chce brać współodpowiedzialności za całość państwa, musi przestać być uosobieniem samych dobrych, wypowiedzianych w języku symbolicznym rozwiązań. Musi zacząć te rozwiązania realizować. Musi przestać być zmitologizowanym "zbawieniem Polski", a związać za nią rzeczywistość współodpowiedzialność. Rezygnujemy z niewinności i czystości, by wejść w brud, machinacje i konflikty polityczne.

- Nie sądzisz, że "samoograniczenie się" władzy to tylko taktyka polityczna? Zostanie polic na którym "S" będzie się za to brała z OPZZ, a profity polityczne będą wyciągali rządzący?

- Ja nie jestem podejrzliwy wobec władzy, bo wiem, z kim mam do czynienia. Jeżeli władza chce odstąpić, albo zniszczyć "S", to ja się nie oburzam. Takie są reguły gry. Ruch do tego dojrzał, by się nie obrażać na władzę, tylko przyjmować ją poprzez jej realne zachowanie.

Władza, prowadząc grę ze swoim aparatem i bezwładną większością społeczną, musi liczyć się z tym, co mój przyjaciel nazwał "buntem płazów" - wybuchem, w którym każdy ograbiony z symbolicznej, wspaniałej wizji, roztrzaskanej przez "S", będzie walczył tylko o to, by załatwić coś dla siebie. Wtedy, wszyscy zablokujemy reformę, bez względu na to, jak mocno opowiadać się za nią nasze elity. Zostanie zablokowana od dołu - społeczna nieproduktywność. Reforma, spozstrzegana jako siła niszcząca bezpieczeństwo socjalne, zostanie rozbita cichym, nieformalnym, nieartykułowanym w żaden sposób bojkotem, bez względu na taktyczne posunięcia władzy.

- Jak zatem wyobrażasz sobie warunki, w których władza będzie musiała się samoograniczyć?

- Reforma na całym froncie - generalna zmiana mechanizmów gospodarczych. Nie można kupić za dolary stoczni gdańskiej i produkować tam z zyskiem statków, bo u nas jest np. najtańsza siła robocza. Wystarczy, że nie będzie można kupić gwoździ, nitów, czy obcęgow w ramach gospodarki, w której ta stocznia tkwi i pełne bankructwo. Żeby reforma się powiodła, musi być pełna, objąć całość gospodarki, a w sferze politycznej - uderzyć w całą nomenklaturę.

- Kto ma to zrobić - sama władza?

- Przede wszystkim "S". Ale najpierw musi odzyskać możliwość swobodnego działania. W przeciwnym razie jej aktywność ograniczy się do hasła. Związek będzie za reformą i palcem nie ruszy, by się ona zmaterializowała. Społeczeństwo będzie wiedziało, że lepiej jest w gospodarce zreformowanej, ale zostanie pozbawione możliwości wywarcia nacisku na władzę, by móc realizować swoje aspiracje. Nie uda się żaden typ reformy gospodarczej bez odblokowania pluralizmu społecznego. To truizm, ale trzeba go powtarzać. Tracimy strasznie dużo czasu. Stoimy teraz przed tymi samymi dylematami, co w roku 80.

- Jak zreformować gospodarkę - bo taka jest intencja władzy i społeczeństwa - nie naruszając monopolu władzy - co jest przeciwko interesowi społecznemu, a w interesie władzy?

- Nie można w tym kraju zrobić reformy przeciwko władzy. Stąd polski pat - żadna ze stron nie może zrobić czegoś w pojedynkę, osobno. Władza nie pozwoli na reformę wbrew sobie. Ale nie robi jej samodzielnie na swoją korzyść, bez społecznej akceptacji.

- Trzeba zatem szukać sojusznika po drugiej stronie?

Radosław Januszewski "niech wisi, niech się męczy..."

Pełowa sukcesu

Jedna rzecz na pewno się udała. Zaskoczenie decyzją o zamknięciu Stoczni im. Lenina było całkowite. Ludzie dowiadawali się o nią z radia, z gazet, od kolegów.

- Dowiedziałem się bardzo późno. Po Wszystkich Świętych. Jadąc do pracy; spotykałem się z kumpłami ze Stoczni Północnej. "Jasiek, szukać pracy dla ciebie?" - śmieją się. A ja się zmartwiłem.

Właśnie... zmartwił się. Inni mówią, niemal jednym tchem:

- To był dla mnie szok. Trochę mnie to zdziwiło.

- Ludzie wpadli w panikę, ale nie, żeby się ktoś od razu przestraszył.

Sprzecznność zawarta w wypowiedziach jest pozorna. Rzeczywiście tak było: trochę lęku wywołanego raczej nagłością zmiany niż obawą przed jej konsekwencjami i dużym, bardzo dużym oburzeniem. Przede wszystkim zaś, poszukiwanie formy odpowiedzi.

- Pierwszego dnia była panika, niepokoje. Tak trwał przez tydzień bo był ten miesięczny termin. Strach nad własnym losem. Co będzie, jak 11 tysięcy chłopów zacznie szukać pracy? Bardziej ludzie ze sobą rozmawiali niż pracowali. Potem, jak przyszła wiadomość, że termin [rozwiązania Stoczni] odsunięty na dwa lata, powszechne przekonanie było, że raczej premier się wykończy niż decyzja wejdzie w życie.

Zaskoczenie jest pełową sukcesu. Jak w starym dowcipie żydowskim: Monick żenił się z królową angielską. Pełowa sprawy załatwiona. On się zgadza.

Wspólnota

W Stoczni nie było chyba człowieka nie zainteresowanego sprawą.

- Zaraz po decyzji był wiec. Przystąpił wszyscy, od dyrektora do sprzątaczkę - mówi wiceprzewodniczący KZ "S" "Lenina", elektryk - było to coś nowego w posunięciach władz. Dyrektor dowiedział się podobno o rozwiązaniu stoczni z komunikatu prasowego. Wszyscy poczuliśmy się zagrożeni.

Inny stoczniowiec (określił się jako działacz, który z kierownictwem "ma przechłapano") mówi o wspólnej reakcji:

- Najpierw koledy uprzedzili dyrektora o wiecu. On na to, że też będzie miał coś do powiedzenia, że to sprawa polityczna, że jesteśmy na plusie, nie na minusie. OPZZ też się fajnie wypowiedział. Nasz też.

Stare urazy zeszły na drugi plan. Rządowa decyzja przekłamała nawet głęboką nieufność "fizycznych" do "biurokratów".

- "Umysłowi" pytali, co będzie, jak się do nich wczmą. Jak zrobimy więc, to przyjdziecie? Najpierw myślę sobie, że chyba nie. Tyle nam zrobili przykrości. Ale po-szedłbym! Jestem wierzący. Jak kto źle robi, to nie muszę i ja.

Stocznia a sprawa polska.

Sprawa zaczęła być rozpatrywana o ogólniejszym kontekście. Szło nie tylko o Stocznice i stoczniową "S", ale i o wizję polskiej ekonomiki.

- Nie powinno być zakładów nierentownych, ale trzeba usunąć przyczyny, a nie skutki. Dziś rozwiązają jeden zakład, jutro drugi, a przyczyna pozostaje. To nie ustrój nawet, nie brak gospodarki rynkowej, a niekorzystne kontrakty ze Wschodem, znaczący się z Rosją. 63 kopiejki za dolara! Tamto trzeba zmienić, a nie stocznice rozwiązywać.

- To za wielka masa, żeby pociąć w ciągu miesiąca. Gdyby Rakowski naprawdę chciał reformy zaczęłyby od huty Siechnice.

Rozmówcy powołują się na opracowania teoretyczne i autorytety fachowców.

- Profesor Jerzy Doerfer przekazał nam, że nie dopuści to tego, by stocznice i stoczniowcom stało się coś złego. Był u Wilczka i rozmawiał. To znaczy dał mu o-pieprz. Dyrektor też twierdził, że robi, co się da.

Zagrożenie dla reformy, którego symbolem stała się decyzja o likwidacji stocznicy przyjęto jako zagrożenie ładu społecznego.

- Jak będzie bezrobocie, to ludzie zaczną szukać racji na ulicy, z kamieniem w ręku. Czy o to władzy chodzi?

- Jeśli się czegoś boją, to wojny domowej. Pamiętam rok 1979 i 81.

Sama reforma nikogo nie przeraża, nawet jeśli będzie z nią związane bezrobocie.

- Bezrobocie bez ludzkiej krzywdy dałoby tyle, że wzrosłoby poszanowanie pracy. Jak za granicą. Bo praca nie jest u nas na ogół szanowana. Są tacy, którzy robią sobie kpiny. Przychodzi do pracy, kiedy chce, bez konsekwencji, za sprawą legalnych organizacji. Jak będzie rozsądne bezrobocie, to skończy się politykowanie w zakładach - narady partyjne w godzinach pracy. Partia to robi po cichu. Związki nie, a już "S" to absolutnie nie może sobie na to pozwolić.

Natomiast władza pozwala sobie na nicjedno.

- Nie mają szczerego zamiaru zrobienia porządku. Chcą przy okazji wyrzucić niewygodnych politycznie. Bumelanci dalej zostaną. Wyrzuci się jednego, dwóch dla efektu i na tym koniec.

Mimo wszystko wierzą chyba w reformę. Nie w jej konieczność - to oczywiste - ale w możliwość jej przeprowadzenia.

- Rakowskiego stać na wiele. Ale to co wyszło z jego decyzji to dla niego kubał zimnej wody. Niejedna władza brała już naukę ze stocznicy, a czemu nie ta. Nacisk był z różnych środowisk. "S" najważniejsza - my po prostu mamy

- Zgodnie z regułami gry nie będą przedstawiali figur po stronie przeciwnika. Jeśli zgodzimy się, jako strony, co do rozwiązania generalnego, to sojusznicy znajdują się niejako w sposób naturalny. Problem polega na tym, że to, co władza proponuje związkowi, jest nie do przyjęcia: wólcie współodpowiedzialność, a my damy wam odbudować taką "S", która nie jest "S". Ale podejmując się pójść do każdego zakładu i wytłumaczyć ludziom, że musimy zapłacić pewną cenę za reformę gospodarczą, jeżeli bez warunków wstępnych odzyskam swój związek i o ile będę miał zagwarantowany taki mechanizm reformy, że nie tylko ja będę za nią płacił.

Władza musi zrozumieć, że nie ma reformy bez przebudowy systemu, bez uderzenia w nomenklaturę. Jeśli to nie zostanie przyjęte, nie mamy o czym gadać i za trzy lata nikt nie będzie panował nad procesem społecznym, który przyniesie albo "bunt płazów", albo niekontrolowaną erupcję protestu.

- Jedna, albo druga strona szybko zacznie kontrolować tę erupcję.
- To nie musi być wielka anarchia. Wystarczy, że w jakimś mieście zrobi się zawierucha i zginie 100 ludzi. W skali polskiej to będzie trzęsienie ziemi. Nigdy nie można grać bezkarnie nastrojami w polu determinacji społecznej. Nie można sprawdzać, jaki jest stopień tej determinacji.

I jeszcze - władza mówi z nami nie tylko o odbudowie związku. Także o tym, że trzeba przedłużyć jej legitymizację. Tzn., że opozycja ma wziąć udział w wyborach do Sejmu z jednej listy i zapewnić frekwencję w głosowaniu.

- Czyli - zapowiedź podziału władzy między establishment a opozycję?
- Opozycja w stanie, w jakim się znajduje, nie jest przygotowana do przejęcia choćby części władzy. Mogłyby to zrobić jedynie opozycyjne instytucje wyspecjalizowane w tym celu. Władzy nie przejmują ruch społeczny, chyba, że mówimy o rewolucji.

- Ponoc żyjemy w czasach rewolucji społecznej.

- O rewolucji nie będę nawet myślał. Władzę przejmują instytucje, które potrafią ją sprawować i są w stanie tak zorganizować społeczeństwo, by w procesie ewolucyjnego przejmowania rządów tkwiło ono w jakichś limitach. Sam ruch społeczny tego nie gwarantuje.

- Czemu zatem służyć ma ruch solidarnościowy?

- Ma doprowadzić naciskiem do przewrotu.

- W Ionic samej władzy?

- Przy dzisiejszym stopniu rozbudowy aparatu władzy społeczeństwo nie dysponuje taką siłą, by zniszczyć stare rządy w całości.

- Powtórka z "polskich kryzysów" - wykorzystanie niezadowolonych społeczeństwa dla zmiany ekipy i "stylu rządzenia"?

- Ruch społeczny to znacznie więcej niż "niezadowolenie". Proces nie może się zatrzymać w pół drogi. Zmienia się wszystko, władza jest podzielona, opozycja też nie jest monolitem. Jeśli teraz związek sformułuje sensowny program, ukonstytuuje się, to znajdzie się sojusznik i można będzie wyjść z pata. Tylko najpierw musimy stać się partnerem. Chętni do rozmów sami przyjdą.

- A jeśli nie? - Mówią przecie, że nie będą tolerowali "faktów dokonanych".

- Nie jest to takie ważne, co mówią. Nie interesuje mnie władza jako partner do tajnych negocjacji, papierowych porozumień, lecz jako pewien blok interesów, grupa społeczna, podlegająca procesowi przemiany. Mogą się zachowywać jak orkiestra na tonącym Titaniku i grać do końca, że nie są na nie gotowi, że władzy nie oddadzą, nie podzielią się i mają centralizm demokratyczny. To mnie w ogóle nie interesuje. "S" poniesie część kosztów reformy i jednocześnie będzie tworzyć fakty dokonane. Takie, by rządzący, chcąc nie chcąc, na nie reagowali, by musieli się do nich dostosować.

- Skąd pewność, że władza pozwoli na działanie opozycji?

- Nie ma innego wyjścia. To działanie i tak już jest faktem. Jeśli władza nie zdecydowała się na pluralizm, to straci wszystko, zniszczy wólcę społeczeństwa, by być wspólnotą w tym miejscu Europy. Dojdzie wtedy do sytuacji, w której starzy umrą, a młodzi wycmigrują albo będą chcieli wycmigrować. Polski nie będzie.

- A skąd pewność, że opozycja nie przekroczy granicy, poza którą pozostaje tylko życie przemocy?

- Elita społeczna tego kraju dokładnie pamięta lekcję grudnia 1981 r. PZPR nie da sobie wyrzucić władzy bez rozlewu krwi. Dajemy gwarancję, że nie będzie rewolucji. Nie trzeba mieć do nas zaufania, by uwierzyć. Wystarczy wiedzieć, że to dla nas konieczność. Nie potrafimy zrobić zamachu. Owszem, mamy złe chęci - chcemy przejąć władzę. Po to jesteśmy opozycją. Oczywiście nie całą władzę i nie od razu. Najpierw demokratyzacja...

- A potem własny rząd?

- Współrządzenie, a potem, czemu nie - własny rząd, a jeszcze potem - może utrata większości w parlamencie. Zacznie wreszcie być jak w normalnym społeczeństwie.

- To chyba Gomułka powiedział, że komuniści zdobyli władzę z bronią w ręku i nie oddadzą jej na podstawie kartki wyborczej?

- Nie jestem za mocny w tych klasykach. Może i miał kiedyś rację. Władza mówi różne rzeczy. Polityka to w dużej mierze umiejętność wypowiedzenia okrągłych zdań, które i tak nie wszystkich przekonują. A nam nie chodzi o to, czy władzę sprawują komuniści, tylko o to, czy sprawują ją dobrze.

- Mogą zostać, jeśli tym razem się sprawdzą? Który to już raz?

- Czy oną, czy nie chcą - muszą odejść. Taka jest logika procesu historycznego. Muszą odejść, bo muszą poddać się procedurze demokracji. Ale stwarza to im jedyną szansę. I perspektywę powrotu.

2 lutego 1989 r.

z Maciejem Zalewskim
rozmawiał Radosław Januszewski

armię - ale jedną z wielu.

cd. na s. 21.

Michał BONI

jaka rolę powinno pełnić

RKW MAZOWSZE?

W obecnej, przejściowej sytuacji, RKW Mazowsze powinno starać się skutecznie spełniać trzy role: organizacyjną, inspiracyjno-programową, integracyjną.

Rola organizacyjna

Skuteczne spełnianie roli organizacyjnej przez RKW zależy od precyzyjnego wyobrażenia - czym RKW jest i ma być. Jakim jest własne poczucie tożsamości tego ciała? Czy uzna się ono za grupę kadrową kierującą "S" (szeroko pojmowaną - a więc ze wszystkimi przyległościami instytucjonalnymi) według wzoru z roku 1981 i z mandatu tamtego czasu? Czy uzna się ono za grupę opozycyjną organizującą współpracę i pomoc w obrębie szeroko pojętej opozycji politycznej naszego regionu? Czy też uzna się ono za organ wykonawczy Związku w naszym regionie?

Odpowiedzi na te pytania są potrzebne, by uzyskać jasność co do zasady tożsamości RKW, kierunku jego działań i form poszukiwania skuteczności funkcjonowania. Każde z tych pytań odwołuje się zresztą do trochę innego czasu istnienia "S", natomiast ostatnie niewątpliwie nawiązuje do rodzącego się obecnie modelu Związku, skupiającego swoją główną uwagę na następujących sprawach:

- dążeniu do relegalizacji "S" zarówno poprzez zamiar ponownego przywrócenia sytuacji negocjacyjnej (strajkowy i inny nacisk społeczny związany z nierozwiązalnością wielu polskich konfliktów), jak i spokojnie stwarzanie faktów dokonanych, wzmacnianie organizacyjno-programowe "S";

- wspomaganie jawnego działania struktur "S" w zakładach pracy, stymulowaniu powiększania się liczby komitetów organizacyjnych Związku, szukaniu formuły działań dla jawnych komitetów - tak, by one umiejscowiły funkcjonowały nawet w sytuacji sądowej odmowy rejestracji, by idąc drogą Ursusa przechodziły od fazy organizacyjno-wyczekującej do fazy aktywnego działania bez względu na prawne uwarunkowania;

- organizowaniu regionalnych akcji i spójnego programu postępowania dla jawnych i tajnych struktur Związku. Nie wolno zapominać, iż faza przejściowa, w jakiej się znajdujemy może trwać dłużej i tempo powstawania jawnych komitetów w zakładach nie będzie takie szybkie. RKW powinno pamiętać o strukturach konspiracyjnych, o ich docenianiu, o wypracowywaniu różnych sposobów jaw-

negu aktywizowania działaczy z tajnych układow organizacyjnych.

Organizacyjna siła warszawskiego RKW zależy z jednej strony od poziomu sensownej instytucjonalizacji działań związkowych (musi powstać biuro, powinny być zbierane systematycznie składki, trzeba pomyśleć o nowym systemie informacyjnym i o odpowiedniej, charakterystycznej dla Mazowsza - propagandzie, roli prasy, znaczeniu pism zakładowych), z drugiej natomiast - od osobistego autorytetu i aktywności wielu działaczy, dla których zadaniem podstawowym jest utrzymywanie kontaktu z zakładami, grupami i reprezentacjami pracowniczymi. Jest sprawą niezmiernie ważną, by dzięki sprawności organizacyjnej budować w regionie to poczucie wspólnoty, którego nie ma - bo nie było wspólnej akcji strajkowej i innych wyraźnych, wspólnych form protestu, nie ma poczucia istnienia wspólnej organizacji i wspólnego programu.

Organizacyjna rola RKW będzie mogła być wypełniana lepiej, jeśli jawny stanie się rodzaj mandatu, dzięki któremu RKW przyjmuje na siebie związane obowiązki. Trzeba więc zadać pytanie, czy mandat solidarnościowego zaufania z 1981 roku jest obecnie wystarczający. Czy mandat wynikający z utrzymania ciągłości związkowej w czasie działań konspiracyjnych odpowiada chwili obecnej? I dalej - czy mandat płynący z zasady przedstawicielstwa zakładowego i mechanizmu kooptacji (jaki zaistniał ostatnio i poniekąd odpowiada strukturze jawnej aktywności) uznać można za optymalny teraz? Często przecież mówi się o potrzebie wyborów. Odpowiadając na pytanie dotyczące wyborów, RKW powinno zdać sobie sprawę z następujących kwestii:

- trudno przeprowadzić wybory, kiedy trudno określić, kto miałby być wyborcą (problem jawnych i tajnych komitetów lub tych miejsc i organizacji związkowych, które w ogóle realnie nie znajdują się w orbicie oddziaływań RKW);

- akcja wyborczo-programowa, swoista kampania w regionie mogłaby stanowić ważny element scalający funkcjonowanie regionu - trzeba tylko wiedzieć, czy miałyby ona doprowadzić do wyborów, czy raczej do powierzenia obecnemu ciału mandatu do kierowania regionem na określony czas. Oczywiście, mandat ten musiałby być powierzony przez odpowiednio reprezentatywne grono - czy istnieje sposób jego dobrania?

cd. na s. 22

Długa droga do "pośredniaka"

Trochę nieprzyjemnie jest pytać członków "S", co zrobią, jak wadze pozbawią ich pracy. Trochę to wygląda tak, jakby proponowało im się... No, młodsza!

Odpowiedzi były równie zaskakujące jak decyzja rządu.

- Nic szukam dla siebie pracy. W ogóle nie dopuszczam tej myśli.

- Boję się o innych. Co stanie się z tymi, którzy utracili zdrowie - ze spawaczami, monterami, wycinaczami, kowalami. Lekarz nie pozwoli im zatrudnić się w żadnym zakładzie czy warsztacie w ich fachu. Myślę i o tych, którzy się nie urządzili. Stocznia dopłaca im do wynajętego mieszkania. Sami tyle nie zarobią. W Gdańsku kwatery kosztuje kupę piniędzy. A jeszcze pracownicy tuż przed emeryturą.

- Gdyby jednak bezrobocie? O tym nie myślałem. Trzeba by się łapać jakiejś pracy. Śpiwam w chórze kościelnym. Mam tam koleżanki - nauczycielki. Mówiły, że jakby co, to wożnym w szkole mogąc zostać - rozmówca śmieje się - To takie żarty.

- Poszukiwania nowej pracy nie biorę na poważnie pod uwagę. Ot, teoria. Najważniejsza nie praca, ale działalność, którą robimy.

Władze też podjęły do sprawy "teoretycznej". Na terenie Stoczni zainstalowano biuro pośrednictwa pracy.

- Na to pośrednictwo liczone z początku, jak był jeszcze termin miesięczny. Szybko okazało się, że to była bzdura. Tam były takie typowe propozycje zatrudnienia, które nie idą, takie z "pośredniaka".

- Przyjęć się to jako kpiny z ich strony. Po siedem, piętnaście, dwadzieścia tysięcy miesięcznie dawali ludziom ze średnim wykształceniem. Postanowiliśmy usunąć ich z terenu stoczni. Dyrektor się o tym dowiedział, chyba przez SB, i sam ich zlikwidował.

A jednak, gdyby tak mimo wszystko zacząć "teoretyzować" i wyobrazić sobie sytuację, gdy trzeba szukać nowej pracy?

- Jakąś robotę zawsze bym znalazł - prywatna firma, spółka. Tu w Gdańsku jest dużo spółdzielni. Ostatnio wyrastały jak grzyby po deszczu. Byłoby zawsze dokąd pójść. Ale nie wierzę, żeby musiał. Inni też nie wierzą. Ten dwuletni termin uspokoił nawet najostrożniejszych. Nie będzie nagłych zwolnień.

- Kierownik powiedział, że niktogo nie zwolnią, nie ma nad czym się zastanawiać - to mówi ten, który "ma przechlapane u kierownika".

- Jakby co, to oczywiście muszę szukać nowej pracy, żeby zabezpieczyć rodzinie wyżywienie i dach nad głową. Trudno mi sobie taką sytuację wyobrazić, ale z założonymi rękami nie będę siedział. Na cudzą łaskę też nie będę liczył - ani Związku, ani zagranicy. Szukanie pracy to nie nadzwyczajnego. A z hotelu rodzinnego z żoną i dziećmi to mnie chyba nie wywala. Zameldowanie mam.

- Są i tacy koledzy, którzy Rakowski położył na rękę podejmując decyzję o rozwiązaniu. Chcą

cd. na s. 22

się od stoczni uwolnić. Trzyma ich pożyczka, a chcieliby odejść. Oczywiście nie dlatego, że stocznia jest kolobką "S" i reform.

Gdy przyszła wiadomość, że termin reorganizacji (już nie likwidacji) Stoczni przesunął się o dwa lata komentarze były jednoznaczne - "rząd chce wyjść z twarzą". Ale pierwsze wrażenie pozostało: - Rakowski wisi się za krawat.

Niebezpieczny eksperyment

Od samego początku wątpliwość w rzeczywistość groźby, ale musiała być brana pod uwagę. Nic było pewności. Szczegółowo mówiąc, niektórzy nadal jej nie mają.

- Czy rozwiążą? Co chcą, to robią? Jak nas nie poparł cały kraj, to zrobią co chcą - mówi robotnik ze stoczni remontowej. Zastrajkowali, by poprzeć "Lenina", a tymczasem sam "Lenin" nie ruszył. Co prawda miał być strajk, ale udało się ludzi przekonać, żeby go nie robili. Może "eksperymentatorom" z Warszawy właśnie o to chodziło, żeby stocznia stanęła?

- To była zaczepka: "Co wy na to?" i my nic. Spokojnie. Tylko, że przez noc się przestrajkowało - mówi inny robotnik ze stoczni remontowej. Dała mu się chyba ta noc we znaki.

Brano pod uwagę również rachunek ekonomiczny.

- Dostaliśmy zamówienie ze Szwecji. Nic można było strajkiem ryzykować zerwania kontraktu. To mogłoby nas rozkołować.

- Wyszło na nasze. Władza zorientowała się, że podjęła niefortunna decyzję. Teraz mówią o reorganizacji. Chyba dojdzie do tego, czego chciała "S" jeszcze w 81 r. Była u nas wtedy wystawa maszyn rolniczych, które stocznia mogłaby produkować. Potrzebujemy reformy. Nawet jakby miały być jakiejś niepokoję. To nie powinno specjalnie przeszkadzać. Od samego Sierpnia nie było między nami a dyrekcją za dużych zatargów. Jeśli będzie się wyrzucać, to raczej bumelantów.

Nieprzemysłanie decyzyjnie przynioszą zazwyczaj skutki odwrotne do zamierzonych. Związek umocnił się w swym "wysokim zamku", a swoiście rozumiane pierwsze uderzenie reformy napsuło wiele krwi.

A gdyby jednak rząd przeforsował decyzję?

- Jakby już doszło do likwidacji, to czy przegramy, czy wygramy przymus moralny jest żeby strajkować. Jak przegramy, to działacze poniosą konsekwencje, a "S" nie kończy się przecież na nas. Na razie wygraliśmy.

- Dwa lata to dużo czasu. Może premier odejść. Zyczyłbym mu zdrowia, szczęścia, żeby tylko odszedł ze zdrowiem. Chętnie mu pomogę. Nic ja jeden. Tu jest wspólnota, zgrani ludzie. Z szarpaniem czy nie, stocznia odzyska my. Jakby co, to stocznia jest imienia Lenina. Trzeba strajkować ze względu na niego. Jakby "Mickiewicz" to nie. A tak - ni ch [...]: Niech wisi Lenin, niech się męczy.

rozmawiał Radosław Januszewski

Dopiero odpowiedzi na pytania związane z organizacyjną rolą RKW, z charakterem jej tożsamości i zadań z tego wynikających przyniesie mogą decyzje co do kształtu i zakresu roli programowej i integracyjnej RKW.

Rola inspiracyjno-programowa

Najpierw chyba należałoby odpowiedzieć na pytanie, czy RKW jako instytucja regionalna Związku powinna mieć swój program. Po pierwsze, na pewno musi to być program związany z programem całej "S", ale zarazem jego istotą winno być dostrzeganie specyfiki środowiskowej naszego regionu i taka konstrukcja zadań programowych, by odwoływały się one do realnej "S" Mazowsza, a nie tej wymarzonej. Specyfiką regionu jest niewątpliwie:

- nie-rewolucyjny, mało buntowniczy charakter zakładów, co wynika z ekonomicznej sytuacji pracowników, jak i socjologii zatrudnienia w Warszawie i regionie. Od 1981 roku nie było tutaj silnego ruchu strajkowego - można nad tym zamamywać ręce, ale też i można to próbować zrozumieć;

- mimo istnienia jawnych komitetów związkowych, podstawową formą funkcjonowania Związku w naszym regionie są Tajne Komisje Zakładowe, nieźle zorganizowane (zarówno w strukturach międzyzakładowych, jak i towarzyskim kręgu wymiany informacji), dbające o kolportaż, napływ składek, samodzielnie operujące finansami (często wcale niecałymi), biorące udział w wielu symbolicznych przedsięwzięciach "S" (petycje, listy, msze święte, niektóre manifestacje). W większości wypadków nie wypracowały one swoich zakładowych programów, zadania pojawiają się doraźnie, a edukacja polityczno-opozycyjna odbywa się przypadkowo. Można byłoby powiedzieć, że formą istnienia tej TKZ-owskiej "S" jest nie zrealizowana do końca federacja klubów (TKZ jako klub);

- silny ruch samorządowy, który potrafi podjąć wspólne działania, skoordynować przedsięwzięcia na poziomie nieformalnym, a poprzez inicjatywę Towarzystwa Samorządowego - również na poziomie instytucjonalnym. Ważne jest, że elity samorządowców wywodzą się z elit "S", że ten ruch zyskał swoją własną tożsamość i płynącą z niej taktykę postępowania. W wielu zakładach, gdzie samorzady demokratycznie wybierane działają już kolejną kadencję stale rośnie liczba działaczy, która przez aktywność samorządową przeszła - a nie może na razie być wybierana - warto pomyśleć o wykorzystywaniu tych ludzi i to nie tylko w skali zakładu;

- aktywne są w naszym regionie środowiska inteligentne, grupki "S" w wielu miejscach pracy, które nigdy nie będą miały strajkowej siły przebicia - trzeba spytać, czy jest możliwe zwiększenie ich udziału w procesie integrowania regionu;

- Warszawę jako centrum charakteryzować musi obecność wielorakich elit - opozycyjno-politycznych i eksperckich (wyodrębnianych według kryterium kompetencji). One elity intelektualne niewątpliwie służą Związkowi jako całości, chy-

ba jednak w o wiele mniejszym stopniu służą regionowi Mazowsze, służą jawnym komitetom organizacyjnym i TKZ-om. Pomoc ekspertów (poza prawnikami) kierowana w stronę zakładów ciągle jest czysto teoretyczna.

Przedstawiłem tutaj oczywiście niepełną listę elementów stanowiących o specyfice naszego regionu (np. ważna jest aktywność i niekonwencjonalność działań podejmowanych przez środowisko studenckie, szczególnie uniwersyteckie). W naszym regionie najbardziej widać to, w jaki sposób opozycja (szeroko pojmowana) stara się zajmując również terytoria oficjalne - powstają kluby, stowarzyszenia, towarzystwa. Niewątpliwie wpływa to na specyfikę opozycyjnego oblicza regionu, jak też może utrudniać podejmowanie elementarnych działań związkowych - w momencie, w którym wszyscy ewentualni eksperci, działacze i pomocnicy zaangażowani są już w jakąś, zbliżającą się do legalizmu, przedsięwzięcia.

Biorąc więc pod uwagę specyfikę naszego regionu, warto byłoby, by RKW w swojej roli inspiracyjno-programowej skupiła się na następujących kwestiach:

- działaniach na rzecz wzrostu świadomości kadry "S", w tym również członków RKW. Potrzebne są formy samokształcenia, dyskusje programowe i informacyjne w obrębie działaczy - by wyposażyć tych, którzy na co dzień kontaktują się z pracownikami, członkami "S" w odpowiednie argumenty, aktualne informacje itp. To RKW musi być źródłem wielu informacji i propozycji programowych, a nie słuchana niekiedy przypadkowo *Wolna Europa*, czy czytany z opóźnieniem "Tygodnik Mazowsze" (mało zresztą poświęcający miejsca sprawom naszego regionu). Jeśli w optyce programowej RKW leży sprawa porozumienia (jako jakiegos faktu społecznego lub jako porozumienia - procesu rozłożonego ewolucyjnie w czasie na różne etapy), to trzeba wyłuszczyć o świadomych i elastycznych działaczach. Ciągłe też wydaje się nam, że "S" ma do czynienia z działaczami ukształtowanymi w okresie 16-u miesięcy, gdy tymczasem duża część osób aktywnych znalazła się w Związku dopiero w stanie wojennym. Musimy zatem wiedzieć, jacy jesteśmy i czego nam potrzeba, powinniśmy uczyć się wzajemnie od siebie sposobów działania, pomysłów, umiejętności szybkiego reagowania na to, co się dzieje (np. reakcja OKW Wołomin związana z Armią);

- ustaleniu bazowego programu związkowego w naszym regionie, dostrzegającego zarówno aspekty strategiczne naszych poczynań, jak i elementy taktyki związane z funkcjonowaniem "S" w czasie przejściowym. Sprawą najważniejszą jest wypracowanie takiego programu i takich programów zakładowych, które będą zawierały w sobie punkt docelowy relacji: "S" jako związek - pracodawca, ale też znajdują odpowiednic dla siebie formy skutecznego działania. Nie można akcji jawnych komitetów rozszerzać, nie pokazując skuteczności działania jawnego Związku, choćby i nie we wszystkich dziedzinach, a tylko specjalnie dobranych, podatnych na

szybka skuteczność i sukces. Ale ten sukces, poczucie tego sukcesu (zakładowe) jest niezbędne, by utrzymać ruch jawnych komitetów - zaznaczam: może to być sukces mały, ale wyraźny i samodzielnie wypracowany;

- stworzenie pewnego ruchu wokół dokumentów i propozycji programowych zawartych w materiałach przygotowawczych do okrągłego stołu. Jest to niezbędne, by owe materiały nie stały się znaczną i przegraną kartą tamtego pokera - by zarazem zlikwidować ten rosnący ciągły, choć cicho - przedział między elitami intelektualnymi "S" a tymi, którzy realnie Związek tworzą;

- myśleniu wykraczającym poza doraźny horyzont funkcjonowania opozycji, w tym i związkowej. Żeby to uczynić należałoby myśleć i dyskutować na temat nowego modelu związku, jaki może się okazać potrzebny w którymś momencie rozwoju polskiej sytuacji. Należy więc spytać o uczestnictwo młodych generacji w ruchu związkowym (i to w naszym regionie!), należy spytać o możliwość łączenia rozsczerzeniowo-obronnego charakteru modelu Związku z modelem próbującym sensownie współuczestniczyć w reformie gospodarczej (czyli Zbyszka Bujaka wygłoszone w Klubie im. Strzeleckiego wymagają poważnej dyskusji, którą Związek jak zwykle ominął). Warto też dokładnie uzmysłowić sobie, na czym polega pluralizm związkowy w innych krajach - jakie są modele współfunkcjonowania różnych związków zawodowych.

Z tych ledwie sygnalizowanych uwag wynika, że RKW Mazowsze powinno zarówno przygotować program ożywienia Związku w regionie, zdobycia realnego poparcia, realnych członków, uczestników działań inspirowanych w naszym regionie, jak i zadbać o przyszłość Związku (wcześniej) przygotowując kadrę "S" lat 90-ych.

Ważność stworzenia wyraźnego oblicza programowego RKW Mazowsze ma jeszcze jeden powód. Następuje powolne, ale dostatecznie dostrzegalne polaryzowanie się środowisk opozycyjnych, także w Warszawie. Ugrupowania o charakterze niepodległościowym, aczkolwiek uprawiające politykę deklaracyjną - zyskiwać mogą coraz większe poparcie wraz z załamaniem procesu porozumienia i wahaniem dotyczącymi linii Wałęsy. Podobny wzrost znaczenia może towarzyszyć grupom "rewolucyjnym" (odcięcie takiego myślenia widoczny jest w pismach i pomysłach PPS czy MRK "S"). Przyjdzie być może taki czas, iż z tego typu ugrupowaniami trzeba będzie z jednej strony prowadzić dialog, z drugiej zaś prowadzić merytoryczną polemikę. Nie można tego, czynić, nie mając sprzecywanego własnego stanowiska co do tożsamości organizacyjnej czy programowej. W tym kontekście może warto też przemyśleć sprawę dotyczącą różnych koncepcji politycznej ruchu związkowego, upolitycznienia "S" - by uczynić z niej siłę w politycznym reformowaniu państwa, w zmianie instytucji państwa (bez czego przecież nie się w Polsce nie zmieni). W obecnej, przejściowej fazie dyskusja powinna przybrać charakter analityczny, a nie od

razu nastawiony na akt wyboru koncepcji i dominację jednej opcji programowej.

Rola integracyjna

Regionalny Komitet Wykonawczy "S" powinien pełnić funkcje ośrodka koordynującego działania opozycyjno-związkowe. Aby jednak je skutecznie wypełniać potrzebna jest świadomość dotycząca spełniania zadań integracyjnych. Integracja powinna przebiegać w dwóch sferach: organizacyjno-instytucjonalnej oraz programowo-ctosowej. A wyrażać się może w dwóch dziedzinach: związkowej i politycznej.

W pierwszej - związkowej najważniejsza jest integracja wewnątrzregionalna, poczucie współuczestnictwa i współuczestnictwa, dzięki któremu zlikwidowana zostanie jedna z pozostałości stanu wojennego związana z delegowaniem wszelkiej aktywności i odpowiedzialności na wysoki, jak najwyższe gremia kierownicze "S". Ważne jest znalezienie odpowiednich formuł, które przez akcję wybiorczą w przyszłości lub społecznie zorganizowane obdarzenie obecnego RKW mandatem zaufania - przetrną spory dotyczące legalnego charakteru instytucji związkowych na szczeblu regionalnym. Należałoby więc, nawet w obecnym czasie przejściowym, rozwijać demokratyczne procedury funkcjonowania Związku, angażowanie szerokiej grup do podejmowania decyzji, powszechność opiniowania zasadniczych spraw programowych. Wiktore z ważnych dla przyszłości "S" dyskusji warto odbyć teraz, zamiast czekać aż do momentu legalizacji - i wówczas wciąć się w długie spory.

Jedną z form integracji jest stała obecność znanych działaczy, członków RKW w życiu środowisk pracowniczych, w sferze pracowniczych reprezentacji związkowych. Na spotkania z zakładami trzeba znaleźć czas, tak, jak odpowiednio należy przygotowywać takie spotkania informacyjne regionu, dbać o szeroki udział różnych kręgów związkowych w tych spotkaniach. Członkowie RKW winni też zaistnieć w życiu publicznym regionu, w miejscach oficjalnych i półoficjalnych, powinni zabierać głos w różnych dyskusjach, prezentować się jako osoby zaangażowane w sprawę "S" i przemian sytuacji polskiej. Skoro RKW funkcjonuje jawnie, to jej członkowie powinni być coraz bardziej znani w różnych środowiskach solidarnościowych czy opozycyjnych.

Alc oprócz problemu wewnętrznego, regionalnej integracji istnieje także problem ogólnokrajowej integracji związkowej. Tym, co jednocześnie "S" jest niewątpliwie autorytet Lecha Wałęsy. Ale byłoby lepiej, gdyby nie był to jedyny element integrujący (poza ogólnymi celami...) ogólnokrajowe struktury Związku. Potrzebna jest współpraca z innymi regionami, a także odpowiednia transmisja pomiędzy instytucjami regionalnymi a ogólnokrajowymi (np. RKW a KKW). To RKW powinno budować przekonanie o jedności Związku, organizować akcje upowszechniające to, co dzieje się gdzie indziej (wyjazdy, spotkania, seminaria). To RKW powinna ustalić np. relacje struktur regionalnych do takiego ciała, jakim jest tzw.

Klub Wałęsy (intelektualiści, eksperci, politycy itp.), dbać o kontakt między tym klubem a tzw. średnią kadrą regionu. W końcu kontakt między elitami opiniotwórczymi a wykonawcami polityki Związku powinien przybrać żywy charakter.

Jest również istotne, by RKW integrując "S" w naszym regionie wzięła pod uwagę różne jej odnogi. Mam tu na myśli wyspecjalizowane grupy techniczne, dziennikarzy niezależnych (i to bardziej tych, którzy zajmują się prasą kierowaną do zakładów), działaczy jawnej "S" i tajnych struktur związkowych, ludzi związanych z ruchem samorządowym, działaczy Zarządu Regionu i Delegatów z 1981 roku, ludzi duozpasterstw (Dcotymy, Karolkowa, Ochota, Praga), ekspertów i ludzi nastawionych opozycyjnie, działających w różnych gremiach opiniotwórczych, klubach, czasopiśmie. Oczywiście tego rodzaju integracja nie może podlegać zasadzie organizacyjno-instytucjonalnej, ale służby powinna wzmocnieniu integracji programowo-ctosowej, sprzyjąc nawiązywaniu trwałych kontaktów, owocować wspólnymi przedsięwzięciami. Model regionalnie zdecentralizowanej "S" powstały w okresie konspiracyjnym należałoby poddać dyskusji, zastanawiając się nie tyle nad zniesieniem swobody różnych grup, jaka płynięc z modelu zdecentralizowanego, co raczej nad sensowniejszym wykorzystaniem całej różnorodności "S" w naszym regionie dla tworzenia tego, co wspólne.

Pomijam w tym momencie kwestię relacji pomiędzy RKW a innymi siłami opozycyjnymi w regionie, gdyż stworzenie jakiegokolwiek modelu współpracy musi na razie być oparte na zasadzie przypadkowej, skoro tak niejasna jest rola organizacyjna i programowa RKW. Chociaż problem wielobarwności mapy politycznej regionu winien także budzić zainteresowanie związkowców.

* * *

Zastrzyku energii, jaki otrzymała "S" w roku 1988 dzięki dwufalowi strajkowym nie wolno zmarnować. Także i w naszym regionie. Nawiązując do listu RKW z lata 1988 roku, trzeba w aktualnych pracach nad rolą i kształtem RKW pójść jeszcze dalej, dostrzegając przyszły horyzont nowego, jawnie działającego Związku. Żeby dotrzeć do tego punktu - należy odnaleźć takie formy działania, takie sposoby poszukiwania skuteczności, aby pozwoliły one czynnie i twórczo funkcjonować o okresie przejściowym. Potrzebna jest więc strategia celu i taktyka przejścia. Potrzebne jest przeprowadzenie Związku ku formule organizacji, a nie luźnej federacji klubów, kręgów towarzyskich. Nie można tej organizacji stworzyć odgórnie, ona musi powstać sama. Ale może należy w tym pomóc.

grudzień 1988 r.
opr. Michał Boni

Tekst wygłoszony i dyskutowany na zebraniu RKW Mazowsze w grudniu 1988 r.

Kościół

„Solidarność”

Stan wojenny

Dyskusja redakcyjna nad książką
A. Micewskiego *Kościół wobec "Solidarności" i stanu wojennego*

Andrzej Urbański - Proponując, abyśmy rozmawiali o tej książce inaczej niż jest to zazwyczaj przyjęte w czasie publicystycznych spotkań - a więc bez pośpiechu, sztucznej gwałtowności i polemizacji, która gubi sam cel rozmowy. A trzeba przyznać, że książka ta prowokuje do tego tych wszystkich, którzy czują się ludźmi "S". Ta propozycja nie jest "taryfą ulgową", ale wynika z przekonania, że przy okazji tej pozycji możemy spróbować porozmawiać o kwestii kluczowej dla Polaków i naszych marzeń - o relacji między społeczeństwem obywatelskim, społeczeństwem wyklaniającym się do siebie grupy i projekty polityczne a Kościołem. Tak patrząc będąc bronił zdania, że jest to książka ważna z kilku ców najmniej powodów.

Po pierwsze jej autor konsekwentnie mówi spoza "S" i używa w tym celu dwóch perspektyw. Pierwszą nazwałbym wewnętrzną. Micewski ma dostęp do dokumentów ważnych dla Kościoła, często powołuje się na rozmowy kulturalne. Wydaje się być w tej roli przekonujący i wiarygodny. Zresztą książka nie spotkała się z żadną uwagą ze strony Kościoła, że taka nie jest. Czyli Micewski przybliżył nam pewien sposób rozumowania na dobrą sprawę mało nam znany. Przecież tak na prawdę bardzo mało wiemy o tym, jak Kościół działa "politycznie", jak się zachowuje w sytuacjach "politycznych". A tu Micewski pokazuje księdza Prymasa w scenie porannego poinformowania o stanie wojennym i jak na wiosnę 1982 r. Kościół dochodzi do wniosku, że nie ma szans na reaktywowanie "S", w związku z czym przenosi ciężar swych starań na uzyskanie zgody na II Pielgrzymkę Ojca Świętego. W tej perspektywie widzimy również to, co można by nazwać *kuchnią* - codzienne wręcz starania Sekretariatu Episkopatu o więzionych, o kształt ustaw, o szkolnictwo, o ubogich... Po raz pierwszy możemy zobaczyć Kościół w rozmowach na szczeblu rządowym. I to jest ważna rola tej książki, bo przecież normalnie Kościół skazany jest na przekaz cenzurowany. Stosując perspektywę drugą Micewski atakuje się politykiem występującym przeciwko innym - laickim, lewicowym, ale i katolickim opcjom społecznym. I tu jestem ogromnie rozczarowany. Cały czas spodziewam

się, że przeciwnicy *dobrej linii* od. na s. 25

CZY POLITYKA POLSKA

Zacznijmy od cytatu: *Sytuacja była wprost kuriozalna. Cóż bowiem ta Rada Państwa ma uchwalić? Współczesną brankę (dziś zwaną "internowaniem") by zapobiec rzekomu powstaniu (dziś zwancmu "wojną domową"), którego nikt nie szykuje i w ten sposób odsunąć widmo zbrojnej inwazji obcych wojsk (dziś zwana "umiędrzynarodowieniem konfliktu", bądź łagodniej "bratnią pomocą")? To przecież potworna mistyfikacja. Interwencji nikt nie chce, nie leży ona w naszym interesie, ani naszym, ani naszych sąsiadów i trzeba by dopiero monstrualnej prowokacji, by do niej doprowadzić.*

To wyśli zapamiętane przez Ryszarda Reiffa tuż po tym, gdy jako jedyny członek Rady Państwa w nocy z 12 na 13 grudnia odmówił podpisania aktu (przyniesionego w łozce przez wojskowych) o wprowadzeniu stanu wojennego. Jeszcze przez chwilę ludzi się, że jest szansa przekonania członków Rady by zatrzymać bieg wydarzeń i przywrócić komu trzeba trzeźwość w ocenie sytuacji w Polsce, wyjaśniając że to, by ustabilizowała się ona w pełni wymaga nieco czasu. Zadaniem nas, Rady Państwa, winno być niedopuszczenie do zaprzepaszczenia wielkiej szansy, którą naród może urzeczywistnić na fundamentach powszechnej jedności, jaką zbudował, a na jaką, począwszy od dnia zakończenia wojny nigdy uprzednio się nie zdobył. Ale przecież jest politykiem i wie, że decyzje zostają już podjęte i ci, którzy dysponują siłą będą stanowić jednostronnie o faktach. Spyta więc tylko reprezentującego WRON generała Tuczapskiego, czy zdają sobie sprawę z ekonomicznych, pośrednich i bezpośrednich skutków zamachu. Sądząc po twarzach pozostałych wojskowych domyśla się, że nie skalkulowano ani sankcji ekonomicznych Zachodu, ani zastoju technologicznego, spadku wydajności pracy i jej jakości. Czy myślano wówczas rzeczywiście o Polsce? A jeżeli tak, to o jakiej?

Dla Ryszarda Reiffa była to noc z wielu względów szczególnie. Dobrze to ilustruje ostatni rozdział jego książki *Czas Solidarności*. Zamach grudniowy wydawało się na wiele lat grzebie polskie nadzieje na demokrację, cywilizacyjny i gospodarczy postęp, na ograniczoną niezawisłość. To dotyczyło wielu Polaków, nie tylko członków "S". Dla Reiffa był to również cios w jedną z niewielu sformułowanych po sierpniu całociowych koncepcji przebudowy sytuacji polskiej.

I. Klasyczną rolę w tej koncepcji pełnił stosunek do ZSRR. Jest listopad 1980 r. "S" stoi wobec kryzysu rejestracyjnego, to emocjonuje najbardziej. Po raz

pierwszy publicznie dyskutowana jest kwestia *micromiczej roli*

PZPR. Gdzieś w tle kolejna, rytualna rocznica Rewolucji Październikowej. Reiff myśli innymi kategoriami. *Rocznica - piszc - nasunęła mi myśl postawienia na forum publicznym sprawy o kapitalnym według mnie znaczeniu dla całej przyszłości dokonującej się w Polsce odnowy. Rzecz w tym, że jednym z dogmatów, lansowanych i zazdrośnie przez partię straconych, było twierdzenie, jakoby tylko ona stanowila bazę i gwaranta sojuszu polsko-radzieckiego, będącego - zgodnie z oficjalną terminologią - najważniejszą rękąjmią bezpieczeństwa PRL i nie naruszalności jej granic. Dogmat ten [...] partia wykorzystywała jako oręż w walce z "S", argumentując, że działania nowego ruchu związkowego, osłabiające partię, osłabiają jednocześnie fundament owego sojuszu, co stanowi zagrożenie dla polskiej racji stanu. Należało zatem wykazać fałszywość takiego rozumowania.*

6 listopada PAX organizuje spotkanie pod hasłem *Cały naród bazą polsko-radzieckiego sojuszu*. Cel - wykazanie że sojusz, którego gwarantem jest martwy społecznie aparat partyjny nie może być ani pewny, ani trwały. Na spotkaniu głos zabierają m.in.: Jan Dobraczyński, Aleksander Bocheński, Alfons Klafkowski, Zenon Komender, Wincenty Lwaniowski - wszystko ludzie gorącej aprobaty dla stanu wojennego. Ludzie, którzy pozbędą się Reiffa z PAX-u przy pierwszej nadszającej się okazji. Czy można robić politykę nie dysponując społeczną siłą? Ale to jedna strona pewnej rzeczywistości politycznej, z którą przyszło nam się zmierzyć. Jest i strona druga, ważniejsza. Jesień 80-tego roku to rozkwit masowego rynku niezależnych publikacji. I większość tych broszurowych bestsellerów to publikacje bezpośrednio odnoszące się do sfery stosunków polsko-rosyjskich wicku XX. Po blisko 40 latach propagandowych kłamstw, edukacyjnych fałszerstw i historycznych przemilczeń dojmująca społecznym pragnieniem było upublicznić prawdę. Upublicznić znacząco - uczynić ją wartością wspólną i zobowiązującą. W tym procesie silne były i resentymenty, i długo tłumione namiętności, ale najsilniejsze polityczne przecież przekonanie, że władciwa polskim głębokim aspiracjom jest niezależność od ZSRR. Wszyscy obserwatorzy - przyjaźni i wrodoy - sceny polskiej z ogromną uwagą śledzili ten właśnie wątek społecznego procesu. Dla wszystkich było jasne, że potencjalnie jest to najbardziej zapalny materiał społecznej przemiany. Czy można więc uprawiać politykę przeciwko zbiorowemu potrzebom?

Według Reiffa brak zdecydowan-

Marcin Rewera JEST MOŻLIWA?

go stanowiska partyjnej ekipy w sprawie propagandowych *okresów antyradzieckich*. Świadczy, że od chwili podpisania Porozumień traktowano je "jako wymuszony sytuacją manewr taktyczny, odkładając zdławienie rodzącego się wówczas ruchu na czas bardziej stosowny [...]". Podkreśla różnicę między postępowaniem Kania w 1981 i Gomułki w 1956 r. Ten ostatni dał tym pomówieniom odpór natychmiastowy i zdecydowany, odrzucając je w sposób kategoryczny. I dodaje: To przesądziło o jego ówczesnym zwycięstwie. Sam Reiff od pierwszego posiedzenia Sejmu po podpisaniu Porozumień zgłaszał potrzebę powołania nowego mechanizmu informacyjnego dla państw socjalistycznego obozu. W czerwcu 1981 r. kieruje do Sejmu projekt *Deklaracji do parlamentarów krajów socjalistycznych na temat sytuacji politycznej w Polsce*. Wszystko to pozostaje w sferze projektów. Sterowana polska propaganda wyraźnie służy ekipie Brożniewa, który w formie otwartych listów do KC PZPR stara się dyscyplinować polską partię, grożąc interwencją.

Warto zauważyć, że jeden z fenomenów Sierpnia to samoograniczenie się antyrosyjskiego resentymentu. Mimo autentycznych źródeł polskiej antyrosyjskości, mimo propagandowych wskazywek, co i jak profanować, mimo ewidentnych prowokacji, społeczeństwo zachowało całkowity spokój. "S" starała się podkreślać swoje politycznie aprobatywne stanowisko dla "sojuszy" i "gwarancji". Jedną z uchwał I Walnego Zjazdu Delegatów Mazowsza głosiła: *Związek nasz stał i stoi na gruncie nienaruszalności naszych układów sojusznictwa opartych na zasadzie sewernonny równości państw*. Protestowano przeciwko prowokacjom. Faktycznie jednak Związek do końca swjej legalnej działalności pozostał stroną bierną w grze o Moskwę. Jeszcze w kilka lat później, już po zawieszeniu stanu wojennego, Lech Wałęsa powtarzał: *nie bierzmy się za Związek Radziecki..., nie zajmujmy się Jaltą*.

Związkowcy zaniechania w tej materii, jak sądzę, warunkowane było na wiele sposobów. Nie ostatnią z przyczyn był apolityczny styl oficjalnego dyskursu związkowego. O polityce mówiono językami zastępczymi - historycznym, literackim, metaforą, alegorią, emblematem i plakiatką. Odmienne Ryszard Reiff: *Jest punkt widzenia antyradziecki, proradziecki i radziecki. [...] Celem, który chciałbym osiągnąć w związku z inicjatywą przedstawioną w Sejmie było wyeksponowanie stanowiska proradzieckiego. Jego istota polega na tym, że nie tylko przeciwstawia się antyradzieckiemu, ale także różni się od radzieckiego. Z*

punktu widzenia ujawnionych aspiracji narodowych słowa te wydają się blade i ogólnicze. Gdy je przyłożyć do publikowanych wówczas niezależnych tekstów o pakcie Ribbentrop-Mołotow, o Katyniu, o Kresach w 1944 r., o interwencji w Czechosłowacji, o stalinizmie, owo "proradzieckie" stanowisko wydaje się być formułowane w języku drugiej strony barykady. Tyle tylko, że takie porównania są całkowicie nieprawomocne. Reiff odwołał się do języka polityki, podczas gdy ówczesna niezależna produkcja wydawnicza stała balansowała między martyrologiczno-godnościowym schematami. W języku polityki polskiej ów rozdział trzech stanowisk w kwestii ZSRR był powrotem do lat 40-tych, do języka, jakim przemawiali opozycyjni wówczas środowiska, z PSL na czele. Do języka litery Jalty - czyli Rosji przyjaźnej polskiej nieczwistości. Czy jeżeli jakaś koncepcja polityczna raz już przegrała to znaczy, że przegrać będzie zawsze?

W tym samym języku napisany był główny w 1981 r. *list 35* - apel przedstawicieli środowisk naukowych, twórczych i organizacji społecznych. List poza kwestiami stożkowymi z ZSRR zawierał również formułę politycznego uregulowania grożącego konfliktem procesów zachodzących wewnątrz kraju.

II. Jednocześnie z koncepcją innego ustanowienia relacji ZSRR - PRL dojrzała kolejny pomysł polityczny przewodniczącego PAX-u. 3 czerwca 1981 Ojciec Święty opuścił rzymską klinikę Gemelli. Dnia następnego PAX na zebraniu Zarządu formułuje propozycję powołania Frontu Porozumienia Narodowego mającego zastąpić skompromitowany fasadowością i martwością EJN. Poza to chodziło o dwie kwestie: poszerzenie aktywnej i legalnej bazy politycznej państwa poprzez udział podmiotów wieloświatopoglądowych. W referacie wspomniano zarówno o wiceniach politycznych, jak i o KORze. Chodziło również o tworzenie nowego mechanizmu wyłaniania społecznej reprezentacji politycznej. Następnym krokiem na tej drodze to propozycja (zawarta w *liście 35*) utworzenia Rady Porozumienia Narodowego mającej odegrać rolę nadrzędnego rozjemcy w sporach między rządzonymi a rządzącymi. Wreszcie w czwartek 24 września na posiedzeniu Sejmu Reiff ogłasza: *przychodzi czas na sformułowanie wielkiej idei, która potrafiłaby dokonać wewnętrznego pojednania [...] Myślę o koncepcji wielkiej koalicji*.

Trzeba w tym miejscu przypominąć, że było to posiedzenie w dziedzinach Sejmu PRL szerególnie. Jeden z konfliktów między "S" i rządem dotyczył samorządów. W środę rano Stanisław Kania zawiadomił

zostaną nazwani i scharakteryzowani, a poza zespołem paryskiej "Kultury" takich charakterystyk nie ma. Zresztą o "Kulturze" też mówi się tylko przy pomocy słowakłucza, że jest *nie-nacjonalistyczna*, a przecież - jak pisze autor - nacjonalizm po II Soborze jest już zupełnie inny i chodzi w nim o dobro narodu. Chcę tu powiedzieć, że według mnie w swej książce Miecwski udaje kogoś innego niż jest - nie bardzo chce się głośno przyznać do jakiejś opcji i ustawić siebie między Jędrzejcem Giertychem a paryską "Kulturą". Pomijam, że jest to płacząca fikcyjna, nie tak przecież biegną ważne spory ideowe, Giertych - to margines polskiej myśli politycznej, podczas gdy "Kultura" współtworzy to spektrum, które decyduje o losie Polski. Chodzi o coś ważniejszego.

Miecwski chce siebie zobaczyć w jakimś realistycznym, a jednocześnie mającym poparcie społeczne Centrum. On dodaje, że takie właśnie Centrum ma również poparcie Kościoła. Otóż ja to odbieram jako strategię pierwszorzyną, tzn. czytam, że Autor o czymś nie mówi lub mówi o czymś innym, niż naprawdę chciałby powiedzieć. I że w ten sposób chce mnie do czegoś przekonać. Pytanie - do czego?

Sądzę, że książka chce przekonać mnie do dwóch spraw. Pierwsza - że sensowna jest tylko taka polityka, w której nie bierze udziału społeczeństwo. Wiele jest takich wtrąceń, np.: że masowość "S" unicemożliwiła skuteczność i racjonalność działania Związku. Co więcej, sama książka jest obrazem gry kuluarowej prowadzonej na najwyższym pięttrze i - powiada Miecwski - tylko taka gra była skuteczna. Manifestacje, strajki, sankcje gospodarcze, konspiracja itp. nie miały politycznego znaczenia, liczyła się tylko ta gra. Nie będą klócił się z tym sądem, bo to przecież myśmy robili i konspirację, i manifestacje, i strajki. Wpę tutaj bez polemiki. Ona będzie za chwilę.

Groźniejsze bowiem jest to, do czego dalej chce mnie przekonać Autor. Twierdzi on, że w Polsce ze względów geopolitycznych ważne są realnie tylko dwie siły - rząd, władza, partia... oraz Kościół i jego ludzie polityki. A i to nie wszyscy, ale ci tylko, którzy rozumują tak, jak Miecwski. Jakże założenie pozwala mu formułować taką opcję?

Otóż, powiada on tak: "S" w swoich masach była pozytywnym ruchem, gdyż był to ruch katolicki i pozostający w łączności z Kościołem. Nicstety odmiennie rzecz się miała z solidarnościowym kierownictwem. Dodaje, iż Kościół nie dysponował w Sierpniu sprawdzoną kadrą działaczy - i to jest po części obraz prawdziwy. Ale jest dwuznaczny, jeżeli chodzi o społeczeństwo, to społeczeństwo, które pragnie (musi) praktykować jakąś polityczność, gdyż nie sprawdziły się dotychczasowe formy jej praktykowania. I tu się pojawia pytanie, którego Miecwski w ogóle nie stawia: jak się ma katolicyzm do polityki? W odpowiedzi nie wystarczy przyjąć, że masy idą w słusznym kierunku, ale dają sobą nie-

okusznie powodować. To jest błaga. Masy nie są już masami - to po pierwsze. Polacy lat 80-tych to nie to samo społeczeństwo, któremu jako nadzieję, ale i jako formę podmiotowości Prymas Wyszyński niósł Wielką Nowicę. Społeczeństwo się zmieniło, co ważniejsze - wyłania z siebie i nowe elity (solidarnościowe elity), i samo się różniczkuje na innych, niż tradycyjne, zasadach.

Jeżeli dostrzeżemy ten proces, to okaże się, jak sądzę, że diagnozy Miecowskiego są błędne i groźne nie dla "S", ale dla polityków związanych właśnie z Kościołem. Kiedy bowiem, społeczeństwo traktuje się tradycyjnie, paternalistycznie, nie dość, że nie uzyskuje się porządnego wpływu na elity, ale wręcz odwrotnie, traci się z nimi tę więź, która dla Kościoła zawsze jest sprawą wielkiej wagi.

Chciałbym w tym miejscu powiedzieć coś do końca. Od początku prymatu jestem pod wrażeniem oszczędności i rozwagi księdza Prymasa. Jego obecność na Zjeździe "S", przygotowane wypowiedzi cząstkowo wykraczały poza horyzont najbardziej - wydawałoby się - odważnych publikacji podziemnych. I na dobrą sprawę jedyną potknięcie to ogólne poparcie dla OKO-ów, o których - jak pisze Miecowski - Prymas sądził, że będą autentyczne. Otóż w tej książce w ogóle nie wyjaśniona jest rola doradców księdza Prymasa i tego, na ile oni współtworzą tego typu zachowania polityczne, jak i o b r a z s p o ł e c z e n s t w a na Kościół i do jakiego społeczeństwa w związku z tym się odwołuje.

Michał Boni - Z książki Miecowskiego trudno jest dyskutować z tego powodu, że autor przedstawia wiele faktów, o których nie mieliśmy specjalnie pojęcia. Jest to zarazem książka, która dokonuje pewnego przełamania w obrazie sytuacji. Mianowicie, dominuje w niej perspektywa polityka traktującego to społeczeństwo jako może jeszcze mniej dojrzałe, mniej obywatelskie, jako masy mylące okusznie, nieracjonalny sposób. I w tym momencie nie zgodziłbym się z diagnozami Miecowskiego.

Nie tyle z diagnozami, co z samą przyjętą tu perspektywą. Jeżeli bowiem tytuł książki brzmi *Kościół wobec "S" i stanu wojennego*, to przydałoby się, żeby w tym rzetelnym oglądzie ówczesnej sytuacji i czasu "S", jak również czasu stanu wojennego Autor więcej miejsca poświęcił namemu społeczeństwu. Przy czym nie powinien ograniczyć się tylko do takich określeń, że Kościół postępował zgodnie z oczekiwaniami i pragnieniami społeczeństwa, bo jest to oczywiste.

Bez rozpamiętania tego na dokładniejszą analizę, na taką perspektywę, w której ujawniałyby się zarówno te potrzeby i oczekiwania wobec Kościoła, pojmowanego jako hierarchia, jak i wobec Kościoła, traktowanego jako lud Boży, jako wspólnota, czyli wobec katolicyzmu. Ogląd tej sytuacji, początku lat 80-tych, wydaje się cokolwiek zafałszowany. Perspektywa od, na s. 27

partyjnych połów, że kompromis nie jest możliwy, dyrektorzy, jak dotychczas będą tylko mianowani (utrzymanie nomenklatury). Wieczorem u premiera Jaruzelskiego pojawili się posłowie SD, ZSL, PAK, Nco-Znak i bezpartyjni informując, że nie będą głosować zgodnie z weroją PZPR. Cały czwartek trwały negocjacje w komisjach sejmowych. W piątek Sejm uchwalił ustawę niewiele różniącą się od propozycji Związku. Obradujący w Gdańsku Zjazd "S" nie zauważył tego, co Timothy Garton Ash nazwał bezprecedensowym aktem w historii PRL: *Po roku rewolucji zarażeni demokracją posłowie po raz pierwszy wprost i publicznie odrzucili wolę kierownictwa partyjnego*. Rok później ten sam skład poselski uchwalił delegalizację Związku.

Wróćmy do *Wielkiej Koalicji*. Tworzyć ją miały trzy siły: Kościół, PZPR plus polityczne przybudówki, "S" oraz inne związki zawodowe i twórcze. Zapoczątkować ją miało powstanie Komitetu Porozumienia (lub Ocalenia) Narodowego. Reiff uzasadniał: *Potrzebujemy dzisiaj wielkiej syntezy. [...] Synteza ta musi polegać na tym, aby rzygnując z pewnych ambicji grupowych, przekażać część tych aspiracji na rzecz sprawy całokształtowej, całej Ojczyzny. Rozumowanie nie kategoriami racji stanu całego narodu, państwa powinno być obecnie naczelną wytyczną w naszych wysiłkach zmierzających do wyprzedzenia kraju z kryzysu*. W wywiadzie dla "Gazety Krakowskiej" dodawał, że *Koalicja ma działać w dwu porządkach. Pierwszy - interwencyjny, przyjęty w celu stworzenia autorytetu na czas przekładu i drugi - w celu wykształcenia się struktur politycznych, które byłyby gwarantem, że władza nie oderwie się od narodu...* Ostateczne uzasadnienie tej koncepcji przedstawi Reiff na kolejnym posiedzeniu Zarządu PAK. Ważne wydają się kolejne uściślenia:

- "S" poczuwając się do reprezentacji narodu musi szukać partnerstwa z państwem radzieckim, a nie z opozycją radziecką...
- trzeba przekażać ZSR, że tylko gwarancje narodowe, nie zaś wąskopartyjne, stanowią autentyczne uzasadnienie sojuszy;

- Kościół jest czynnikiem nadrzędnym w Koalicji, gdyż nie jest stroną w sporze i kieruje się długofalowym dobrem ojczyzny; powinien stać się ostoją zarówno małego centrum - krystalizacji politycznej katolików, jak i wielkiego centrum - Koalicji;
- centrum jest polityczną szansą na powrót do autentycznej stabilizacji i dalszego rozwoju. Tworzyć go może Ruch Demokracji Polskiej, nie będący platformą wyznaniową (gdź do różnych linii podziału *głoszaby wówczas jeszcze jedna, będąca odwróconym mierzem światopoglądowego partii...*).

Patrząc z perspektywy czasu, wrzesień 1981 r. mógł być kluczowy w innym rozwoju polskiej sytuacji. Plany zamachu były już wprowadzić gotowe i stałe modyfikowane, nie zapadły jednak jeszcze w grupie rządzącej ostateczne decyzje. W październiku generał Jaruzelski zmienił Kanię w funkcji i sekretarza. Reiff w wywiadzie dla "Słowa Powszechnego" próbował jeszcze

tkumaczyć - *Koalicja nie godzi w przewodnią rolę partii, lecz w monopol władzy, i zgłasza idąc Socjalizmu Całego Narodu*. Ostrzegając, że naród (PAX) nie poprze uchwał o szczególnych uprawnieniach dla rządu. I tak też się stało.

* * *

Z Polaków 81 - wielkiego fresco socjologicznego opisującego tenże czas - dowiadujemy się, że 83 % badanych z grupy ogólnopolskiej poparło ideę rządu *Wielkiej Koalicji*... Co to znaczy?

Myślę, że słowo *znaczy* odnieść można co najmniej do dwóch słowników. W pierwszym z nich da się odnaleźć wyrażenia traktujące o *społeczny nastawieniu*; o polskim, historycznie uzasadnionym *consensusie* wokół dwóch wartości - państwa i wolności, *consensusie* tradycyjnie mediacyjnym i w tym sensie głęboko, niewerbalnie demokratycznym. W tym miejscu można by rozpocząć esej o braku żywej pamięci wojny domowej w polskim doświadczeniu. Tej pamięci, którą mają Anglicy, Francuzi, Amerykanie, Rosjanie...

Słowo to można odnaleźć także w słowniku zachowań politycznych. I wówczas, jak sądzę, dostrzecz warto zaskakującą mozaikę posierpniową. Kronikarze okresu opiszają, jak główni bohaterowie - "S" i PZPR - trwają w stale zaostrzającym się zważeniu. Do tego dobrze pasują obrazy strajków, protestów, okupacji budynków, interwencji milicyjnych i podstępnych prowokacji. Można się więc dziwić, że mimo to nie doszło ze strony opozycyjnej do żadnych aktów agresji. Do dziś czeka na opisanie fenomenu solidarnościowego działania *bez przemocy* - nie bardzo zrozumiałe w "rewolucyjnej" perspektywie. Tak patrząc kronikarz czasu zanotuje tylko jedną scenę narodowej jedności. W dziesiątą rocznicę gdańskiego grudnia przed pomnikiem Poległych Stoczniovcw stali obok siebie - Henryk Jablonski, Tadeusz Fiszbach, kardynał Franciszek Macharski i Lech Wałęsa, a dalej prawie 150 tysięcy ludzi, którzy zjechali się z całej Polski. Zdobne *Lacrimosa* specjalnie okomponował Krzysztof Penderecki, całość zrealizował Andrzej Walda, a pl poległych odczytał Daniel Olbrychowski. Wszystko było starannie zorganizowane przez Kościół, "S", partię. Kończąc cacy drugi można by postawić tezę o typowo polskiej skłonności do przemieniania polityki w symbolikę.

Zgoda. Tak też można patrzeć na ten okres. Nie jest to jednak perspektywa wyłączna, ani tym bardziej oryginalna. Nic zapisane stroniec Sierpnia to setki tysięcy spotkań przy różnych stołach dwóch się lokalnych - zakładowych reprezentacji pracowniczych z takimiż reprezentacjami różnych szczebli władzy. Bardzo różne były to spotkania, a nie, mniej lub bardziej szczerze, w lepszym lub gorszym stylu, mniej lub bardziej owocne. Każdorazowo jednak przedmiotem tych obrad była w y w i a n a: informacja, wartości, postaw. Faktem jest, że najczęściej chodziło o przywrócenie tego, co ogólnie nazywamy pracowniczą pod-

miotowości. W tym też odcio wymiana ta była formalnie jednostronna, służyła odbieraniu praw. Faktycznie, owe prawa były nie tyle niegdyś "zabrane", co raczej zneutralizowane, tzn. przestały, jako przynależne osobie i wspólności, po prostu istnieć. Po sierpniu ludzie zaczęli powtórnie uczyć się je praktykować, a władza zgadzała się im w tym nie przeszkadzać. Taki był, z gruboza, sens sierpniowej podmiotowości. Faktycznie jednostronny charakter miały rewindykacje płacowe - za cenę nie dopuszczenia do strajków władza ulegała kolejnym żądaniom finansowym. Ale ten sposób wymiany nie sprzyjał podmiotowości, gdyż zmianie nie ulegała żadna struktura decydująca o relacji dawca - biorca. Zmiana tę wymusić miała dopiero koncepcja samorządowa - do dziś jednak niejasna i uwikłana w różnoladne funkcje.

Tak opisywana historia (a raczej socjologia) Sierpnia okazać się może wielką lekcją demokracji praktykowanej nieledwie na odcznie. Pokazuje również polityczną ograniczoną tych praktyk. Polacy być może popierali to, czy inną koncepcję, oś kiedy wszystkie możliwości praktykowania polityki, rozumianej jako sztuka osiągania celów w wymiarze władzy (decydowania), były przed nimi zamknięte. Porozumienia otwierały totalitarny system tylko na jedną, zakładową przestrzeń życia społecznego. Przestrzenie pozostałe - obywatelska i polityczna - do końca w zasadzie pozostały całkowicie zamknięte. Na ich straży stała nie tylko policja, ale cała systemowość PRL. Oba projekty Ryszarda Reiffa oprowadzały się, z punktu widzenia społecznego działania się, do całkowitego rozhermetyzowania i systemu władzy i... NSZZ "S". Prowadziły bowiem do upodmiotowienia polityki i w tym były sprzeczne z realizowaną po sierpniu koncepcją stopniowego upolitycznienia podmiotowości pracowniczej.

Gdyby Związek przyjął tę perspektywę stałyby się nieobliczalną hybrydą. Stale rozpięty między syndykalizmem a ruchem społecznym zmuszony by został do zachowań politycznych niezgodnych zarówno z pierwszym, jak i drugim swoim charakterem. Oczywiście koncepcje te były nieporównanie groźniejsze dla władzy, gdyż oznaczały - zrealizowane - jej ostateczny koniec. Jedyną drogą z perspektywy Sierpnia było wyłączenie i upodmiotowienie polityki poza "S". A przecież nie było już wówczas miejsca na polskiej scenie dla jakiegoś nowego, trzeciego partnera. Historia jeszcze raz drwiła z polskich rojeń o wolności. Dlatego, pytając o szansę Wielkiej Koalicji, pytać należy nie o politykę, lecz o pewną sferę symboliczną. Sferą, w której gra interesów - jeżeli Koalicja miałaby funkcjonować - musiałaby ulec daleko idącej instrumentalizacji i ufikcyjnieniu. Ten mały parlament narodowej zgody mógłby ratować Polskę tylko za cenę zahanowania społecznej podmiotowości. Podmiotowości rozumianej jako konkretna artykulacja interesów grup społecznych. Być może byłaby to - zakładając wzajemną uczciwość partnerów wobec nie-

bie - krótsza droga do demokracji w Polsce. Ale tylko pod tym warunkiem, że wszystkie strony demokracji właśnie uznałyby za cel i ó r o d e k, nie zaś jedno lub drugie. Nic byłoby do tego przygotowani. Tym bowiem, z czego wydziedziczono nas najbardziej była wszelka polityczność rozumiana jako podmiotowo-wspólnotowa i instytucjonalna sfera realizacji celów ściśle politycznych - tak w wymiarze lokalnym, jak i całonacjonalnym państwa i jego międzynarodowych zobowiązań. W tej sytuacji koncepcje Reiffa z konieczności musiały odwoływać się do atarych PRLowskich elit politycznych i do instytucji, których tożsamość demokratyczna była więcej niż wątpliwa. I w tym upatrywałbym pierwszą, wewnętrzną przyczynę niemożności polityki polskiej anno domini 1981. Dostrzec można i przyczynę drugą, zewnętrzną wobec poskich rojeń o wolności.

Koncepcja Wielkiej Koalicji złożona była społeczeństwu, i PZPR, tak jak koncepcja upodmiotowienia relacji z ZSRR była propozycją dla narodu i dla Moskwy. Obie były teoretycznie słuszne i dawały nadzieje na przyszłość. Obie też musiały w punkcie wyjścia zakładać pewien typ zachowań po obu stronach. Zachowań politycznych, odwołujących się do pewnego demokratycznego modelu osiągania konsensusu wokół wspólnych wartości. Wartości wspólnych nie tylko w wymiarze wewnątrzpaństwowym, ale i międzynarodowym. Niestety, rok 1981 z tego punktu widzenia był okresem załamania detente i kryzysu patrzenia na Europę jako wspólnotę.

Do czego zmierzam? Projekt Wielkiej Koalicji miał uzasadnienie i ideowo, i pragmatycznie zredukowane do wymiaru wewnętrznego, polskiego tylko. Nic wpisywał się w żadne projekty ogólnoeuropejskie lub podobnego charakteru. Myśl polityczna, która stała u progu Wielkiej Koalicji natrafiała nie na granice myśli politycznej w ogóle, ale myśli polskiej po prostu. I działało się tak w czasie, kiedy Polacy stawali nie wobec problemu PZPR, ale wobec problemu Jałty. A wbrew łatwym uogólnieniom działało się tak nie tylko w wymiarach wielkiej polityki, ale w obszarach obywatelskości praktykowanej na co dzień. (Przypominam sobie obrady komisji zakładowej NSZZ "S" Biblioteki Narodowej, podczas których problem druków zastrzeżonych rozpatrywano w kontekście międzynarodowych sojuszy).

Śmiać twierdzić, że społeczeństwo to rozumiało. Było gotowe wiele ryzykować dla sprawy Polski - państwa i demokracji, ale dużo mniej dla kwestii pracowniczej podmiotowości. Było gotowe do gry o całość, co wówczas w 1981 roku oznaczało plan irredonty, nie było zaś przygotowane w najmniejszą nawet stopniu do ewolucji obywatelskiej. Takich działań, które w miejsce jednorazowego zrywu mają wlecznic oddalający się horyzont pracy nad przbudową państwa. W tym też sensie żaden pomysł polityczny nie mógł zastąpić mieszającego w naszych odcach symbolu Polski Wyzwolonej Ostatecznie.

Marcin Rowera

polityka zdominowała także opozycję, które mogłyby zaprezentować ktoś, kto dokładniej przyglądał się społeczeństwu. Wtedy okazałoby się, że te błędy "S", których analizę przeprowadził Micowski i które według niego doprowadziły do jej klęski politycznej, uwikłane były w "obiektywne" błędy władz.

Nic ma w tej książce analizy tego klinca, w jakim znalazło się społeczeństwo ze swoją reprezentacją "S" i władza. Nic ma zatem pełnego i obiektywnego oglądu całego układu ówczesnych sił: władzy, Kościoła, społeczeństwa... Dopiero bowiem spojrzenie z trzech stron na te trzy czynniki, na te trzy elementy pozwoliłoby uzmysłowić sobie, na czym polegała klęska polityczna "S", na czym polegała obiektywna nierozwiązalność konfliktów. Wtedy też książka stałaby się zaczną dykusją, która jest ważna także i dzisiaj, dyskusją, która dotyczy roli Kościoła katolickiego w polityce uprawianej w Polsce. Wtedy bowiem dopiero można by było opisywać nie tylko zakulisowe rozmowy, ale i oczekiwania społeczeństwa, zwykłych ludzi, członków "S" wobec Kościoła jako instytucji i wobec Kościoła jako wspólnoty ludzi wierzących.

Zarówno w roku 1980, jak i po wprowadzeniu stanu wojennego, Kościół stanął przed olbrzymią szansą i to nie tylko szansą polityczną, ale i kulturową, która polegała na odnalezieniu się w nowoczesny sposób w wydził chrześcijańskiej, katolickiej nauce społecznej, w życiu ruchu społecznego, w konkretnym z ojcu Europy - władnie w Europie wschodniej. O tych problemach Micowski w ogóle nie pisze. Nic pisze o trudnościach, które wiązałyby się z jakąś próbą głębszego, sensowniejszego oddziaływania katolickiej nauki społecznej na postępowanie ludzi angażujących się w społeczeństwo obywatelskie. Ponieważ nie pisze o tym, tym samym nie jest w stanie opisać ani prawdziwych nadziei i pragnień ludzi wobec Kościoła, ani różnorodnych rozczarowań, które pojawiły się szczególnie w stanie wojennym.

Nic było to rozczarowania bezpośrednie, w których odczucia społeczne mówiłyby, że hierarchia kościelna postąpiła źle, popełniła błąd, takich, jak sądzę, nie było. Ale było bardzo wiele oczekiwań, które zrealizować w dużej części zostały spełnione, wobec tych drobnych Kościołów lokalnych, regionalnych, wobec parafii, które często jakby odchodząc od wyraźnej linii Episkopatu były bliższe emocjom, konkretnym emocjom ludziom w tamtej chwili.

W tym też sensie, w tej części, w której Micowski mistyfikuje kategorię społeczeństwa, mówiąc o "S" - mówi o politykach "S", mówiąc o Kościele - mówi o politykach Kościoła, nie mówi natomiast o Kościele jako wspólności, o ludziach Kościoła, o ludziach "S" jako ludziach działających w swoich środowiskach. Tym samym nie jest w stanie dostrzec tej dyferencjacji, tego różnicowania społecznego, kwestii istotnej - jak na początku lat 80-tych i dalej patrzeć Kościół na się zachowywać wobec rosnących, rozwijających się aspiracji społeczeństwa

od. na s. 28

obywatelskiego. Bo niewątpliwie musi być to zachowanie inne, niż dokonywane z perspektywy polityki tak uprawianej, jak to opisuje Micewski - polityki kulturalowej, dyplomacji, przekonywania się na wysokim szczeblu o konieczności umiaru. Musi to być inny rodzaj oddziaływania społecznego. Nic mówię, że Kościół tego typu oddziaływania społecznego nie prowadzi, ale tego wątku nie ma w książce Micewskiego.

Autor mógłby się bronić tym, że wybiera sobie pewną, ograniczoną dość mapę, pewien ograniczony układ stosunków, relacji pomiędzy Kościołem, władzą a "S", ale jeśli tak jest, to tym samym jego podsumowanie powinno również mieć nieco zawężony charakter. Tymczasem nie dostrzegłem w książce świadomego ograniczenia ostrości pewnych wniosków, szczególnie jeśli dotyczy ona postępowania "S".

Tomasz Lia - Jak dotąd dwaj politycy dyskutują o książce napinając na użytek chwili przez politykę. Chciałbym to porównanie na moment zmienić. Dla historyka czasów najnowszych jest to wyjątkowo źródło pokazujące mechanizmy działania instytucji, które bardzo niechętnie dopuszczają obserwatorów z zewnątrz i starannie kryją swoją kuchnię. W tym sensie jej wartość jest niepodważalna. Fachowcy mogą się cieszyć, ale pamiętajmy również o tym, że książka ta będzie kształtowała opinie szerokiego rzeszy czytelników i może stać się wyłącznym źródłem wiedzy na ten temat. I w tym właśnie miejscu trzeba zwrócić uwagę na bardzo istotne mankamenty tego dzieła.

Dla Micewskiego tytułowy *Kościół* to Prymas, sekretariat Episkopatu oraz biskupów. Pominęta została gigantyczna praca poszczególnych parafii, środowisk, duszpasterzy i ludzi świeckich. Brak ten jest wynikiem nie tyle kłopotów z zebraniem i opracowaniem ogromnej ilości materiału, ale wynika raczej z tego, o czym mówił Michał - świadomego zawężania pola zainteresowań autora do szczytów władzy czy hierarchii, co ułatwia udowodnić kilku karkołomnych tez.

Alc nie to jest najgorsze. Często narzekamy na tendencjonalność i jednostronność ocen propagandy i publicystyki. Smutne, że podobny zarzut formułować można pod adresem autora wielu świetnych książek i artykułów. Już od pierwszych stron widać, że praca ta ma być bardzo ostra, polemiczną odpowiedzią prawdziwym i wymagowanym wrogom Kościoła, wrogom Prymasa, wrogom tego wszystkiego, co Episkopat Polski robił i robi (ostatnie dyskusje w prasie pokazują, że przy okazji i osobistym wrogiem Micewskiego). Wszystkie swoje informacje, materiały, których inną drogą pewnie byłaby do ręki nigdy nie dostali, podporządkowuje temu założeniu i tej metodzie, pozostawiając na boku wszystkie elementy do tej koncepcji nie pasujące. Po zakończeniu lektury można uznać, że główna linia podziałów społecznych w burzliwych latach 1980-1983 biegnie między Kościołem a "S".

Z pewnością były i tu animozje, wzajemne złej czy bardziej złusz-

cd. na s. 29

Tomasz Żyro

POLITYCZNE NADZIEJE-

Wiele oznak wskazuje na to, że styczeń sprzyja odwilży. Jednakże prognozowanie pogody za pomocą kalendarza okazuje się często równym nieporozumieniem, co tworzenie oszuru w dziejach Polski za sprawą terminarza partyjnego. W próbie narzucania oficjalnego kalendarza "politycznego" (w dalszej części artykułu wyjaśnię dlaczego słowo polityka opatryłom cudzoziemca) uwidacznia się szczerą chęć podporządkowania rytmu życia społecznego w Polsce rytmowi wydarzeń w partii. W bloku komunistycznym wielokrotnie mieliśmy do czynienia z posiadzeniami "historycznymi", po których nie się nic dzieło. Z drugiej zaś strony wszelkie daty progowe, ważne dla przemian społecznych aż do 1980 r., praktycznie miały znikomy wpływ na sposób działania partii komunistycznej w Polsce. Poprzednie bunty społeczne, wtopione w logikę systemu, miały minimalny wpływ na oblicze partii: doprowadziły do zmiany ekipy, nie naruszając podstawowej dla partii zasady ciągłości - tradycji i sukcesji. Na pierwszym planie pojawiały się twarze tworzące dotychczas tło, osoby mało znane publicznie wyłaniały się z cienia. Przegrupowanie pociągało za sobą zmianę akcentów, hasła, nie naruszając partii-monolitu.

Z całą pewnością rok 1980 podważył dogmat władzy partii komunistycznej. Do tej pory jej legitymacja nie była przez wielkie grupy społeczne poddawana w wątpliwość. Wydarzenia roku 80 sprawiły, że elita władzy zaczęła się czujnie interesować drugą stroną. Deklaracje X Plenum wydają się stwarzać pewną szansę przybliżenia terminarza partyjnego do rytmu życia społecznego. Nie należy wszakże zapominać, że deklaracje te mogą być zapowiedzią nowego spektaklu z dobrze zamontowanym scenariuszem, starannie rozpisany rolami, podziałem na głosy przewodnie i pozum chóru. Należy się zatem uważnie przyjrzeć postanowieniom X Plenum. Odpowiedź Krajowej Komisji Wykonawczej "S" protuje kilka znamienych - by tak rzec - niecierności politycznych, określanych jako warunki konieczne dla wprowadzenia pluralizmu związkowego i politycznego. I nie ulega wątpliwości, że Plenum może stać się dopiero wówczas historyczne, gdy w ślad za zgodą "S" na rozmowy, pójdą działania umożliwiające odzyskanie terenu, z którego "S" została bezpardonowo wyrugowana. Myślę zwłaszcza o odbudowaniu struktury podstawowej "S" w zakładach pracy, bowiem rzeczywisty pluralizm związkowy uważam za najistotniejszy warunek powstania

nowej mapy politycznej.

W artykule tym chciałbym się zająć pewnym zjawiskiem, specyficznym dla państw komunistycznych. Myślę o konsekwencjach prawie kompletnego zaniku w życiu społecznym sfery polityki, a przecież jej istnienie ma fundamentalne znaczenie dla społeczeństwa kry nowożytności.

Pojęcie polityka określam warunki niezbędne dla istnienia pewnego systemu komunikacji pomiędzy elitą władzy a społeczeństwem i dla istnienia instytucji wyłaniających elitę władzy w wyniku decyzji społecznych. Polityka zakłada nieustanne konfrontacje posunięć władzy ze społeczeństwem traktowanym podmiotowo.

Jak do tej pory system komunikowania woli grup społecznych objawiał się w Polsce sporadycznie, w momentach wyjątkowych. Praktycznie od roku 1947 polityka (w podanym wyżej, na pewno uproszczonym sensie tego słowa) nie istnieje. Życie polityczne zastąpiono atrapą i wypełniono fantomami: pozornymi instytucjami politycznymi (wybory, parlament, partie) i pozornymi twórcami politycznymi (w rodzaju frontów ludowych, PRON-u, partyjnych związków zawodowych). Jak powszechnie wiadomo ich podtawowym zadaniem jest zapychanie próżni pomiędzy elitą władzy, a bazą. Owa próżnia skazywała quasi-partie komunistyczne na jedynostwo i jedność. Stały się one podstawowym elementem jej imago. W obecnej sytuacji tworzenia się nowego otoczenia politycznego może dojść do ogromnej zmiany stylu działania komunistów. Może wystąpić ciekawe zjawisko - obserwowane w krajach o wykształconym systemie politycznym - zlewania się stanowisk ekstremalnych (i tak np. dzisiaj neo-związki zdają się zachowywać jak niektóre ugrupowania opozycyjne).

Warto przedrzeć konsekwencje braku w polskiej sytuacji polityki na co dzień. Pierwsza odnosi się do niewielkiej użyteczności do władzech zachodniocuropejskich (terminologii politycznej, podziałów oraz orientacji politycznych) dla wy tłumaczenia kontekstu polskiego - błąd często popełniany przez obserwatorów z zewnątrz. Druga - to niemal kompletny brak kultury politycznej. Zauważmy, że jak trudnością pojęcia dialog, kompromis - esencjonalne dla sfery polityki - przebijają się do świadomości elity władzy. Jedno z głównych osiągnięć opozycji dotyczy utrzymania i stopniowego rozszerzenia kultury politycznej. Do końca lat 70 było to zjawisko dość elitarne. Dopiero pod wpływem "S" sfera życia publicznego - naturalne środowisko dla człowieka poli-

NADZIEJE NA POLITYKĘ

tycznego - zaczęła się gwałtownie odradzać. Sądząc, że jej codzienne trwanie (z konieczności w kalkucji, embrionalnej formie) stanowiło większe zagrożenie dla władzy niż okrzyki propagandy komunistycznej strajki. Jakże jednak może przebiegać proces kształtowania się świadomości politycznej, jeśli możliwości autentycznego uczestnictwa w życiu publicznym osób nie związanych z oficjalną władzą i propagandą są - jak dotychczas - incydentalne?

Brak kultury politycznej przejawia się również w braku jawności życia politycznego. Na taką jawność nie może sobie pozwolić żadna elita władzy, wyłaniana za sprawą rozgrywek kulturalno-gabinetowych, gdy praktyki konspiracyjne są doskonałym sposobem dla zrobienia kariery "politycznej". Te sekretne procedury nie sprzyjają krążeniu elit. "Politycy" komunistyczni są w rzeczywistości anonimowymi do pewnego momentu członkami biurokracji partyjnej. Wymiana twarzy nie oznacza wcale zmiany elity. Samoregulująca się maszyna partyjna wyrzuca na powierzchnię coraz to innych biurokratów. Tzw. "historyczne posiedzenia", to takie, na których jakiś sukces w rozgrywkach personalnych został mianowany ogólnospołeczny dobrem i opisany w terminach nowego etapu rozwoju, nowej Polski, reformy itd. (każdy może sobie podłożyć pod niego najbardziej poręczną hańkę). Ta zamiana warty nie naruszała fundamentalnych zasad działania organizacji.

Trudno zakładać możliwość profocjonalizacji zawodu polityka w otoczeniu apolitycznym. Biurokratów uznaje się za polityków, a i biurokraci podają się za nich. Masz-media z upodobaniem prezentują nam ich sylwetki, trooki i działania. I oto najniższy w hierarchii biurokrata partyjny zabawia się naszym kosztem w "polityka": cędzi słowa, waży sformułowania. Każda decyzja administracyjna jest dla niego decyzją polityczną. O sprzątaniu miasta mówi jak o karkołomnym przedsięwzięciu, mogącym naruszyć spokój społeczny. A my na co dzień ponosimy koszty takich praktyk, nie są to bowiem ani dobrzy administratorzy, ani tym bardziej politycy. Aparatczycy partyjni tyłczą mają pojęcia o funkcjonowaniu nowoczesnego aparatu państwowego i systemu partyjnego, co planista o funkcjonowaniu rynku. Niezliczone zebrań, konferencje, naciągawki zastępują rzeczywistość życia politycznego.

Patologicznie życie publiczne chciałbym pokazać na przykładzie niezwykle groźnego dla biegu spraw społecznych zjawiska narcyzmu wła-

dy. *Sygnali rzeczywistości*, przebijające skorupę samozwańczego polityka, - odbierane są zazwyczaj w kategoriach osobistego zagrożenia, a nie jako symptom kryzysu czy utraty zaufania społecznego. Zauważmy, że "politycy" komunistyczni panicznie obawiają się bezpośredniego spotkania z masami. Takie spotkania odzierają ich z działalności z pozorów uprawiania polityki. Ci "politycy" zwycięsko wychodzą jedynie z zaaranżowanych spotkań. Obecnie mamy do czynienia z typem paternalistycznego Narcyza, który w swoich wystąpieniach telewizyjnych (ewidentnie wzorowanych na rooseveltońskich pogadankach przy kominku) poucza *ciężką masę*, okropnie się przy tym wdzięcząc. Nie trzeba dodawać, że decyzje Rakowskiego niczłuchanie trudno poddają się racjonalnej analizie. Tam, gdzie kultura polityczna jest tak wątką, ogromne pole do popisu mają emocje, impulsy, słowem działania irracjonalne. Wyraźnie widać, że społeczeństwo polskie coraz częściej daje się ponieść emocjom, zbiorowym historiom, reakcjom przypominającym bardzo rozregulowany organizm. Za zmniejszeniem się sfery zachowań racjonalnych postępuje dezorientacja. Argumentacja ustępuje zwróceniu na emocjach. Nie zdziwić się wcale, jeśli demagogia partyjnej w stylu Młodowicza znajdują ogromny poklask.

Do dezorientacji w sprawach publicznych dołącza się degradacja środowiska społecznego. W najskrajniejszej formie środowisko to może przybrać kształt hobbesowskiego stanu naturalnego - widać przecież postępującą barbaryzację obyczajów. Zabrakło bowiem siły sprawczej, zdolnej utrzymać w jednostkach instynkt społeczny. Nie zdoła tego uczynić nawet najbardziej rozbudowany aparat bezpieczeństwa. To autentyczne zachowania polityczne a nie działania manipulowane ułatwiają nieustanną regenerację więzi społecznej. Manipulacja bowiem pociąga za sobą zanik odpowiedzialności za sprawy publiczne. Nie też dziwnego, iż racjonalna argumentacja opozycji długo nie natrafiała na masowy odzew. Odwołując się do zasady kompromisu, ta argumentacja narzucona była na zarzut skądosi, wysuwany również ze strony władzy, wychowanej przecież w tradycji faktów dokonanych, a nie dialogu.

Dramatyczny spadek poziomu życia wymusza na społeczeństwie refleksję nad stanem rzeczy. Nastaje moment, kiedy dotkliwie odczuwa się brak sfery publicznej, instytucji zdolnych ją kształtować. Sformułowanie programu pięcioletniego

ed. na s. 30

ne pretencje, ale chwilami Mieczkowski przez swoje uproszczenie oddaje wręcz niedźwiedzią przylugę Kościołowi.

A. Urbanicki - Rozmawiamy o książce A. Mieczkowskiego w ramiennej chwili. Oto Kościół głoszącej Ojca Świętego i słowem pasterskim Episkopatu zdecydowanie poparł i rządania ponownej legalizacji "S", i strajki jako formę wymuszenia tej decyzji. To jest jednoznaczne i stanowi jakąś pianą przez Historię punkt tej książki. Nie chciałbym jednak w tym miejscu kończyć naszej rozmowy.

Oto w tym samym czasie ukazało się w "Przeglądzie Katolickim" oświadczenie Mieczkowskiego, bardzo gorzkie, że jego książka została źle przyjęta, że nie została zrozumiana, że on ma rację bo kampania przeciwko hierarchii kościelnej była szersza i doprowadziła części inteligencji do powojnej "mody" lekceważenia największego autorytetu w Polsce, jakim jest Episkopat. Ma prawo Mieczkowski pozostać przy swoim zdaniu, nawet jeżeli jest ono w niezgodzie z dziejącym się w Polsce procesom społecznymi. Ale jest w tej niezgodzie jedna groźba, o której chciałbym wstępnie powiedzieć, zagrożenie dla tego władniczego.

Wedle Mieczkowskiego (a nie jest w tym osamotniony) w Polsce poza Kościołem i obozem rządowym skrytykował się trzeci liberalny ośrodek i orientacja ideowa. To liberalizm jest tym ukrytym złym bohaterem książki. Ale jest i ukryty bohater pozytywny czyli taka orientacja polityczna i ideowa, która podporządkowana byłaby Kościołowi. Z wielu stron padają propozycje, by w Polsce powstała legalna, trzecia siła polityczna - partia chrześcijańsko-demokratyczna. Jej zwolennikami jest środowisko OP'SS-u i "Ładu", grupy działaczy opozycyjnych, związków, akademickich. Mówi się o nawiązaniu do tradycji Stronnictwa Pracy. Wskazuje się na złożoność stosunku Episkopatu do tej idei - nie negatywny, ale uwikłany w sytuacyjność PRL i nie najlepszą doświadczenia z dotychczas istniejącymi środowiskami. Formułuje się nawet prawa do udziału w ewentualnym tworzeniu takiego stronnictwa. Miałoby to być: przyjęcie Katolickiej Nauki Społecznej jako podstawy ideowej; podporządkowanie wyborów politycznych stanowisku Episkopatu; wykazanie się autentycznością i wiarygodnością w wieloletniej działalności.

W ówczesnym numerze "Pracy" z 1988 r. pisaliśmy o wizycie delegacji Frakcji Chrześcijańsko-demokratycznej Parlamentu Europejskiego. Zastanawiając, że politycy ci stycząc o planach utworzenia polskiej chadecji, wskazywali na niebezpieczeństwo wiążące się z tym faktem, przede wszystkim na uwikłanie hierarchii kościelnej w doraźne wybory natury politycznej, nieuniknione podziały w środowiskach chrześcijańsko-społecznych i w konie katolickiego z natury rzeczy w Polsce elektoratu wyborczego.

Dodałbym jeszcze jedno. W konfrontacji z obecnym obozem władzy, konfrontacji, która ma służyć re-

ed. na s. 30

zakładach pracy jest początkiem wykluwania się zachowań politycznych. (Znamienne jest, że komuniści usiłują jak najszybciej wszelkie strajkowe żądania polityczne sprowadzić do postulatów płacowych.) Dlatego najważniejszą dziś sprawą jest tworzenie kontaktu dla zachowań politycznych: odtwarzanie struktur związkowych, zakładanie organizacji politycznych (klubów, stowarzyszeń, partii). Słowem - stopniowa odbudowa sfery publicznej.

"S" jest siłą społeczną, zdolną odtworzyć sferę racjonalnych zachowań politycznych, ale na ustanowienie reguł porządkujących to pole, zasady odpowiedzialności, metody doboru elity władzy potrzebny jest czas. "S" musi też udowodnić, że potrafi wyłonić drogą demokratycznej kwalifikacji alternatywną elitę władzy. Zauważmy, jak pod wpływem "S" zmieniła się funkcja opozycji: od pracy pozytywistycznie ukierunkowanej na utrzymanie obyczajów politycznych do stopniowego rozbudowania sfery publicznej. Potrzebne jest wyraźne tło instytucjonalne, aby powstała możliwość życiowego kroczenia liderów. Dopiero z czasem przemieniają się oni w profesjonalnych polityków. Komitet Obywatelski ma jeszcze szansę stworzenia takiego tła, wyłonienia reprezentacji grup społecznych i środowisk zawodowych. Musi się to jednak dokonać na drodze demokratycznej, inaczej bowiem proces profesjonalizacji środowisk niezależnych zostanie powstrzymany. Opozycja nie może być wyselkcejonowaną odgórnie grupą *besus esprit*, dla których polityka stanowi raczej hobby, niż zajęcie na co dzień. Czas najwyższy na profesjonalizm w tej dziedzinie.

Powstają sprzyjające warunki po temu, by skończyć ze stylem reaktywnym w działaniach opozycyjnych. Wiadomo, że władza ma naturalną przewagę, wyprzedza opozycję co najmniej o pół kroku w każdym ważkim posunięciu ogólnospołecznym. Jednak koncentrowanie się na działaniu, będącym wyłącznie bezpośrednią odpowiedzialnością poczynania władzy, wskazuje na bezwład ośrodków decyzyjnych opozycji i na brak jasno określonych celów poli-

tycznych. Tymczasem siła opozycji zapadła się na stałym wyprzedzaniu ruchu drugiej strony. Nic na czekaniu i reakcji, a na wyprzedzaniu i akcji. Komitet Obywatelski ma taką szansę pod warunkiem, że uzna za konieczne, by przyszłą kadrę polityczną wykształcał demokratycznie. Trzeba odtworzyć mozaikę polityczną, którą odsunęły w nicie rządzący komunistów. Odtworzyć należy także *odmrozić, poddać ją wentylacji*, aby *skamieliny polityczne* pod hasłami nębobicia Żydów nie znalazły posłuchu. Ten proces odrażania musi być kontrolowany przez elitę środowisk niezależnych, ale nie może być narzucany arbitralnie.

Przed "S" otwiera się możliwość aktywnej kształtowania sfery politycznej. Im późniejszy jednak będzie moment startu, tym trudniej będzie ustalić granicę pomiędzy pluralizmem związkowym a politycznym. Powstanie sfery publicznej byłoby korzystne także dla drugiej strony. Partia komunistyczna mogłaby określić swoją platformę polityczną, nade wszystko zaś wyznaczone zostałyby pole jej politycznych działań i kompetencji. Prawie zupełnie bezwład ideologiczny tej partii wynikał do tej pory m.in. z nadmiernego obzaru kompetencji oraz dziedzina, nad którymi chciała panować. Atrapa ze zwietrzałych haseł marksizmu-leninizmu (i to zacierpniętych z brzyków naukowego komunizmu) przysłała zupełnie zanik orientacji politycznej. Błędem jest dzielenie członków elity władzy na liberałów i *wardogłowych* (przenosi się w ten sposób terminologię z zupełnie innego obszaru). Tymczasem partia komunistyczna to partia czynu w najczystszej postaci. Głos mają tu nie opinie polityczne, a wewnętrzne układy sił. Ważna jest jedynie metoda realizacji celu podstawowego - utrzymania władzy za każdą cenę. Nazywanie gry wewnątrz biurokracji partyjnej polityką jest zupełnie nieporozumieniem. Oczywiście trudno biurokratom przekonać, że polityki nie uprawia się w sposób mafijny, ale na drodze artykulacji i reprezentacji interesów elektoratu. Magmowata platforma *quasi-polityczna* partii nie jest przypadkowa. Od programu politycznego ważniejszy jest układ sił wewnątrz organizacji, co doskonale widać było na przykładzie "historycznego" X Plenum. Czym innym były głosy atakujące pluralizm polityczny, czym innym prawie jednowyślnie głosowanie propozycji Biura Politycznego. Procedura taka zwana jest *centralizmem demokratycznym*. I oto paradoks: na siły postępcowe w partii składa się blok wojskowo-ubecki oraz grupa "liberala-paternalisty" Rakowskiego. Nasuwa się tu skojarzenie z *socializmem policyjnym* S. Zubatowa, w Rosji z początków wieku XX.

Jak do tej pory poczynania PZPR określa nie program, ale istniejąca sytuacja społeczna. Wznowienie gry pociągnęłoby za sobą przekształcenie organizacji biurokratycznej w partię rzeczywiście polityczną. I - o ironio! - zależy to w dużej mierze od "liberałów", którzy są najbliższymi zachowań stricte politycznych, aniżeli sami są skłonni przypuszczać.

styczeń 1989

Tomasz Syro

O. ST. CZARNIK

o państwach bałtyckich

cd. ze s. 2

i Estończyków pozostał w społeczeństwie polskim XIX i początków XX wieku prawie nieznanymi. Okres zaborów nie sprzyjał wymianie kulturalnej między ludami żyjącymi w tym samym imperium. Natomiast po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku podjęto w Polsce pewne wysiłki, by nadrobić dotychczasowe załogłości.

Niewielką książką Marii Dąbrowskiej *U późniejszych sąsiadów* (1929) powstała jako reportaż literacki z wycieczki zorganizowanej przez popieczowskie Towarzystwo Uniwersytetu Robotniczego. Celem tej imprezy było zapoznanie jej uczestników z działalnością wybranych instytucji oświatowych i społecznych na Łotwie, w Estonii i w Finlandii. Udział piarki w wycieczce wiązał się z jej wieloletnim zainteresowaniem spółdzielczością i propagowaniem jej zasad, co znalazło wyraz w takich publikacjach, jak *Finlandia - wzorowy kraj kooperacji* (1918) i *Życie i działalność Edwarda Abramowskiego* (1925).

Część swego sprawozdania poświęciła autorka ówczesnej Łotwie, uwydatniając jej imponujący dorobek w dziedzinie upowszechniania oświaty, konsekwentne przeprowadzenie reformy rolnej, demokratyzm stosunków wewnętrznych. [...]

W Estonii znalazła się Dąbrowska pod urokiem piękna jej stolicy, Tallinna. Jego pamiątki historyczne skłaniały do kontemplacji, natomiast obrazy trzeźniejszości świadczyły o niezwykłej energii społecznej poczyną gospodarzy i kulturalnych Republiki Estońskiej. Podobnie jak na Łotwie imponował polskim przybyłym zasięgi upowszechniania oświaty (wg autorki Estonia miała w ówczesnej Europie najwyższy procent ludzi z wykształceniem uniwersyteckim). Wyróżniał się ten kraj demokratycznością konstytucji, prostotą obyczajów, konsekwentnie przeprowadzaną reformą rolną, dzięki której na tak małym obszarze oddano drobny rolnikom ponad 2 miliony hektarów. Tak jak na Łotwie, rządzonej przez socjaldemokratyczną większość, podział wielkich majątków położył kres dominacji społecznej obcych, najczęściej niemieckich właścicieli, wzmacniając człopsko-nieczyżańskie podstawy narodu. Jednakże ta parcelacja bez odzyskania wywoływała pewne zastrzeżenia natury etnicznej i społecznej, co sygnalizowała rzeczta Dąbrowska w swym reportażu.

Obraz żeglugi z Tallina do Helsinek otwiera część trzecią sprawozdania, poświęconą Finlandii. Autorka ukazuje jej przyrodę, a także architekturę miast i osiedli. Również i w tym kraju przedmiotem refleksji piarki stały się charakterystyczne cechy tutejszej kultury, rozległość jej upowszechnienia. [...]

Na wysokić uznanie zasługuje

Kościół - "S" ... cd. ze s. 29
 towanu państwa, a nie jego ostatecznemu demontażowi, wybory czyżto idące są według mnie drugoplanowo. Przyjmując ewolucjonizm w polityce, kierując się wyśleniem o państwie jako pożądanym dobrem wszystkich i stosując reguły politycznego pragmatyzmu można, jak sądzę, zbudować niepomierne silniejszą platformę polityczną niż taka, która przede wszystkim odwoływać się będzie do zasad wczesniej przytoczonych. Znaczy to, że w moim przekonaniu Polsce naszych marzeń niekoniecznie niezbędne są podziały fundowane na starzej politycznej zasadzie tylko idących identyfikacji np. PPS, SP i ND, podczas gdy rzeczywistość końca wieku wskazuje na odmienne skomplikowania. I w tym, cywilizacyjnym pominięciu dominant upatrywałbym głównych niedostatków pracy Mieczwieskiego.
 Październik 1988. Oprac. A. U.

zdanie Dąbrowskiej tutejsza konsekwencja przedsięwzięć społecznych. Dzięki niej opóźnieństwo fińska zajął wówczas drugie miejsce w Świecie, tuż po Anglii. [...]

W raportach państw bałtyckich (W stolicach państw bałtyckich, 1939) rzuca się obraz Rygi końca lat trzydziestych: pamiątki historyczne miasta, ślady dwustuletniego panowania rosyjskiego w architekturze stolicy, jej rozbudowa po odzyskaniu niepodległości, monumentalizm współczesnych pomników. Wiele zmieniło się na Łotwie od czasu, gdy zwiedzała ją Dąbrowska. Jest to państwo bardziej rozwinięte gospodarczo, jednakże o ustroju skrajnie pravicowym, korporacyjnym, wprowadzonym w 1934 roku. Autor nie zajmuje się oszczędnie tymi sprawami. Utrwała przede wszystkim to, co 10 lat wcześniej fascynowało Dąbrowską: rozmach cywilizacyjnych przedsięwzięć, szybka modernizacja kraju, która zaznaczyła się już wyraźnie w wyglądzie Rygi.

Znacznie skromniej przedstawiało się ówczesne Kowno, wciąż jeszcze trochę prowincjonalne mimo kilkunastoletniej stołeczności. [...]

W trzeciej części swej książki Kolbuszewski dzieli się wrażeniami z Tallina. Podkreśla liczne dowody sympatii dla Polski wśród ówczesnej estońskiej elity politycznej i kulturalnej. Pisze następnie o narodowej epopei estońskiej *Kalewi Pogę*, powstałej w połowie XIX wieku pod wpływem dawnych pieśni ludowych. Wspomina też o nowszej twórczości literackiej z początków naszego stulecia.

Zamykają raportaż refleksje o arcydziełach architektonicznych Tallina, ich dominacji w jego pejzażu. W przeciwieństwie do wielu innych starych miast historia nie podporządkowała się tu wymogom teraźniejszości, budownictwo XIX i XX wieku nie naruszyło średniowiecznej substancji nadmorskiego grodu, należącego kiedyś do Hanzy. [...]

Romantyczna Północ... Dla wielu ludzi na Zachodzie kojarzyła się przede wszystkim z egzotyką Szkocji, Islandii, krajów Półwypu - Skandynawskiego czy też Finlandii. Prace Kolbuszewskiego ukazują Północ znacznie nam bliższą, zarazem o równie oryginalnym dorobku cywilizacyjnym. Autor zajmuje się nim w dwóch interesujących szkicach, opublikowanych pod koniec lat trzydziestych i stanowiących jakby dopełnienie omówionej tu książki. Pierwszy z nich to informator *Literatura i pisarze łotewscy*, zamieszczony w cennej, a dziś już zapomnianej antologii. Druga praca jest zwięzła, a zarazem wnikliwą charakterystyką kultury łotewskiej, opublikowana na łamach "Przeglądu Współczesnego".

W obu publikacjach badacz wyjaśnia zjawiska istotne dla dziejów Łotwy, a częściowo również Estończyków, którzy należą, jak wiadomo, do ugrofińskiej grupy językowej. Zwraca więc uwagę na długotrwałość wierzeń pogańskich, utrzymujących się wśród tamtojezycznych plemion. [...]

Chrześcijaństwo było przecież religią zdobywców, którzy stworzyli tu w XIII wieku Zakon Kawalerów Mieczowych i oprzymierzili się z

Krzyżakami. Pozostawało też wyznaniem feudałów świeckich o niemieckim zarzeczaj pochodzeniu, obcych mową i obyczajem. Lud, który znosił różne okrucieństwa, przyjmował nową religię powoli, opornie, a przede wszystkim starał się przetłumaczyć jej prawdy na język własnych, pogańskich jeszcze wyobrażeń. Znalazło to swoisty wyraz w baśniach łotewskich (niektóre z nich istnieją według Kolbuszewskiego około 3000 lat). Wyobrażenia stworzyła pełną czaru poetyckiego legendę o Bogu, którego dyfencją stanowi Piorun, *Słońce, Miesiąc, Świt* itd. *Staruszek z długą siwą brodą, w białym ubraniu samodzielnym, w sandałach z łyka schodzi na ziemię i wespół z chłopcem orze i sieje; znużenie też daje się mu we znaki, jak zwykłemu człowiekowi. Jest to chłopaki, dobry Bóg maluczki i pokrzyżowanych, miłośnicie chylący się nad aicrotą i biednym, odwiedzający chaty wicdniańcze i błogosławieństwo przynoszący micozkańcom. W niektórych baśniach jest On gospodarzem posiadającym własną zagrodę, bydło, a nawet żonę i dzieci.*

Proces ten przebiegał niekiedy w przeciwnym kierunku. Różne bóstwa pogańskie przybierały coraz bardziej chrześcijańskie ryty, jak bogini Mara, schodząca na ziemię, błogosławiąca łąki i pola. Również niektóre formuły czarnoksiężskie (jeden z badaczy, prof. Stranberg, zebrał ich około 9000) wyrażano w formie modlitwowej.

Pełna chrystianizacja tamtejszego ludu nastąpiła dopiero w XVII wieku. Część dzisiejszej Łotwy należała już wówczas do Szwecji, pozostałe jej ziemie wchodziły w skład Rzeczypospolitej (tzw. Polskie Inflanty i autonomiczne lenno - Kurlandia). Pomie obyczaj o pogańskim rodowodem zachowały się nadal w folklorze, podobnie jak na sąsiedniej Żmudzi i Białorusi. Swoistą cechą wielu wiczników tych ziem pozostała silna skłonność do antropomorfizacji przyrody, a także obrzędy i zwyczaje służące utrzymywaniu łączności ze zmarłymi. Mówił o tych sprawach wnikliwie Adam Mickiewicz w toku swych prelekcji w Collège de France. Nie trzeba wyjaśniać, jak bliskie były to tradycje twórcy wielkiego misterium, jakim są *Dziady*.

Szczególnie oryginalnym zjawiskiem stał się tutaj śpiew. Stanisław Kolbuszewski przypomina dorobek Kriazjana Baroneca, który wydał w latach 1894-1918 osmiotomowe dzieło, zawierające 217 996 pieśni łotewskich w różnych wariantach (obecnie, według informacji przekazanej mi przez prof. Jacka Kolbuszewskiego, utrwalono już ponad milion tych utworów). Wystąpił wielotygodniowy chórów, masowe koncerty i konkursy śpiewacze zadziwiały obcych przybywców, m.in. Marię Dąbrowską. Były zarazem wymownym świadectwem żywotności kultury, potrzeby powszechnego w niej uczestnictwa, prężnej samoorganizacji społecznej. Podobne dążności zbiorowe są zresztą znamienne dla sąsiednich narodów, jak Litwini i Estończycy.

W tych okolicznościach bardziej zrozumiała staje się łotewska rustykalizacja obcych wpływów, przejawiająca się w adaptacji pra-

dów artystycznych, które docierały tu z Flandrii czy nawet z odległej Italii. Zapożyczono wzory łączono z tradycjami sztuki ludowej. Zdaniem znawców liczne przykłady tych powiślań wytopowały w ornamentalne budowlane, rzeźbic i malarstwo. Właśnie tu, nad Dźwiną, uźwężniona się trwałość miejscowego, wicjskiego podłoża i umiejscowienie przetwarzania obcych pierwiastków.

Świadectwem wspomnianych procesów jest też nowożytna literatura z II połowy XIX i początków XX wieku. W przekonananiu autora dominowała w niej inspiracja romantyczna, inne kierunki odgrywały mniejszą rolę. Łotewski romantyzm, neoromantyzm i ekaprocjonizm łączył się z wciąż żywymi tradycjami ludowymi, z utrwaloną już chrześcijańskością, wprowadzanym niegdyś w tak nie sprzyjających okolicznościach. Wzbożona dzięki temu kultura ukształtowała świadomość narodu, powołała go do zbiorowego działania po wickach politycznego niebytu. Traktowanie łotów Łotwy na równi z sąsiednimi Litwinami nie wydaje się przy tym w pełni zasadne mimo ich językowej bliskości. Wielkie Księstwo Litewskie było niegdyś rozległym, samodzielnym państwem, a później, złączone z Polską, zachowywało częściowo swą podmiotowość, wewnętrzną autonomię, niekiedy samostatne dążenia. Przewaga żywiołu polskiego i białoruskiego nad rdzeniem litewskim nie była przejawem narzuconej przez władzę centralną lub terytorialne konsekwentnej dyskryminacji, a raczej skutkiem wielu naturalnych, powolnych procesów społecznych i etnicznych. Tymczasem Łotwa i Estonia, podbite jeszcze w średniowieczu, pozostały państwami sąsiednimi, dzielącymi się kilkakrotnie nadbałtyckimi prowincjami. *Skradzione dziecko* - tak określiła losy obu krajów Dąbrowska. Romantyczny historyzm wraz z *pieśnią gminną* pozwalał te dzieje odzykać wbrew wszelkim niekorzystnym układom politycznym.

Jakże znamienity jest fakt, że z dążeniami wolnościowymi wiązała się wielki wyitek inteligencji, podjęty w celu oczyszczenia własnego języka z obcych, zwłaszcza germańskich wpływów. Tworzono więc w XIX wieku rodzime słownictwo w wielu dziedzinach. Ważną rolę odegrał tu poeta Juris Alunans (1832-1864), któremu rodacy zawdzięczałi w znacznej mierze ukształtowanie się nowoczesnego łotewskiego języka literackiego. Stosunkowo też niedawno, bo dopiero w II połowie ubiegłego stulecia uzyskała powolne poparcie wśród niektórych pisarzy i działaczy, by odradzając się ojczyznę, określaną różnorożnie w przeszłości, nazwać Łotwa - Latwija. Są to przykłady bezpośredniego oddziaływania kultury na dążenia zbiorowe - polityczne, często również i gospodarcze. Wbrew różnym prześladom i nieporozumieniom inspiracja romantyczna sprzyjała żmudnej, codziennej pracy, a także szybkiej i powolnej emancypacji społecznej. Dlatego dwugłos sprzed półwiecza o życiu krajów bałtyckich stanowi nadal krzepiące świadectwo niezłomności kultury.

kilka słów o JANIE STRZELECKIM

cd. ze s.2

rymską konferencję w 1981 r., zorganizowaną przez Katolicki Uniwersytet Lubelski i Uniwersytet Laterański. Pisce tam m.in. o doświadczeniu okupacji hitlerowskiej: *Zjawiało się władztwo oparte na okrajnych postaciach urzeczowienia stosunków między ludźmi należało więc do czolowych fenomenów oddziaływającego się przed nami świata... Chęć uzasadnienia uprawnień do traktowania ludzi jako rzeczy i to w dodatku rzeczy gotowych do odmówienia posłuszeństwa - prowadzić musiała bądź do ubóstwienia tych, co władzę sprawują, bądź do poniżenia tych, co władzę są podlegli. Urzeczowienie człowieka napotkać może sprzeciwić. Walka z tym sprzeciwem prowadzi do prób urzeczowienia społeczeństwa. W kręgu idei zwalczanych znalazły się więc wszelkie idee głoszące, że godność człowieka nie da się prowadzić do obowiązku posłuszeństwa władzy, że ostatecznie by stanowić fundament, nie może się rozwijać tam, gdzie zagrożenie budzi wolność i swobodny sąd ludzkiej osoby. W tym kręgu znalazło się więc dziedzictwo chrześcijańskiej koncepcji człowieka i europejskiego humanizmu.*

Z jakim багаżem świadomości - wielce upraszczając - wszedł Janek na scenę życia publicznego w powojennej Polsce Ludowej. Zapewne nie oczekiwał, iż nader dosadny żart historii sprawi, że cytowany wyżej opis sytuacji w latach 1939-45 dotyczył będzie z powodzeniem tego, co działo się w polskim życiu 5, 10 czy 20 lat później.

Alc łączyć się z tym musi godna chyba podkreślenia konstatacja. Janek nigdy nie należał do umysłowo zniewolonych. Podjmując bardzo trudną decyzję dotyczącą, uczestnictwa w życiu społecznym i publicznym PRL, czynił to, jak można sądzić, nie w celu afirmacji i warażania aplauzu, lecz z gorzkim przekonaniem, że trzeba w tym być, aby to zmienić. I że inna droga, a więc zaniechanie, obojętność, byłaby jakąś formą dozercji, może również wobec niektórych przyjaciół. Mam wrażenie, że to poczucie dystansu nie opuszczало go właściwie nigdy. Już w latach 80-ych, na jakimś przypadkowym spacerze (nasze spacerki były na ogół przypadkowe), Janek, jak to on, przystanął, zapatrzył się w niebo i dość nieoczekiwanie powiedział: *Zastanawiam się dlaczego tak się stało, że dwaj moi przyjaciele - Leszek Kołakowski i Krzysztof Pomian w końcu wyjechali z Polski, a ja nie wyjechałem. I myślę, że dlatego, ponieważ oni w gruncie rzeczy traktowali to wszystko, co się w Polsce dzieje, znacznie poważniej niż ja, oni to traktowali śmiertelnie poważnie.*

Tym niemniej, decydując się na próbę oddziaływania na system od wewnątrz, nie czynił tego dla zabawy. Wręcz przeciwnie. Jako człowiek identyfikujący się z wartościami demokratycznymi i humanistycznymi, nie widział innych szans na wzięcie jakiegokolwiek odpowiedzialności za kraj, do której również jako Polak się

poczował. Wiedział też, że totalitaryzm to poważna, niebezpieczna sprawa, a podjęcie z nim gry, nawet jeźliby jej cel miał polegać, póki co, tylko na rozmiękczeniu, jest trudne i nie gwarantuje sukcesu. Grę tę jednak podjął i zapłacił wysoką cenę, a były nią bardzo głębokie rozdarcia wewnętrzne. Tym bardziej, iż towarzyszyła mu, jak bym to określił, nadświadomość dotycząca wszystkich uwikłań polskiej sytuacji. Jeźli nawet zgodzić się, że w swej postawie był, jak czasami sam o sobie mawiał, Don Kichotem, to był to Don Kichot animowany kryształicznie czystym intelektem. Patrzył na ludzi, problemy głęboko i nie ulegał pokusie łatwych uproszczeń. Być może dlatego nosił się, w każdym razie przez jakiś czas, z myślą o napisaniu repliki na *Zniewolony umysł* Miłosza, a jeźli nie repliki, to czegoś w rodzaju aneksu intelektualnego, który, tak rozumiałem jego uwagi na ten temat, zawierałby analizę własnych doświadczeń człowieka uwikłanego w ten system. Jak z tego wynika uznawał analizę Miłosza za niewystarczającą.

Podjął więc grę z systemem, będąc - jako człowiek - do żadnej gry, w potoczny rozumieniu tego słowa, niezdolny. Po prostu nie umiał niczego uważać, a jeźli czegoś w ludziach szukał, to przede wszystkim autentyczności i szczerości w zachowaniach.

Na płaszczyźnie politycznej liczył, iż zdoła jakoś oddziaływać na tzw. liberalno-tendencje i ludzi je reprezentujących w partyjnym kierownictwie. Ludzie ci przegrywali jeden po drugim. Miał nadzieję, że zdoła przyczynić się do zaistnienia i utrwalenia się środowisk i grup w życiu intelektualnym i kulturalnym - w jakiejś przynajmniej mierze - samodzielnym i opiniotwórczym. W latach 1956-80 rozbijano je jedna po drugiej. Bardzo mu zależało na kontaktach z młodzieżą. Po kolejnym wykładzie czy podpisany liście (a pisywał listy otwarte lub z postulatami raczej niechętnie, bez entuzjazmu odnosząc się do takich spektakularnych form protestu) - usunięto go z uniwersytetu, oferując azyl w pracowni Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk.

Kompensował to sobie kontaktami i przyjaźniami na gruncie prywatnym. Spotykał się i rozmawiał ze wszystkimi: od ludzi z gremiów partyjnych do działaczy Komitetu Obrony Robotników, ze wskazaniem - mówiąc żargonowo - na tych ostatnich. Wzrostnie był sobą i właściwie wszędzie był akceptowany. Przyjmował to jako coś naturalnego, chociaż może nie każdy by się cieszył z aż tak szerokiej akceptacji. Cóż, może akceptacja ta brała się stąd, iż wielu rozmówców Janka przez sam fakt kontaktu z nim miało nadzieję wydać się samymi sobie nieco lepszymi, niż byli w rzeczywistości.

W postawie, taktyce (jeźli w ogóle można mówić o niej w przypadku Janka), w sposobie zachowania się na scenie publicznej,

Janek był człowiekiem pogranicza, śródka. Nigdy też władza go nie głaskała. Co najwyżej tolerowała. Można by nawet powiedzieć, iż był władzy w jakimś opośledzeniu. Niewykluczone, że Janek zdawał sobie z tego sprawę, co nie zmniejszało jego rozdarć wewnętrznych.

Akceptowałem go i nie ukrywałem, iż traktowałem jako jeden z punktów orientacyjnych, jakkolwiek uważałem, że postawę *oddziaływania od środka* zachował nieco za długo. Rozmawialiśmy o tym. Może dlatego co najmniej dwukrotnie - w okresie "S" i po 13 grudnia - Janek w krótkich rozmowach, tak niby przypadkiem, powiedział bardzo dobitnie: - Tam, w partii, nie się już nie da zrobić, oni wcale tego nie chcą (Janka usunięto z partii w drugiej połowie lat 70-ych, ale utrzymał swoje kontakty), teraz można być tylko i całkowicie po stronie "S". Zaangażował się w ten ruch ogromnie, a co najważniejsze - z głębokim poczuciem znalezienia swego miejsca. Przyjechał, oczywiście, do Stoczni Gdańskiej w czasie sierpniowego strajku w 1980 r. razem z kilkoma uczestnikami ówczesnego konwersatorium *Doświadczenie i Przyszłość*.

Historia więc sprawiła, że Jan Strzelecki - intelektualista, po porażce w swej grze z systemem dobił do tego ruchomego portu, jakim stał się dla wielu z nas autentyczny ruch społeczny. Otrzymał się z własnych porażek, starał się pomagać "S" - krytyczny i nieskłonny do popadania w euforię (jeźli nie liczyć tamtych niezapomnianych dni w Stoczni), choć całym sercem, tak, właśnie sercem również - akceptujący.

Jednego Janka nie znam zupełnie. Tego, który w ciemny wieczoru lub nocy pochylał się nad zeszytami, w których przez wiele lat prowadził notatki, i snuje w nich swoje bardziej gorzkie niż optymistyczne refleksje nad przypadkami świata i człowieczej myśli, i szuka odpowiedzi przy pomocy jasnego rozumu. I tu zwycięża.

W jego sylwetce fizycznej i duchowej jest dla mnie coś, co każe myśleć o różnych pytaniach. Duża ich część dotyczy postawy, pozycji, roli intelektualisty w naszym życiu - jego odpowiedzialności, atopia niezdolny lub zgody na system, w którym przyszło mu żyć, jego wyborów i decyzji, umiejętności oporu przeciwko bakcyli totalitarnego skażenia. Jak pisał Camus: *Ricux wiedział bowiem, że bakcyli dżumy nigdy nie umiera i nie znika, że może przez dziesiątki lat pozostać uspijony, i że nadejdzie być może dzień kiedy na niezliczonego ludzi i dla ich nauki dżuma obudzi swe szczyry i pośle je, by umierały w szczególnym mieście. Jest więc też pytanie o intelektualną czujność.*

Na szczęście widzę też Janka w tym świecie i otoczeniu, które miało dla niego wartość realną i transcendentną zarazem, w Dolinie Pięciu Stawów, w Tatrach.

Wojciech Adamiecki
(wypowiedź na spotkaniu Klubu im. Jana Strzeleckiego na Uniwersytecie Warszawskim, dn. 12.01.1989 r.)